

nr 3 wiosna 87

DWADZIEŚCIA JEDEN PIŚMO
SPOŁECZNO POLITYCZNE • PO
GLĄDY • GOSPODARKA • IDEE •
SPRAWY SPOŁECZNE • ROZMO
WY • POLEMIKI • DOKUMENTY

WARSZAWA 1986


rytm

Copyright by



Redaktor wydania Adalbert.

Numer zamknięto 5 lutego 1987 r.

SPIS TRESCI

str.

Kazimierz Dziewanowski - Polska a sytuacja międzynarodowa - kilka uwag generalnych	3
---	---

GOSPODARKA I POLITYKA

Bez pointy - dyskusja z udziałem Leszka Balcerowicza, Janusza Beksiaka, Ryszarda Bugaja, Cezarego Józefiaka, Tadeusza Kowalka, Andrzeja Topińskiego	11
Harold Lydal - Jugosławia: bilans sukcesów i niepowodzeń	26
Ryszard Bugaj, Szymon Jakubowicz, Tadeusz Kowalik - Szansa	37
Historia nie tylko złudzeń: Październik 1956 - rozmowa z Tadeuszem Mazowieckim i Zygmuntem Skórzyńskim	45
Andrzej Szczypiorski - Książka i czasopiśmiennictwo pierwszego obiegu	65
Kompromitacja systemu - szkolnictwo wiejskie	72

DOKUMENTY

Komitet Organizacyjny Fundacji Rolnicze - Raport z rozmów	79
---	----

LUDZIE

Jan Józef Lipski - Profesor	92
"Zważyli mnie i znaleźli zbyt lekkim" - rozmowa z prof. Edwardem Lipińskim	94

RECENZJE

Tadeusz Taski - Polityka w oczach dysydenta	109
---	-----

WŁADZA, OPOZYCJA, SPOŁECZEŃSTWO

Wrzesień - grudzień 1986	117
--------------------------------	-----

Polska a sytuacja międzynarodowa - kilka uwag generalnych .

W wywiadzie ogłoszonym w paryskim miesięczniku "Kultura" w numerze listopadowym 1986, wybitny historyk angielski, wielki przyjaciel Polski i znawca jej historii Norman Davies powiedział: "Przyszły rozwój wypadków w Polsce zależy od sytuacji międzynarodowej". Brzmi to jakby zostało powiedziane w dziewiętnastym wieku. I nie ma w tym oczywiście nic nowego. Prawda jest nadal taka jak wtedy, choć i dziś - podobnie jak wtedy - mylny byłby wniosek, że nic od nas nie zależy, a nasza postawa, wytrwałość, praca - nie mają żadnego znaczenia. Historia uczy, że później, w ostatecznym obrachunku, praca pokoleń Polaków, ich uparte dążenie do niezależności mają znaczenie ogromne.

Ale dla wszystkich jest jednocześnie jasne, że jakkolwiek poważna, pozytywna zmiana w położeniu Polski zależy przede wszystkim od rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Najpierw parę słów o obecnym położeniu Polski. Myśląc o tej sprawie naprawdę trudno się zdobyć na jakikolwiek optymizm. Mówiąc szczerze: położenie to przedstawia się fatalnie. Buńczuczne twierdzenia, jakie często słyszymy ze źródeł oficjalnych, jakoby polska pozycja na arenie międzynarodowej umocniła się, ponieważ umocniło się państwo - trzeba włożyć między bajki. W stosunku do kogo to państwo się umocniło? Od kogo stało się niezależne? Od tysiącleci wiadomo, że silne państwo musi dysponować siłą gospodarczą, finansową, wojskową. Przede wszystkim jednak - i to jest zawsze podstawowa i ostateczna rezerwa siły każdego państwa godnego tego miana, rezerwa, do której odwołuje się ono w chwilach krańcowego kryzysu i niebezpieczeństwa - otóż przede wszystkim powinno ono móc liczyć na masowe i bezwarunkowe poparcie ze strony przeważającej większości obywateli. Tylko te elementy łącznie stanowią o sile państwa, wszystko inne jest grą pozorów. Państwo polskie w roku 1939 było słabe wojskowo i gospodarczo, ale dysponowało wielką siłą: przywiązaniem obywateli do własnego, niezależnego bytu państwowego. I dzięki tej sile sprawa polska nie zginęła.

Polskie państwo chwili obecnej nie dysponuje w dostatecznym stopniu żadnym z tych elementów. Staje się to zupełnie oczywiste, gdy uświadomimy sobie, że siła państwa, by można było o niej mówić, musi się ujawniać w stosunku do innych uczestników gry na scenie międzynarodowej, a nie tylko w stosunku do własnego społeczeństwa. A to właśnie z reguły myślą ci, którzy starają się przedstawić siebie jako "państwowców" i zwolenników "silnego państwa". Z reguły

Referat wygłoszony 14.12.1986 na sympozjum: "Przemiany w kulturze i świadomości społecznej ostatnich lat", zorganizowanym przez Duszpasterstwo Akademickie w Katowicach.

mylą cni kierunek i podstawowe pojęcia, wchodzą też w kolizję z logiką mówiąc o państwie silnym i niezależnym od własnych obywateli. Nie warto tego nawet komentować.

Polska znajduje się dzisiaj w sytuacji podwójnego uzależnienia. Politycznie i wojskowo zależna jest od bloku wschodniego. Gospodarczo i finansowo - od Zachodu. Ściśle biorąc gospodarczo zależna jest od obu stron, ale dla wszystkich też jest jasne /nawet dla władzy/, że możliwości dalszego rozwoju i ewentualnego przyszłego przeżmania kryzysu gospodarczego zależne są głównie od szans współpracy z Zachodem, od jego kredytów i technologii.

Sytuacja jaka się w ten sposób wytwarza graniczy często z czystym absurdem. Objawy tego obserwujemy niemal codziennie. Państwo polskie jest nieustannie zaangażowane w wojnie politycznej, dyplomatycznej, propagandowej z tymi, do których jednocześnie zwraca się z prośbami o pomoc finansową i współpracę gospodarczą. Państwo polskie zabiega o zniesienie sankcji ze strony największego mocarstwa gospodarczego świata, a jednocześnie odmawia wizy wjazdowej jednemu z najbardziej wpływowych jego senatorów i polityków. Rzecznik prasowy rządu wciąż podważa i niweczy starania przedstawicieli tego samego rządu prowadzących rozmowy w kwestiach finansowych i handlowych. W chwili gdy rządowi, z uwagi na interesy gospodarcze, zależy na pozyskaniu poparcia opinii na Zachodzie, rzecznik tegoż rządu czyni co może, by zrazić i wrogo usposobić przedstawicieli świata prasy.

W rezultacie trwa sytuacja paraliżu i Polska pogrąża się w coraz głębszym kryzysie. Jak wiadomo, w roku 1981 Polska była winna Zachodowi 24 miliardy dolarów, a dziś, ponieważ nie płaci odsetek, jest winna ponad 35 miliardów i końca temu nie widać. Lecz mówiąc o tych sprzecznych i pełnych niekonsekwencji działaniach nie twierdząc, że są one wynikiem jakichś podziałów, czy walk w łonie ekipy rządzącej, albo też niekompetencji i braku orientacji. Rzecznik szkodzi interesom Polski, a nawet samego rządu, ale nie czyni tego na własną rękę. Rząd chce mieć takiego właśnie rzecznika. Jest w tym pewna logika, tylko, że to nie jest normalna logika obowiązująca w normalnym państwie. To jest logika wynikająca z tej właśnie, nader absurdalnej sytuacji, o której mówimy.

Ta sytuacja istnieje od dawna, ale dzień 13 grudnia 1981 doprowadził ją do skrajności. Od tej pory Polska całkowicie przestała być samodzielnym podmiotem w grze międzynarodowej, a stała się petentem. Państwo, które nie rozporządza żadnym rodzajem siły, nie może się liczyć jako partner. Rządowi propagandyści wmawiają nam, że Polska jest silna z uwagi na swe sojusze. Jest to sprzeczne z całym politycznym doświadczeniem ludzkości. Żadne państwo nigdy nie było silne z łaski sojuszników, to się dotąd nie zdarzyło. Natomiast dobrzy i lojalnych sprzymierzeńców miawały tylko państwa, które same były silne.

Zdają sobie sprawę, że posłużenie się w tym miejscu słowem "libanizacja" może się wydać przesadne i nieusprawiedliwione. Istnieją przecież między obu państwami głębokie i niezaprzeczalne różnice, wazak w Libanie prócz sojuszników wiele do powiedzenia mają także i wrogowie. Obawiam się jednak, że istota sprawy jest mimo wszystko dość podobna.

Pomówmy teraz o sytuacji międzynarodowej. Przyglądając się jej w sposób chłodny i możliwie obiektywny trzeba zauważyć, że jej generalny obraz zmienia się obecnie dość wyraźnie. Następują przesunięcia w światowym układzie sił, w rezultacie których zjawiska, o których mówiliśmy mogą się nasilić, albo mogą przybrać inny charakter. Zmiany w światowym układzie sił wynikające z postępów ekonomicznych, technologicznych, naukowych świata rozwiniętego, a więc u-

przemysłowych krajów Zachodu, a obecnie także i niektórych krajów Trzeciego Świata, w połączeniu z trudnościami rozwoju, a w wielu dziedzinach po prostu z regresem, jaki od dłuższego czasu rysuje się w bloku krajów zwanych socjalistycznymi, coraz wyraźniej nadają sprawie wymiar dramatyczny. Nie jest to ocena wymyślona przez tzw. kremlinologów. Jest to ocena, którą już kilkakrotnie, bardzo wyraźnie i z wielkim zaniepokojeniem wypowiedział sekretarz generalny KC KPZR Michaił Gorbaczow. I doprawdy to jest dramatyczne jeśli uświadomimy sobie, że w łonie EWG rozwiązano właśnie z trudem kryzys polityczny spowodowany kosztami magazynowania nadmiaru zbędnej żywności; że w ostatnich latach Indie i Chiny stały się eksporterami zboża, że postępy w rolnictwie poczyniła Bangladesz, a jedynym dziś na świecie wielkim importerem zboża pozostał Związek Radziecki, czego przyczyna tkwi w sferze ideologiczno-polityczno-ustrojowej. Tylko ZSRR nie czyni postępów w rolnictwie, a do tego ma rosnące trudności płatnicze. Obraz ten staje się jeszcze bardziej dramatyczny, gdy uświadomimy sobie przepaść w dziedzinie komputerów i elektroniki, nie mówiąc już o nowoczesnych tworzywach i produkcji energii.

Mówiąc o tych sprawach z konieczności w sposób skrótowy, choć można by jeszcze wiele powiedzieć o barierach wzrostu, jakie w ostatnich latach ujawniły się na Wschodzie: o barierze energetycznej, surowcowej, ekologicznej, barierze infrastruktury, zwłaszcza transportu, przede wszystkim zaś o barierze innowacyjnej i motywacyjnej, które są skutkiem istniejącego systemu zarządzania, panujących zasad życia publicznego, poziomu życia i zdrowotności, braku perspektyw dla młodego pokolenia, powszechnego przekonania o bezużyteczności dobrej pracy, pomysłowości, rzetelnej troski pracowniczej i obywatelskiej. "Niczego się nie osiągnie, na nic nie mamy wpływu, nie nie warto" - to przekonanie staje się zabójcą systemu zbudowanego w ZSRR i w krajach zależnych, najpotężniejszą barierą wzrostu, rozwoju i w ogóle wszelkiej perspektywy. Wiadomo ponadto, że możliwości rzeczywistych, głębokich zmian są niewielkie, a to ze względu na polityczne ograniczenia ustrojowe, na coraz drastyczniejsze podziały społeczne w tym ustroju, które sprawiają, że grupy rządzące raczej się nie wyrzekną swojej pozycji i swoich przywilejów. Historia uczy, że niezależnie od czyjejkolwiek dobrej, czy złej woli, są to bariery, które bardzo rzadko udaje się usunąć drogą negocjacji i perswazji. Wkraczamy tu jednak w temat, o którym nie chciałbym przesądzać i który wykracza poza ramy tego referatu.

Widziny więc, że realistyczna i pozbawiona złudzeń prognoza brzmi: nasza część świata stoi w obliczu głębokiego i długotrwałego kryzysu, któremu nie zapobiegną żadne powierzchowne, kosmetyczne zabiegi. Obecne państwo polskie nie dysponuje odpowiednią swobodą manewru, aby na własną rękę zastosować odpowiednio do skali kryzysu własne, śmiałe, sięgające dostatecznie głęboko środki. Takie środki, które prowadziłyby do przełamania kryzysu. Do tej pory obecne państwo polskie nie miało po temu odpowiednich warunków i swobody działania. Być może zmieniająca się wyraźnie koniunktura międzynarodowa zmienia również te warunki i tworzy lepsze, dotąd nie istniejące możliwości. Jednakże, aby to wykorzystać potrzebna byłaby tego rodzaju wola ze strony grupy rządzącej, a przede wszystkim zrozumienie sytuacji wykraczającej poza jej wąskie interesy. Tego rodzaju przeblisk szerszej świadomości narodowej w tej grupie wydaje się jednak bardzo wątpliwy.

Skoro wiemy, że sytuacja Polski jest ściśle związana z rozwojem sytuacji międzynarodowej w skali o wiele szerszej, niż tylko skala polska - to czego możemy się od tego rozwoju spodziewać? Jaki on w ogóle będzie, czy raczej może być?

Prawie wszyscy ludzie w Polsce zastanawiający się nad tym...

sprawami są zgodni, że polskie interesy związane są z odprężeniem w stosunkach międzynarodowych. Wydaje się to bardzo słuszne. Stan zaostżenia i napięcia jeszcze bardziej utrudnił by naszą ciężką sytuację gospodarczą, uniemożliwił znalezienie jakiegokolwiek rozwiązania kwestii naszych długów i pogłębił zacofanie Polski. Wzrost ciężarów zbrojeniowych miałby dla nas wprost mordercze skutki. Natomiast odprężenie, zmniejszając bariery dzielące nas od Zachodu może choć częściowo przynosić ulgę w naszym położeniu, czego przykładem jest choćby sprawa polityki paszportowej i korzyści finansowe jakie Polacy, mimo wszystkich trudności, z tej polityki czerpią. Natomiast stan napięcia i przerwanie kontaktów międzynarodowych, które musiałoby się łączyć ze wzmożeniem represji, groziłoby podniesieniem napięć i frustracji w naszym kraju do poziomu eksplozywnego. Władza wydaje się to rozumieć.

Jednakże wypowiadając się za odprężeniem, trzeba też poczynić kilka sceptycznych uwag.

Pierwsza uwaga jest taka, że choć jesteśmy od Zachodu w poważnym stopniu uzależnieni gospodarczo i finansowo, nie powinniśmy się spodziewać z tamtej strony żadnej poważniejszej pomocy, poza zdawkowymi wyrazami sympatii. W gruncie rzeczy, gdy spojrzeć na sprawę polską oczami Zachodu, widzi się wyraźnie, że polskie kłopoty są tam siłą rzeczy uważane za kłopoty obozu socjalistycznego, a nie własne, zachodnie. Nikt tego wyraźnie nie mówi, ale jest oczywiste, że zachodni politycy uważają, iż jest to kłopot przeciwnika. I trudno, żeby było inaczej, lecz w Polsce jest wokół tej sprawy zbyt wiele złudzeń. Mimo że w tej sprawie podstawowych faktów zmienić nie możemy, to jednak jest w naszej mocy łagodzenie skutków tego faktu i tworzenie lepszej perspektywy na przyszłość. Polegać to musi na cierpliwym i upartym podtrzymywaniu kontaktu z opinią publiczną na Zachodzie i stałym tłumaczeniu, że przyszłość Europy i przyszłość Polski stanowią jedność, są nierozdzielnie związane.

Ani sprawy bezpieczeństwa zachodnioeuropejskiego, ani kwestii dalszej integracji i tak pożądanego przez Europejczyków przyszłego wzrostu roli i niezależności Europy nie da się oddzielić od zagadnienia podziału kontynentu i dalszego losu narodu polskiego. Rzecz w tym, że zachód Europy nie widzi tego jak dotąd dostatecznie jasno.

Druga uwaga brzmi następująco: dla Zachodu, a szczególnie dla USA, które prowadzą politykę globalną, każdy wariant rozwiązania w Polsce jest mniej lub bardziej korzystny. Jeżeli w Polsce trwają represje i panuje stan zbliżony do wojny domowej - to jest to poważne osłabienie obozu socjalistycznego, a przy okazji służy to skutecznie do scementowania Paktu Atlantyckiego, przeciwdziałając też tendencjom izolacjonistycznym w USA. Amerykańska polityka globalna odnosi z tego wieloletnie korzyści. Jeżeli natomiast nastąpiłaby w Polsce liberalizacja, to jeszcze lepiej, bo tworzyłoby to obiecujący precedens wywierający wpływ na sąsiadów, mogący osłabić wartość obozu, zmniejszający jego agresywność na zewnątrz i świadczący, że polityka Zachodu jest skuteczna. Rzeczywistość jest więc taka, że USA mogą przyglądać się rozwojowi sytuacji w Polsce z dość dużym spokojem - co istotnie czynią. Wiem, że to wszystko brzmi dla nas bardzo nieprzyjemnie, ale z punktu widzenia polityków Zachodu jest to po prostu logiczne.

Lenin mówił niegdyś, że kapitaliści sami dostarczą komunistom sznurka, by można ich było na nim powiesić. Ale nawet Lenin nie przewidział, że wypadnie prosić, by kapitaliści dostarczyli tego sznurka na kredyt. Wygląda na to, że dziś teoria sznurka została zastąpiona teorią sosu. Kapitaliści dość spokojnie czekają na to, by cały obóz socjalistyczny udusił się we własnym sosie.

Tu trzeba uczynić trzecią uwagę. Dotyczy ona złudzeń, którym ulega wielu ludzi w Polsce, a w tej liczbie również, jak się wyda-

je, rząd. Wielu sądzi, że wystarczy pewna poprawa stosunków międzynarodowych i pewne złagodzenie wojny propagandowej i dyplomatycznej prowadzonej przez rząd z Zachodem, aby do Polski znów popłynął strumień kredytów podobny do tego, który płynął za czasów Gierka. Myślę, że jest to złudzenie wynikające z braku zrozumienia dzisiejszych realiów i zmian jakie zaszły w ogólnej sytuacji. Polska Gierka wydała się zachodnim bankierom dość obiecującym partnerem, dzisiejsza jest bankrutem. Wiara w stabilność Polski i umiejętność rządu właściwego wykorzystania środków jest znikoma. Zachodnie banki nigdy nie miały do Polski wielkiego zaufania, a obecnie banki przekonały się, że dzisiejszy rząd polski jest jeszcze mniej godzien tego zaufania, niż ktokolwiek przed nim.

Wszędzie na świecie zwolennicy władzy totalitarnej odznaczają się pewną cechą, która dodaje im pewności siebie i łagodzi wewnętrzny strach i niepokoje. Sądzą oni mianowicie, że czas zaobera wszystko, że wystarczy trochę odczekać, by wszyscy wszystko zapomnieli. To przekonanie nigdy się nie sprawdza i reżimy dyktatorskie są zawsze przesławiane przez powracające upiory. A już szczególnie nie sprawdza się to w przypadku banków, które z kolei nigdy nie zapominają o poniesionej stracie i o nadużyciu ich łatwowierności.

Trzeba zresztą pamiętać, że w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych o pieniądze było łatwiej, ponieważ istniały słynne petrodolary. Dziś o nie znacznie trudniej, o czym świadczą wyższe, niż wtedy, stopy procentowa. Tak więc w sytuacji, gdy rząd generała Jaruzelskiego nie cieszy się na Zachodzie sympatią, zaufanie do niego jest bez porównania mniejsze, niż dawniej do rządu Gierka, a o pieniądże trudniej - szansa, by owo złudzenie przemieniło się w brzęczącą monetę jest minimalna.

Myślę, że sprawa Fundacji Rolniczej dała finansistom i politykom na Zachodzie sporo do myślenia wskazując, że sprawy gospodarcze w Polsce są bezwzględnie podporządkowane polityce, a to jest rzecz, która budzi zawsze największą nieufność. W tych warunkach trudno się spodziewać, by Zachód przyszedł Polsce ze znaczącą pomocą, nie mówiąc już o tym, by miał zorganizować dla Polski nową pomoc marszalską, a nic innego, w braku reform, uratować polskiej gospodarki nie może.

Tak więc odprężenie, choć w zasadzie korzystne, ma dla nas tylko wartość ograniczoną, zwłaszcza, że w warunkach odprężenia kierownictwo radzieckie może dążyć do dalszego zacieśnienia kontroli nad krajami zależnymi. Jest przecież rzeczą oczywistą, że powodzenie reform Gorbaczowa - jeżeli zamierza on wprowadzić jakies rzeczywiste, giębsze reformy - ściśle zależy z jednej strony od odprężenia międzynarodowego, a z drugiej - od utrzymania spokoju w krajach zależnych. Brak któregokolwiek z tych dwóch elementów może uniemożliwić wszelkie reformy.

Powstaje jednak pytanie: co to znaczy "odprężenie"? Jest to określenie zupełnie nieprecyzyjne, często powtarzane w charakterze zaklęcia. Na ogół rozumie się przez to trzy rzeczy. Po pierwsze - i przede wszystkim - porozumienie o ograniczeniu i kontroli zbrojeń. Po drugie: ożywienie i ułatwienie wymiany handlowej. Po trzecie: ułatwienia w dziedzinie kontaktów kulturalnych, turystyki, kontaktów między ludźmi.

O drugim z tych elementów, o rozwoju handlu i współpracy gospodarczej była już mowa. Poważniejszy postęp w tej dziedzinie jest wątpliwy, a to głównie z powodu braku środków płatniczych w obozie socjalistycznym, jak również z powodu restrykcji politycznych.

Wątpliwy jest także większy postęp w pierwszej dziedzinie: w kontroli zbrojeń. Z pewnością dojdzie wprawdzie do dalszych różnów i być może zawarte w końcu będą pewne ograniczone porozumienia, ale nie przewidywałbym jednak wielkiego przełomu. Nieudany szczyt w

Reykjawiку przyniósł pewien nieoczekiwany i dość paradoksalny rezultat. Otóż niezwykle perspektywy wielkiego ograniczenia zbrojeń, jakie się tam przez chwilę zarysowały, nie tylko nie wzbudziły entuzjazmu sojuszników USA i zachodniej opinii publicznej, na co ZSRR z pewnością liczył, ale przeciwnie: spowodowały zaniepokojenie i lawinę głosów ostrzegawczych. Okazało się, że zachodni Europejczycy, którzy zawsze tak głośno domagali się rokowań i redukcji zbrojeń, gdy taka ewentualność ukazała się na horyzoncie - poczuli się zaniepokojeni. Wyszło na jaw, że wprawdzie pragną oni rokowań, a nade wszystko zmniejszenia wydatków zbrojeniowych - ale za solidną tarczą obrony amerykańskiej. Tak więc najważniejszy dla ZSRR rezultat: zwiększenie nacisku opinii na prezydenta Reagana w kwestii jego inicjatywy strategicznej w kosmosie i ogólnie dalszych zbrojeń - nie zmaterializował się. Przeciwnie: nieoczekiwanym rezultatem jest zmniejszenie tego nacisku. Inna rzecz, że Reagan ma w tej chwili dostateczną liczbę własnych kłopotów innego rodzaju.

Tak więc, przynajmniej na razie, trudno się spodziewać nagłej eksplozji owego, dość mitycznego odprężenia, choć można przypuszczać, że Reykjavik nie spowoduje zupełnego zastoju, ani przerywania rozmów, zresztą już go nie spowodował. Związek Radziecki ma zbyt poważne powody, aby poszukiwać sposobów zmniejszenia tempa wyścigu zbrojeń i zmniejszenia jego ciężarów. Nie jest jednak chyba, jak dotąd, gotów zapłacić za to odpowiedniej ceny. W miarę upływu czasu cena ta będzie rosła.

Zdaję sobie sprawę, że obraz, jaki tu nakreśliłem, jest dość przynębiający, ponieważ nie rokuje Polsce żadnej szczególnie pomyslniej koniunktury, ani nie wskazuje na możliwość prędkiego przełamania kryzysu. Ale i w stosunku do tego obrazu też można wprowadzić kilka sceptycznych uwag kwestionujących jego prawdziwość. Pierwsza dotyczy metody. Obraz kilku najbliższych lat, tak jak on nam się przedstawia, jest - jak większość tego rodzaju prognoz - oparty głównie na ekstrapolacji. To znaczy jest dość prostym przedłużeniem stanu istniejącego, a to ponieważ nie bardzo umiemy wyobrazić sobie coś innego. Wiadomo, że scenariusze futurologiczne oparte są zawsze na ekstrapolacji i dlatego nigdy się nie sprawdzają. Nie może być inaczej, ponieważ nie zawierają w sobie elementu przypadku, nieoczekiwanych wydarzeń, zbiegów okoliczności, niespodzianki. Z doświadczenia wiadomo, że przyszłość nigdy nie jest prostą kontynuacją stanu istniejącego. I wiadomo też, że takie prognozy, oparte na ocenie aktualnego stanu rzeczywistości i działających w niej sił są błędne również i z innego powodu. Taka ocena jest bowiem z reguły niedoskonała i niepełna, bo nasza wiedza o rzeczywistości jest bardzo ograniczona.

Druga uwaga dotyczy oceny głównych tendencji naszej epoki; to znaczy końca dwudziestego wieku. Moim zdaniem jest to okres zmiany światowego układu sił, tego, który jest nam znany od przeszło czterdziestu lat. Zwrócił na to niedawno uwagę prezydent RFN Weizsäcker mówiąc, że europejskie układy sił rzadko trwały dłużej, niż czterdzieści do pięćdziesięciu lat. Sądzę, że koniec wieku dwudziestego jest okresem zmierzchu ustrojów totalitarnych. Dominowały one nad dużą partią stulecia, ale wydaje się, że doszły do kresu swych możliwości, wykazały swoją nieefektywność i nieprzydatność. Wszędzie podnoszą się głosy wskazujące na konieczność ich częściowego, lub całkowitego demontażu. I myślę, że w wielu krajach ten demontaż już się rozpoczął.

Kiedy jednak o tym mówimy, powinniśmy zdawać sobie sprawę, że mówimy o procesach historycznych, to znaczy wymagających długiego czasu. Myślę, że obiegowa, dość powszechnie przyjmowana teza głosząca, że w wieku dwudziestym czas wielce przyspieszył, bieg jest

prawdziwa tylko częściowo. To prawda, że obserwujemy wielkie przyspieszenie czasu w nauce, technologii, nawet w gospodarce. Ale nie widać, aby to w równej mierze dotyczyło polityki i procesów społecznych. Tak było może w pierwszej połowie stulecia. W drugiej - nie. Ale możliwe, że to, co teraz mówię jest również tylko ekstrapolacją, niedoskonałym przedstawieniem stanu istniejącego, który może się nieoczekiwanie zacząć zmieniać. To również jest możliwe.

Kazimierz Dziewanowski

Bez pointy.

dyskusja

z udziałem Leszka Balcerowicza, Janusza Beksiaka,
Ryszarda Bugaja, Cezarego Józefiaka, Tadeusza Kowalika,
Andrzeja Topińskiego

Ryszard Bugaj: - I my tutaj, i wielu innych ludzi, bez specjalnych wahań zgodzi się, że komunistyczny ład instytucjonalny w gospodarce, z jakim mamy do czynienia od niespełna 40 lat - opierający się na dwóch fundamentach: systemie nakazowo-rozdzielczym i dyktatorskim, hierarchicznym systemie politycznych zależności - powoduje, że gospodarka nie może być sprawna, efektywna. Bezprecedensowy kryzys, w jakim gospodarka tkwi, wymaga postawienia pytania zasadniczego: nie o interpretację takich lub innych danych statystycznych, nie o ocenę procesów bieżących - ale pytania o to, co w miejsce systemu gospodarki komunistycznej?

Proponowałbym, żebyśmy tę kwestię rozważali w pewnej kolejności, żebyśmy zastanowili się, czy - według naszych wyobrażeń - istnieje jakaś gospodarka nieprywatna, która spełniałaby warunki sprawności, czy też gospodarka nieprywatna jest epizodem w historii i przyszło nam oto obserwować tego epizodu koniec? Bardziej w kierunku realiów zmierzałoby rozważanie kwestii: jak wyobrażamy sobie system gospodarczy w jego kształcie docelowym? I w końcu trzecia sprawa: próba konfrontacji cech systemu docelowego z obecnymi realiami ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi.

Tadeusz Kowalik: - Nie sądzę, by "gospodarka nieprywatna" była tylko epizodem w historii społeczeństw, by kryzys obecny był tego epizodu końcem lub nawet początkiem końca. Dobrze jednak, że Ryszard tę kwestię tak mocno postawił, gdyż od paru lat popularność opcji alternatywnej, czyli kapitalistycznej wyraźnie wzrasta. Przypomnę, że przed dziesięcioma laty Kisielewski przedstawił się, w polemice z Edwardem Lipińskim, jako ostatni Mohikanin opcji kapitalistycznej. Dzisiaj mógłby już stanąć na czele legionu. Byłoby zresztą dziwne, gdyby było inaczej, zwłaszcza w Polsce, kraju bezprecedensowego, od czasu Wielkiej Depresji, załamania gospodarczego i bezprecedensowej depresji pokryzysowej.

Należę do tych, którzy uważają opcję kapitalistyczną dla Polski nie za mało prawdopodobną, praktycznie nierealną, lecz również za niepodważalną. Uważam, że Polska nigdy nie tworzyła zbyt korzystnego podłoża dla rozwoju gospodarki prywatno-kapitalistycznej, a w ciągu ostatniego półwiecza stała się polem szczególnie niewdzięcznym. Przypomnę, że ani pod zaborami, ani w latach międzywojnia, nie zdołała się tu wytworzyć silna klasa średnia. Brak było zwłaszcza

Dyskusja nie mogła ukazać się w prasie oficjalnej. Publikujemy ją bez wiedzy i zgody rozmówców.

cza znaczącej warstwy przedsiębiorców. Druga wojna, holocaust Żydów oraz ucieczka i wysiedlenie Niemców doprowadziły do zniszczenia dwóch historycznie najbardziej przedsiębiorczych grup etnicznych. No, a czterdzieści lat rozwoju peerelowskiego z pewnością nie sprzyjało wychowaniu kadry przedsiębiorców-organizatorów. Sprzyjało raczej zniaczeniu zachowań i mentalności.

Z drugiej strony, jeśli chodzi o ogólną atmosferę, o popularność systemów wartości, to - paradoksalnie - ten ustrój, skrajnie zbiurokratyzowany, niebotycznie marnotrawny, krzycząco niesprawny, zdołał jednak wytworzyć nowego, "realno-socjalistycznego" człowieka. Nie wiem czy lepszego, ale z całą pewnością dalszego od kapitalizmu niż generacje przed-komunistyczne...

Leszek Balcerowicz: - Czy nieodwracalnie?

Tadeusz Kowalik: - Możliwe, że odwracalnie. Lecz z pewnością nie w perspektywie paru najbliższych generacji. W czasach legalnej Solidarności obserwowaliśmy z jednej strony postawy silnie antyrządowe, z drugiej - głębokie przywiązanie do systemu wartości uważanych za socjalistyczne, głównie do egalitaryzmu. Kisielowski ma rację twierdząc, że i Wałęsa, i Solidarność są dziećmi tego systemu. I to już stał się istotny czynnik, który powinniśmy brać pod uwagę, myśląc o przyszłości.

W rozmowach prywatnych często uważa się opcję kapitalistyczną za nierealną ze względu na "parasol radziecki", jako gwaranta gospodarki nieprywatnej. Uważam, że to tylko jeden z czynników, który może być decydujący w 1944-45, ale nie teraz.

Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę, że znamy szereg krajów, które się owego parasola pozbyły - Chiny, Albania, Jugosławia. Zaśden z nich jednak /karałek okupowanej do 1955 r. Austrii trudno uważać nawet za wyjątek/ nie wszedł na drogę kapitalistyczną. Zwłaszcza przypadek Jugosławii powinien nam dać sporo do myślenia. Po zerwaniu z blokiem radzieckim poszła ona w kierunku innej "gospodarki nieprywatnej", chociaż ekipy rządzące gorączkowo szukały wówczas sposobów radykalnego odróżnienia się od reszty bloku i chociaż zachęty w kierunku opcji kapitalistycznej były wyjątkowo wielkie. Również obecnie, w czasie wyjątkowo ostrego kryzysu gospodarczego i już po śmierci charyzmatycznego przywódcy, oraz jego najbliższych współpracowników, nie postuluje się ratunku w tego typu opcji. Dlaczego? Bo władza jest ciągle zbyt dogmatyczna? Jeśli wierzymy socjologom, że każdej władzy politycznej zależy przede wszystkim na niej samej, na jej samoumacnianiu, to dogmatyzm jest również funkcjonalny. Wiadocznie nie są w tym kierunku zbyt wielkiego odłamienia społecznego. W latach 50-tych i 60-tych dość powszechnie uważano, iż wyciągnięciem się władzy z centralistycznego kierowania gospodarką, depopulacją w szeroki zakres rynku, grupowego zarządzania przedsiębiorstwami, podnie gospodarkę jugosłowiańską i kierunku żywiołowego rozwoju kapitalizmu. "Peacefull Transition from Socialism to Capitalism" - taki był tytuł pamiętnego artykułu o Jugosławii Barana i Sveczego. Tymczasem owe tendencje dały uprawdzić o sobie znać, ale okazały się słabe. Także ten alternatywny system gospodarki nieprywatnej okazał się więc trwały.

Uważam, że nieszczęście nasze polega nie na tym, że warunki zewnętrzne wykluczają opcję kapitalistyczną, lecz na tym, że władze nie poszukują lepszej swej legitymizacji w rozwiązaniach zbliżonych do jugosłowiańskiego, chociaż nie tak dogmatycznie jednostronnych. W realizacji zresztą byłaby to z pewnością opcja znacznie tańsza niż kapitalistyczna, nie tylko pod względem gospodarczym, ale i społeczno-politycznym.

Leszek Balcerowicz: - Nie będę ustosunkowywać się do twierdzenia, czy opcja kapitalistyczna jest realna, czy nie. Spróbuję się natomiast ustosunkować do twierdzenia, że byłaby niepożądana, nawet gdyby była realna politycznie. Wydaje mi się ono wątpliwe. Czy nie byłoby w Polsce klasy średniej, przedsiębiorców? Wydaje mi się, że potencjał przedsiębiorczości, która nie może się obecnie ujawnić, jest duży. Wystarczy popatrzeć, co dzieje się w tym okrojonym systemie gospodarki prywatnej, by wyobrazić sobie, co działyby się, gdyby ograniczenia znieść. A gdyby nawet przyjąć założenie, o ograniczonym potencjale przedsiębiorczości, to nie rozumiem jeszcze dlaczego nie możnaby równoległe z przekształceniami systemu gospodarczego podjąć działań na rzecz tworzenia klasy przedsiębiorców. Jest sporo przykładów na to, jak państwo przyczyniało się skutecznie do tworzenia grupy przedsiębiorców. Nie przekonuje mnie argument pomocniczy, którym posłużył się Tadeusz Kowalik, że opcja kapitalistyczna nie przyjęłaby się, bo wytrzebiono najbardziej przedsiębiorcze w Polsce warstwy społeczne. Co do trzeciego argumentu - przywiązania społecznego do egalitaryzmu - które spowodowałyby odrzucenie opcji kapitalistycznej - mam dwa zastrzeżenia: po pierwsze my tak naprawdę nie wiemy, jakie jest nastawienie społeczne do zagadnień egalitaryzmu, czy nie okazałoby się ono inne przy dostępie do innych źródeł informacji?; a po drugie: czy społeczeństwo polskie może być przywiązane do czegoś, czego nie ma? Czy może być przywiązane do wyobraźnego ideału? Nie ma na to przekonujących dowodów. Nie znajduję ich również na poparcie tezy, że przejście do dynamicznej gospodarki rynkowej wiązałoby się nieuchronnie z szalonym rozwarstwieniem dochodów. Przykłady najbardziej dynamicznych gospodarek współczesnego świata - Tajwanu i Korei Południowej - dostarczają dowodów na tezę wręcz przeciwną.

Argument o kosztach przejścia: że byłyby one ogromne, większe niż społeczne koszty gospodarki nieefektywnej... Możemy tu tylko spekulować, ponieważ najpierw trzeba byłoby uzgodnić, o jakim wariancie przejścia mówimy. Równie łatwo wyobrazić sobie ścieżkę dojścia z kosztami społecznymi olbrzymimi, jak i niewielkimi. Można bowiem wyobrazić sobie przejście typu tajfun, ale i taki jego rodzaj, że w mniejszych czy średnich przedsiębiorstwach dochodzi do powstania pracowniczych spółek akcyjnych, w większych idzie się na akcje sprzedawane, potem złączyna się rozszerzać prawo do sprzedaży, czy nabywania akcji i tworzy się stopniowo warstwa akcjonariuszy, z których część byłaby pewnie pracownikami, a cząstka - rentierami. Kwestionuję w każdym razie tezę, że przejście wiązałoby się nieuchronnie z jakimś tajfunem, rewoltą, niepokojem społecznym, itp.

Janusz Beksiak: - Ryszard, zagajając, użył terminu ład instytucjonalny. Sądzę, że nie jest to trafny termin. Według mnie, główną cechą tego systemu jest gładkość instytucjonalna, czy mówiąc wprost celowy, zamierzony instytucjonalny nieład. Świadczy o tym łatwość z jaką zmienia się reguły gry, a przede wszystkim fakt ich nieprzestrzegania przez władze, które je ustalają. System skompromitował się na tyle, że zastanawianie się nad ewentualnym nowym eksperymentem z gospodarką nieprywatną w Polsce jest, według mnie, zajęciem jałowym. Takie dociekania intelektualne miałyby sens gdybyśmy potrafili wskazać możliwości istnienia gospodarki nieprywatnej z ładem instytucjonalnym. Otóż takiej kombinacji na razie nikt nigdy nie widział.

Co do wypowiedzi Tadeusza: dlaczego utrzymywać staromodne i moim zdaniem bardzo tendencyjne przeciwstawienie kapitalizm-socjalizm? Patrząc na współczesny świat można powiedzieć, że istnieje wielka różnorodność ustrojów gospodarczych i ich odmian. Proponuję

więc porzucić tę wygodną propagandowo, ale nieprawdziwą, opozycję. Dlatego jeśli zastanawiać się mamy nad tym, co przed nami, nie musimy sztywno trzymać się tych dwóch wymyślonych wariantów.

Przez dwadzieścia lat bawiłem się w projektowanie lepszego systemu gospodarczego dla naszego kraju. Obecnie jestem przeciwny takiemu projektowaniu. W związku z tym budowanie różnych "poprawnych" kombinacji sektora prywatnego z państwowym, czy spółdzielczym, jako metoda mi nie odpowiada. Natychmiast bowiem rodzi się pytanie kto to ma ustalać? Moja propozycja jest całkowicie odmienna: dać po prostu możliwość konkurowania różnym formom gospodarki, dopuścić wszelkie inicjatywy ludzkie i zobaczyć, która okaże się lepsza. Rozumiem, że taki liberalizm i taka konkurencja może grozić różnymi niekorzystnymi gospodarczymi i społecznymi konsekwencjami. Uznaję więc rzeczywście potrzebę przeciwdziałania im. Ale też wolałbym, aby to robiły głównie społeczne instytucje i stowarzyszenia a nie państwo, które zbyt łatwo staje się niekompetentnym tyranem.

Tadeusz Kowalik: Nie uważam "gospodarki nieprywatnej" za twór sztuczny. Jest nim natomiast system, w którym względnie wysoko rozwinięte i uprzemysłowione społeczeństwo zostało wtłoczone, w gorset powszechnej reglamentacji, gdzie nawet grupowy organizator związkowy, jak to było do niedawna, jest nadany z nomenklatury; gdzie więc procesy spontaniczne zostały stłumione lub zepchnięte w sferę co najwyżej tolerowane. Ale właśnie ze względu na tę sztuczność uważam, że jakakolwiek radykalna reforma, a tym bardziej zwrot w kierunku kapitalizmu, przeciw czemu jestem, wymagają projekcji. Programowania zarówno systemu docelowego, jak i dróg dojścia doń. Nie wystarczy rozluźnienie państwowego gorsetu, zwiększenie swobody, a wówczas ludzie będą eksperymentowali, wybierali co dla nich najbardziej korzystne. Narójek, moim zdaniem, ma rację, gdy wskazuje na ogromne trudności transformacji społeczeństw rządzonych przez dekadęsięciolecia w systemie bezalternatywnym. Brak tu czegoś w rodzaju infrastruktury dla normalnego rozwoju, kanałów artykulacji, form nacisku społecznego. Odczodzenie od tego systemu grozi całą serią wstrząsów społecznych.

Leszek Balcerowicz: - Osoby krytykujące projektowanie mają na myśli jego: szczególnie przypadek, taki, gdzie projektuje się wszystko, każdy detal, każdą proporcję. Natomiast nie sądzę, żeby ci sami ludzie chcieli krytykować projekcję mechanizmów przejścia będących zarazem elementami naszego systemu, np.: jakie powinno być prawo regulujące zakładanie przedsiębiorstw. Gdyby teoretycznie nie było ograniczeń politycznych, należałoby wykonać projekcję takich mechanizmów oraz pewnych trwałych elementów systemu, które miałyby na celu łagodzenie niekorzystnych skutków tego przejścia. A druga sprawa, to zastanowienie się, czy jest w ogóle sens robienia badań porównawczych różnych systemów gospodarczych. Otóż moim zdaniem jest sens.

Andrzej Topiński: - Tylko pamiętajmy, że my przymierzamy się do robienia badań porównawczych systemów wyimaginowanych, sztucznych. I to właśnie jest ta projekcja, przeciw której część ludzi protestuje. Możemy więc projektować pewne procesy dynamiczne, tudzież porównywać pewne stany istniejące, np. Polskę z Tajwanem, natomiast stanowczo odrzucam, jako metodologicznie nieuzasadnione, bezzasadne porównywanie dzisiejszej Polski z jakimś systemem względnie kompletnym, powiedzmy socjalizmu nie istniejącego realnie.

Janusz Beksiak: - Nie zgadzam się z twierdzeniem, że mamy do czynienia ze sztucznym tworem i rozważamy jakiś powrót do natural-

niej drogi rozwoju, choć to brzmi ładnie. Sztuczny był projekt tego systemu, natomiast sam system już sztuczny nie jest, to jest nasza obecna gospodarka i życie społeczne i to jesteśmy my, działający w nim i, chcąc czy nie chcąc, wspierający go swoim działaniem, wmontowani w ten system. W tej sytuacji główną dla nas sprawą jest wyzwanie się z tego układu, jest jego zmiana.

Andrzej Topiński: - Wydaje mi się, że pytanie o to, czy istnieją sprawne niepiwywatne systemy gospodarcze jest postawione w taki sposób, iż prowokuje bardziej do wymiany ideologicznych deklaracji, niż do dyskusji. Realnie można dyskutować kwestię mniej ambitną, a mianowicie: czy istnieją inne ścieżki wydoskonalenia się z obecnego systemu gospodarczego? Moim zdaniem odpowiedź jest jednoznaczna. Jedyną ścieżką jaka stoi przed tą gospodarką, to zmniejszanie roli państwa i wprowadzanie elementów, powiedzmy, niepaństwowych. Innej ścieżki nie widzę. Oczywiście nie musi prowadzić to do XIX wiecznego kapitalizmu, czyli do wyeliminowania państwa z życia gospodarczego. Niekoniecznie także rola państwa musi zostać zredukowana do poziomu obserwowanego we współczesnych gospodarkach rynkowych. Ale o tym, jak kształtuje się rola państwa decydującą będą zapewne nie różni z przesłankami ekonomicznymi przesłanki polityczne. Wało sensowne wydają mi się więc różne futurologiczne wizje prowadzące rolę państwa do funkcji rentiera, pobierającego rentę z tytułu własności środków produkcji.

Mał wątpliwości co do argumentów przytoczonych na początku dyskusji przez Tadeusza na rzecz nierealności upaństwowionych form rozwoju gospodarczego. Brak klasy średniej... Czy chodzi o teorię klasy średniej jako formacji psycho-społecznej, czy też jako grupy dysponującej zasobem kapitałowym? Klasa średnia wyglądała zapewne inaczej w Niemczech, Włoszech czy Stanach Zjednoczonych. Czyta jest ona w Korei Południowej? A może istnieje i w Polsce? Czy istotnie kwestia wartości egalitarnych tak bardzo determinuje parametry obecnej sytuacji Polski? Siłę postaw proegalitarnych sądzi się po reakcjach ludzi na podwyżki cen, zróżnicowanie dochodów itp. Otóż za rządów Cartera badania Gallupa wykazały, że społeczeństwo amerykańskie woli reglamentację benzyny, niż podniesienie ceny powyżej jednego dolara za galon. Z pewnością nie znaczy to, że społeczeństwo amerykańskie jest egalitarne. Carter wiedział o tym, nie wprowadził więc reglamentacji.

Nie rozumiem również w jakim sensie brak bezrobocia jest atrybutem gospodarki socjalistycznej, w jakim sensie rozumiany jest tu socjalizm...

Ryszard Bugaj: - W znaczeniu bezpieczeństwa socjalnego.

Andrzej Topiński: - To w sensie skutku, ale w znaczeniu ładu instytucjonalnego, o którym mówimy? Przecież można postawić tezę, że brak bezrobocia w Polsce jest wynikiem zablokowania pewnych mechanizmów restrukturalizacyjnych, rezultatem zablokowania przez plan centralny procesów eliminacji nieefektywnych przedsiębiorstw, czego skutkiem ubocznym jest nienaturalne zapotrzebowanie na siłę roboczą. A wyobraźmy sobie jakiś socjalizm, w którym działają jak-koś te mechanizmy selekcji, czy ten socjalizm byłby pozbawiony bezrobocia? Podejrzewam, że brak bezrobocia nie jest wcale atrybutem gospodarki socjalistycznej lecz, niestety, jej nakazowo-rozdzielczej formy.

Cezary Józefiak: - Nie można wymyśleć systemu gospodarczego, który by wszystkim i pod każdym względem odpowiadał. Ciekawsza od takich poszukiwań wydaje mi się próba odpowiedzi na pytanie: w jakim kierunku zmieniałyby się u nas system gospodarczy gdyby zostały rozluźnione ograniczenia polityczne blokujące spontaniczne procesy społeczne i gospodarcze? My tutaj, a także - jak sądzę - wielu innych ludzi w Polsce, jesteśmy zdania, że nastąpiłaby dość poważna zmiana w strukturze własnościowej naszej gospodarki. Udział sektora państwowego zmniejszyłby się, a wewnątrz tego sektora jego część zarządzana przez dyrektorów działających z woli samorządów pracowniczych górowałaby nad częścią zarządzaną przez dyrektorów będących urzędnikami państwowymi. Wzrósłby udział sektorów prywatnego i spółdzielczego. Zmiany w tych kierunkach dokonywałyby się pod kontrolą rynku. Przesunięcia następowałyby od form własnościowych mniej efektywnych do form bardziej efektywnych.

Przewidując taki skutek rozluźnienia barier politycznych, należy postawić następne pytanie: jaki udział sektora państwowego, mniej efektywnego, byłby niezbędny z powodów gospodarczych, nie uwzględnianych w mikroekonomicznych rachunkach opłacalności. Mam na myśli, oczywiście, tzw. koszty zewnętrzne, zwłaszcza związane z niszczeniem środowiska naturalnego. W branżach powodujących szczególnie wysokie straty tego rodzaju, konkurencyjne firmy mogłyby nie podołać podatkom rekompensującym te straty, bądź nakładom zapobiegającym im. Ale mogłyby im podołać monopole branżowe. Monopol niszczy jednak konkurencyjną strukturę rynku i powoduje odpowiednią redukcję dochodów. Przekonują mnie argumenty, że w takim przypadku lepszy byłby monopol państwowy niż prywatny.

Są i inne względy przemawiające za celowością utrzymania własności państwowej na trwałe lub przejściowo, dopóki dopóki zasada swobodnego wchodzenia na rynek przez nowych producentów nie doprowadzi do konkurencyjnej struktury rynku w danych dziedzinach.

Biorąc to wszystko pod uwagę sądzę, że sektor państwowy byłby u nas relatywnie większy niż w krajach zachodnioeuropejskich. Nie widzę jednak powodów, aby musiał on dominować, albo aby był sztywno ustalony raz na zawsze. Na Zachodzie wahania udziału sektora znacjonalizowanego wiążą się z przemiennością partii sprawujących władzę. U nas brak jest podobnego mechanizmu życia politycznego. Należałoby więc wyłączyć problematykę struktury własnościowej ze sfery ideologiczno-politycznej i traktować w sposób bardziej pragmatyczny.

To jednak nie oznacza, że dopuszczając do zmian w kierunku efektywniejszej struktury własnościowej, nie należy się liczyć z opinią społeczną. Nie wiemy dziś, jaki byłby stopień akceptacji społecznej dla spontanicznych przekształceń w proporcjach własności, gdyby opinia publiczna była rzetelnie zaznajomiona z sensem tego procesu. Przyпускаjąc, że pragmatyczne podejście do sprawy zyskałoby ostatecznie szeroką aprobatę. Opieram to na następujących przesłankach. Przede wszystkim gospodarka państwowa i w mieście i na wsi jest powszechnie i ostro krytykowana za ociężałość, niespójność, nieefektywność i marnotrawstwo. Przez pewien czas oczekiwano, że te wady sektora państwowego da się skutecznie usunąć, ale później wiera w to słabła stopniowo i obecnie zdaje się być mniejsza niż kiedykolwiek. Nie sądzę też, aby opory przeciw zwiększaniu udziału sektora prywatnego miały się brać z obaw przed bezrobociem. Bezrobocie kojarzy się najczęściej z gospodarką zdominowaną przez sektor prywatny, który u nas nie musiałby - podobnie jak sektor państwowy - mieć absolutnej przewagi. Oczywiście również gospodarka "mieszana", jako rynkowa, podlega wahaniom koniunkturalnym. Jednak wpływ państwa na ogólny poziom aktywności inwestycyjnej - a to jest istotne dla sytuacji na rynku pracy - jest w takiej gospodarce odpowiednio większy niż w gospodarce zdominowanej przez sektor prywatny. Krótko mówiąc, na pod-

stawie wiadomości o krajach zachodnich wytworzyło się przekonanie, że państwo może oddziaływać na ograniczanie skali bezrobocia, a o ile mu się to nie udaje, łagodzi skutki bezrobocia specjalnymi świadczeniami. Wreszcie, strach przed bezrobociem nie może być bardzo silny wśród obecnych roczników produkcyjnych, które nie doświadczają trudności w znajdowaniu pracy.

Niechęć pewnej części ludności do rozszerzania się sektora prywatnego istniałaby głównie z powodu wyższego w tym sektorze poziomu konsumpcji. Niechęć ta jest od czasu do czasu podsycana przez propagandę, eksponującą rozmaite schorzenia inicjatywy prywatnej, a pomijając fakt, że sektor prywatny nie może działać normalnie, gdy jest spychany na margines gospodarki za pomocą środków prawnych i pozaprawnych. Gdyby stworzono mu stabilne warunki działalności i rozwoju, pole dla zjawisk spekulacyjnych i naruszających prawo zwężyłoby się. Właściwe zasady podatkowe mogłyby równocześnie utrzymać rozpiętość dochodów w granicach społecznie tolerowanych.

Ostatecznie więc jestem przekonany, że gdyby rozluźniono u nas ograniczenia instytucjonalne w sprawie struktury własnościowej, to doprowadziłoby to do gospodarki mieszanej, która byłaby społecznie akceptowana. Tak jest w Chinach, tak byłoby i u nas i zapewne w innych krajach o gospodarce centralnie planowanej. Natomiast nie mam pojęcia do czego doprowadziłoby takie rozluźnienie ograniczeń w Związku Radzieckim. Jest to przypadek całkowicie odrębny.

Leszek Balcerowicz: - Kapitalizm w Rosji rozwijał się bardzo dynamicznie...

Janusz Beksiak: - Ale krótko.

Ryszard Bugaj: - Wydaje mi się, że pomieszaliśmy w tej dyskusji dwa wątki. Być może jeden z nich zresztą jest w ogóle nieistotny. Jeden wątek związany jest z pytaniem: co pożądate, co celowe, co wykluczone ze względu na pewne doświadczenia, jako nie rokujące żadnej szansy; a drugi - co możliwe, z wykorzystaniem bieżących realiów ekonomicznych i geopolitycznych. Chciałbym wrócić jeszcze do tego pierwszego wątku, co pożądate...

Leszek Balcerowicz: - Odrzucając wszelkie ograniczenia?

Ryszard Bugaj: - Nie, nie wszelkie. Nie odrzucając ograniczeń własnych, własnego systemu wartości, z perspektywy którego każdy z nas dokonuje ocen. Dlatego mówię wprost: zgodne z moim systemem wartości, są niewielkie dystanse społeczne, względny egalitaryzm. Między innymi poprzez te wartości, patrzę na rozwiązania ekonomiczne. Być może jestem w mniejszości, choć zdaje mi się, że raczej w większości. Na zachodzie nastąpił częściowy przynajmniej odwrót od keynizmu, słabsza jest chyba socjaldemokracja, nastąpił zwrot w kierunku liberalizmu i twardszych rozwiązań rynkowych. Hayek, który jeszcze dziesięć lat temu traktowany był jak skamielina, przeżywa obecnie renesans. Jednocześnie nastąpiło jednak wzmocnienie konfliktów społecznych, a państwa opiekuńczego nigdzie nie udało się zasadniczo ograniczyć. Rozwinięte gospodarki kapitalistyczne są jeszcze bardziej cudownymi maszynami do produkcji postępu technicznego, ale nie są w stanie uporać się z bezrobociem i nie uzyskują wysokiej etapy wzrostu.

Przywołuję te znane fakty by uzasadnić banalne stwierdzenie: także zliberalizowane gospodarki zachodnie mają względnie tylko zalety a "utwardzanie" rynkowych reguł spotyka się z silnym oporem społecznym.

Czy zatem zmiany w naszej gospodarce polegające na rozszerzeniu sektora prywatnego, eliminacji mechanizmów nakazowo-rozdzielczych i ustanowieniu demokratycznego systemu politycznego zawoczyłyby takim przyrostem sprawności, by można mówić, że gospodarka polska jest nie mniej sprawna od przeciętnych gospodarek zachodnich, a zarazem wolna od skrajnych form przymusu ekonomicznego? Tego oczywiście nie wiem, ale przypuszczenie takie wydaje mi się uprawnione. W każdym razie nie sposób kategorycznie twierdzić, że szansa tkwi wyłącznie w reprivatyzacji. Dlatego też politycznej blokady "drogi kapitalistycznej" nie postrzegam dramatycznie. Tragedia będzie, jeżeli okaże się raz jeszcze, że polityczna blokada obejmuje także radykalną reformę mieszczącą się w ramach gospodarki nieprywatnej.

Leszek Balcerowicz: - Jeśli dobrze zrozumiałem, główna teza Ryszarda jest taka: jest przeciw opcji umownie nazwanej kapitalistyczną, bo sądzi, że nieuchronnie prowadzić ona musi do rozpiętości dochodowych większych niż te, które skłonny jest uznać za dopuszczalne. Ale teza taka prowadzi wprost do pytania: jakie są te rozpiętości dopuszczalne? Czy te występujące teraz w Polsce są dopuszczalne, czy już nie? Istnieją nieliczne, ale dobrze udokumentowane empiryczne badania porównawcze rozpiętości dochodowych w krajach socjalistycznych i zachodnich. Wynika z nich, że wprawdzie, przeciętnie biorąc, rozpiętości w krajach zachodnich są większe niż RWPG, ale jest również liczna grupa krajów, gdzie rozpiętości nie są większe, a nawet mniejsze.

Ryszard Bugaj: - Badania te opatrzone są pewnie tysiącem zastrzeżeń, bo nawet my nie bardzo wiemy jakie są rozpiętości dochodów w Polsce...

Leszek Balcerowicz: - Zgadza się. Ale odpowiem ci tak: jeśli coś się komuś nie podoba, jest niezgodne z jego systemem wartości to zaatakuje zaraz warsztat ekonomisty.

Ryszard Bugaj: - Wszyscy poruszamy się niestety po miękkim gruncie. Ja zersztą nie twierdzę, że u nas są mniejsze zróżnicowania. Moim ideałem nie jest - jak zauważyłeś - gospodarka komunistyczna. Natomiast wydaje mi się /właśnie wydaje się/, że zreformowana gospodarka nieprywatna może funkcjonować przy mniejszych dystansach materialnych niż sprawna gospodarka kapitalistyczna.

Leszek Balcerowicz: - Zajmijmy się jednak rzeczami ciekawszymi. Dotychczas skupiliśmy się na wymianie argumentów: czy gdyby opcja kapitalistyczna była możliwa, to byłaby pożądana. Natomiast nic nie mówiliśmy o wariantach tej trzeciej drogi, czyli o niekapitalistycznym systemie gospodarczym, którego domaga się Ryszard.

Cezary Józefiak: - Postulowanie systemu oderwanego od realiów miejsca i czasu może być zajęciem przyjemnym, ale jest mało użyteczne. Powinniśmy szukać rozwiązania korzystnego gospodarczo i możliwego politycznie w tym sensie, że społeczne poparcie dla niego stworzyłoby szanse na rozszerzenie ograniczeń politycznych, bez czego nowego systemu nie można by wprowadzić i utrwalić. Ponieważ jednak napotykamy tu wiele niewiadomych, zarówno w sprawie stopnia "przesuwalności" ograniczeń politycznych, jak i w stosunku społeczeństwa do proponowanych zmian, możemy określać tylko postulowany kierunek tych zmian, a nie dokładne parametry systemu docelowego. W miarę osiągania postępu, powinno się dyskutować nad szczegółami dalszego kroku. Potrzebna jest ciągła dyskusja, nawet gdyby to miała być dyskusja...

Ryszard Bugaj: - Na Rakowieckiej.

Cezary Józefiak: - Tam następuje przerwanie dyskusji, a mnie chodzi o to, aby dyskusja była permanentna. Sensem tej dyskusji powinno być zweryfikowanie kolejnych postulatów. Za wiedząc trzeba uznać te postulaty, które zostaną uznane za warte popierania przez szerokie kręgi ludności; np. więcej samoregulacji rynkowych, mniej decyzji ustalanych w planie centralnym. Ważne jest przy tym, aby nie tracić już osiągniętych zdobyczy, choćby potrafić obronić taką pozycję samorządów, jaka została zapisana w ustawie...

Andrzej Topiński: - To jest postawa dość defensywna.

Cezary Józefiak: - Prawda, ale ma obronić przed nawrotami.

Andrzej Topiński: - Ale nie tworzy perspektywy systemu, który mógłby spełniać warunki efektywności. Jest to walka o to, aby nie było gorzej jak jest, choć zgadzamy się, że stan obecny jest niezadowolający.

Cezary Józefiak: - Domaganie się zgodności pozycji samorządów z tą jaką gwarantuje ustawa nie tworzy perspektywy, ale tylko wtedy, gdy izoluje się tę sprawę od innych spraw, np. od rynku. Jeśli zaś nie separujemy ich od siebie, wtedy okaże się, że samorzady pracownicze mogą być prawdziwymi gospodarzami jedynie w tych przedsiębiorstwach, które są samodzielne i odpowiadają za siebie. To wymaga, aby nad przedsiębiorstwami panował rynek, nie zaś administracja państwowa. Z obrony jednego postulatu rodzi się więc parę następnych.

Ryszard Bugaj: - Musimy pamiętać o tym, żeby mówić o warunkach realnych, ale nie w rozumieniu konkretnej, dziś rządzącej tym krajem ekipy. Namawiałbym panów do sformułowania pakietu takich minimalnych, naszym zdaniem, postulatów, żeby zobaczyć, czy występują tu między nami duże rozbieżności, uzasadnione nie tylko politycznie, społecznie, ale i ekonomicznie.

Leszek Balcerowicz: - Zakładając, że wykluczona jest czysta opcja liberalna i niedopuszczalny system nakazowo-rozdzielczy, mamy do wyboru jakiś zbiór systemów pośrednich, które mają swobody powstawania prywatnych przedsiębiorstw, bo inaczej w każdym normalnym społeczeństwie doszlibyśmy do systemu liberalnego; nie może też być w nich cech podstawowych systemu nakazowo-rozdzielczego, czyli manipulatory, dyrektywnego centralnego planowania i redystrybucji zysków poprzez aparat budżetowo-bankowy.

Jeśli tak zdefiniujemy klasę tych systemów, to jakie mamy, z grubsza, ich warianty? A więc system typu węgierskiego, czyli częściowo zdecentralizowany system etatystyczny z małym udziałem sektora niepaństwowego. Drugi - system typu węgierskiego, ale z większym udziałem sektora niepaństwowego. Trzeci wariant: system typu jugosłowiańskiego, czyli z dominującą rolą przedsiębiorstw samorządowych i zepchnięciem sektora prywatnego na margines. Można więc wyobrazić też sobie system typu jugosłowiańskiego z większym udziałem sektora prywatnego. Piąty typ, to system samorządowo-społdzielczy; różni się od samorządu w wersji jugosłowiańskiej tym, że pracownicy są faktycznie udziałowcami przedsiębiorstw, czyli w roli założyciela nowych przedsiębiorstw nie musi występować konieczność państwa, ale mogą i grupy osób fizycznych lub istniejące już przedsiębiorstwa samorządowe. Wersje tego systemu mogą dopuszczać większą lub mniejszą dominację sektora spółdzielczego nad prywatnym. I wreszcie ostatni typ

systemu - swobodny wybór: albo spółdzielcze formy własności, albo pracownicze spółki kapitałowe, ale bez rynku akcji, udziałów, bo - jak uczy doświadczenie - wtedy szybko wykształciłaby się grupa posiadaczy akcji nie będących pracownikami danego przedsiębiorstwa, co wykróczyłoby poza wyjściowe założenie.

Teraz, dysponując taką niedoskonałą klasyfikacją, należałoby porównać ze sobą te różne typy systemów, według umownych kryteriów: społecznych, politycznych i ekonomicznych. Nie jestem w stanie tu tego zrobić. Mogę tylko powiedzieć, że każdy z tych typów może być bardziej sprawny i innowacyjny, i lepiej dopasowywać podążać do popytu, niż system nakazowo-rozdzielczy, bo każdy z nich dopuszcza rynek produktów, a w części i rynek kapitałowy, a jednocześnie każdy z nich będzie najprawdopodobniej, z tych punktów widzenia, gorszy od systemu liberalnego. Dlatego, im bliższy jest typowi liberalnemu, tym lepiej. Najbliższy jest ten wymieniony przeze mnie jako ostatni: jest tam własność, przedsiębiorstwa spółdzielcze, pracownicze spółki akcyjne, duży sektor prywatny.

Cezary Józefiak: - Można podejść do tej sprawy od innej strony, tj. klasyfikować systemy nie według stopnia zbliżenia do "typu liberalnego", ale według oddalenia od systemu nakazowo-rozdzielczego. Doświadczenia krajów "realnego socjalizmu" wskazują na usłownienie zreformowania systemu mniej lub bardziej dogłębnie. Wyróżniłbym w związku z tym wariant technokratycznej decentralizacji, wariant samorządowej decentralizacji oraz wariant społecznie kontrolowanej gospodarki rynkowej. Pierwszy jest typu węgierskiego, drugi - typu jugosłowiańskiego, a trzeci odzwierciedla stosunek - ale nie najbardziej - radykalne postulaty zreformowania gospodarki polskiej, zgłaszane w latach 1980-81.

Wariant technokratycznej decentralizacji jest najbliższy rozwiązaniu tradycyjnemu tj. nakazowo-rozdzielczemu. Zachowuje on tradycyjne podejście do planu centralnego, rozumianego jako układ dających się łączyć przepływy produkcji i alokacyjnych wyrażonych w kategoriach fizycznych. Układ ten jest traktowany jako zestaw decyzji pierwotnych. Tradycyjnym elementem jest też status dyrektora przedsiębiorstwa jako urzędnika państwowego, zależnego od organów administracyjnych. Nowością jest natomiast zastosowanie nowego sposobu transmisji ustaleń planu centralnego do przedsiębiorstwa. Zamiast nakazów używa się tzw. narzędzi ekonomicznych czyli budżetowych, bankowych oraz administracyjnie regulowanych cen. Narzędzia te są "wyrowadzone" z centralnego planu i mają skłaniać przedsiębiorstwa do postępowania zgodnego z nim. Nowy mechanizm transmisji ustaleń planu centralnego zakłada decyzyjne usamodzielnienie przedsiębiorstw i zwiększenie roli "poziomych" więzi między przedsiębiorstwami. Handlowa forma tych więzi nie oznacza, że rynek działa tu aktywnie, gdyż podaż, ceny i dochody nie są wyznaczone przez rynek lecz przez organy państwowe. W rezultacie przedsiębiorstwa zorientowane są nie na informacje rynkowe, lecz na generowane przez administrację państwową "narzędzia ekonomiczne". Ten wariant systemu nie zapewnia osiągnięcia tego, co jego zwolennicy obiecują: proaktywnościowych zachowań przedsiębiorstwa oraz zbliżonych do równowagi ekonomicznej działań podmiotów gospodarczych. Ma też inne wady. W tym kierunku zdąża jednak faktycznie polska reforma.

W wariantcie samorządowej decentralizacji nie ma już tradycyjnego, "rzeczonego" planu centralnego. Zostaje on zastąpiony przez bardziej generalne ustalenia, wyrażane w kategoriach finansowych. Jest to zmiana we właściwym kierunku, ale jej skutki są mizerne. Częściowo wynika to stąd, że procesy gospodarcze pozostają pod stosunkowo słabym wpływem rynku. Nie mniej ważną przyczyną jest charakter mechanizmu decyzji centralnych. Podobnie jak w wariantach: tradycyjnym i

i technokratycznie zdecentralizowanym, tak i tu, wybór centralnej polityki gospodarczej dokonuje się w oparciu o niejasne kryteria. Instytucje decyzyjne, będące heterogenicznym tworem o formalnych i nieformalnych powiązaniach wewnętrznych, mają rozbieżne preferencje. Instytucje te nie podlegają efektywnej kontroli społecznej, wobec czego nie ma możliwości rzetelnego sprawdzenia, czy z dokonanego uzgodnienia rozbieżnych preferencji wyniknie spójna wewnętrznie polityka gospodarcza i czy może ona zapewnić osiągnięcia założonych celów. Zwykle centralna polityka gospodarcza okazuje się tu nie lepsza, niż w wymienionych wcześniej wariantach systemu. Charakterystyczne skutki tej planowej polityki gospodarczej to dysproporcje gospodarcze oraz odwlekanie zaspokajania niektórych ważnych celów konsumpcyjnych.

Dysproporcjom i nieefektywności mikroekonomicznej mają tu zapobiegać: deetatyzacja przedsiębiorstw czyli ich samorządowy charakter oraz ich rynkowa orientacja. Znowu można powiedzieć, że są to cechy pożądane, gdyż oznaczają uwolnienie przedsiębiorstw od ingerencji biurokratycznego aparatu, a uzależniają od powodzenia na rynku. Przykład Jugosławii pokazuje jednak, że w praktyce samorządność nie eliminuje nieformalnych nacisków aparatu partyjno-państwowego; a rynkowa orientacja nie oznacza poddania przedsiębiorstwa rygorom twardego ograniczenia budżetowego. W rezultacie przedsiębiorstwa nie są zadowolająco efektywne i innowacyjne. Jedyna korzyść płynąca z tego rozwiązania - ale też problematyczna na tyle całości - wiąże się z rozluźnieniem administracyjnej kontroli wielu cen. Sprzyja to równowagom rynkowym. Ale są one osiągnane głównie przez jednostronne, cenowe dostosowywanie popytu do podaży. Znacznie słabsze jest dostosowywanie programów produkcyjnych przedsiębiorstw do popytu przy danych lub przewidywanych cenach.

Konkluzją z tych uwag jest teza, że odchodzenie od tradycyjnego planowania centralnego oraz formalne uniezależnianie przedsiębiorstw od aparatu partyjno-państwowego, a uzależnianie ich od rynku, nie są skuteczne, jeśli gospodarka na wszystkich poziomach decyzji jest faktycznie zależna od niekontrolowanego aparatu politycznego i administracyjnego. Ta konkluzja wiedzie do trzeciego wariantu systemu: społecznie kontrolowanej gospodarki rynkowej. Wariant ten postuluje poddanie polityki gospodarczej, centralnych organów formułujących ją i nadzorujących jej realizację, efektywnej kontroli społecznej. Postuluje także pragmatyczne podejście do prognozy sektorów własnościowych, rygory twardego ograniczenia finansowego, także wobec przedsiębiorstw państwowych, oraz istnienia autonomicznego rynku.

Tadeusz Kowalik: - Miałem zamiar wsiąść na swego konika i mówić o "reformie przekłomowej". Reformie radykalnej, ale w ramach tego samego systemu politycznego, czyli przy zachowaniu kierowniczej roli partii komunistycznej w państwie. Cezary wygłosił jednak, w trzech częściach, tak zasadniczy referat, że skłania mnie to do wypowiedzi czysto polemicznej. Cezary ucieszył mnie kładąc tak silny nacisk na wielosektorowość, na ograniczenie sektora państwowego i reszerowanie pozostałych. Wypowiedział jednak przy tej okazji poglądy, które wydają się przeczyć maksymie realizmu, jego wcześniejszej inwencji, że "powinniśmy szukać rozwiązania korzystnego gospodarczo i możliwego politycznie...".

Choć mi zakaszcza o jego sugestii, adresowaną chyba głównie do ośrodków władzy, aby "wyłączyć problematykę struktury własnościowej ze sfery ideologiczno-politycznej i traktować ją w sposób bardziej pragmatyczny". Odbieram to trochę tak, jakbyśmy proponowali Episkopatowi, by Pismo Święte traktował wyłącznie jako przedmiot nauki. Albo "MARLEN-ie", by tak traktowała pisma Lenina...

Niestety, ta sprawa - struktury własnościowej - musi się rozgrywać równocześnie na płaszczyźnie gospodarczej i ideologicznej - politycznej.

Myślę też, że pragmatycznemu złudzeniu poddaje się Cezary, gdy zastanawia się, jakie dokonałyby się przesunięcia w strukturze własnościowej, gdyby "zostały rozluźnione ograniczenia polityczne blokujące spontaniczne procesy społeczne i gospodarcze". Można tu przewidzieć dwa skrajne wypadki. Pierwszy, gdy owo rozluźnienie byłoby rezultatem paraliżu władzy politycznej. W tym przypadku spodziewałbym się raczej gwałtownego, chociaż przejściowego, "przechyłu" reprywatyzyzacyjnego, a nie racjonalnego eksperymentowania pod kątem rozwiązań najbardziej efektywnych. Powołanie się jednak Cezarego na Chiny wskazuje, iż ma on na widoku raczej sytuację powstałą wskutek świadomego i stopniowego odblokowywania spontanicznych procesów przez władze, które ufają, że potrafią te procesy utrzymać w pewnych ramach. Pragmatyzm władzy jest jednak wynikiem wcześniejszego /choć może milczącego/ ideologiczno-politycznego zaakceptowania owych dopuszczalnych ram. Oczywiście, władza nie ma w tej sprawie jasnego obrazu. Raczej przeszerca na początku możliwość sterowania tymi procesami i gdy ujawnia się zjawiska i procesy nieantycypowane, władza zaczyna się wycofywać lub szukać rozwiązań zastępczych. W Chinach obserwujemy pierwsze zjawiska przerażenia władzy. Stąd sporo niekonsekwencji. Innym przykładem był Gomulka zezwalający po Październiku na rozwiązanie słabych spółdzielni produkcyjnych. W moim przekonaniu krok ten był tylko zewnętrznym pragmatyzmem. Kryły się za tym głębsze i wcześniejsze racje ideologiczne i polityczne.

Zmierzam do tego, że bardziej radykalne przesunięcia w strukturze własności mogą być dokonane tylko po podważeniu pewnych dogmatów, po zmianie orientacji ideowo-politycznej. Po jasnym przedyskutowaniu politycznych konsekwencji owych przesunięć. Do tego m.in. potrzebny jest intelektualny i społeczny ruch na rzecz reformy, by zdał on sobie i ośrodkom władzy sprawę zarówno z korzyści gospodarczych, jak i konsekwencji politycznych. Odpowiedzialność tego ruchu ma polegać m.in. na tym, iż wskazać ma wyraźne granice możliwych reform. Granice i konsekwencje. Osobiście uważam, że tak jak uczyniono to w Gdańsku latem '80, trzeba wyraźnie mówić, iż domagamy się reformy w warunkach kierowniczej roli partii w państwie, iż chodzi nie o zniesienie nomenklatury, lecz tylko o jej ograniczenie. A w perspektywie ogólniejszej - trzeba dowodzić, że podobnie, jak to się stało swego czasu w Jugosławii, radykalne reformy mające na celu inną postać "gospodarki nieprywatnej", mogą przynieść znaczne wzmocnienie systemu politycznego.

Jeśli nawet przesadnie wyeksponowałem potrzebę pewnej wizji reformy i zreformowanego systemu, jej granic, przy kwestii pragmatyzmu zmian w strukturze własności, to na pewno nie przesadzałem, gdy twierdzę, że pragmatyczne potraktowanie, jak to w gruncie rzeczy uczynił Cezary, jego koncepcji "społecznie kontrolowanej gospodarki rynkowej" przekształca ją w koncepcję utopijną.

Ma ta propozycja oznaczać "poddanie polityki gospodarczej i centralnych organów formułujących ją i nadzorujących jej realizację - efektywnej kontroli społecznej". Wiadomo przecież, że bez skutecznej egzekutywy, kontrola społeczna nie może być efektywna. Że wobec centralnych organów najsukuteczniejszym narzędziem kontroli jest możliwość zmiany obsady personalnej w drodze powszechnych wyborów. W drodze konkurencyjnej walki o władzę. Czy to miał na myśli Cezary? Chyba tak, gdyż mówi, iż jego propozycja jest esencją radykalnych haseł z lat 1980-81. Wówczas istotnie hasło wolnych wyborów pojawiało się w różnych odmianach.

Taką mniej więcej propozycję przyszłościową rozwija Alec Nove w książce "The Economics of Feasible Socialism". Ale on już się nie

spiesz. Napisał tę książkę po przejściu na emeryturę i traktuje ją wyraźnie jako pewne filozoficzne pożegnanie z życiem aktywnym. Zresztą, on mówi wyraźnie, iż rozpatruje tę możliwość /powstania na Wschodzie i na Zachodzie Europy socjalizmu pluralistycznego - przyp.red./ w skali pięćdziesięciu lat.

Cezary natomiast tak się spieszy do swej społecznie kontrolowanej gospodarki rynkowej, że dokonał nad wyraz jednostronnej krytyki dezawuującej model samorządowy, a właściwie rozwiązanie jugosłowiańskie. W tym wydaniu istotnie model samorządowy ma wiele ułomności. Uważam jednak, że między tym jego wcieleniem, a społecznie kontrolowaną gospodarką rynkową znajduje się cała gama niewyprobowanych możliwości. Już rezygnacja z dogmatu samorządowego, jako jedynej formy zarządzania /nie tylko sektor prywatny, lecz i spółdzielczość ma tam ciężkie życie, gdyż nie mieści się w dogmacie/, mogłoby przynieść znaczne zwiększenie efektywności. Wiele woluminary i arbitralności zniknęłoby, gdyby tam dopuszczono swobodną artykulację publiczną interesów różnych grup zawodowych i społecznych, czyli gdyby dopuszczono pluralizm społeczny ograniczony ramami jednopartyjnego monocentryzmu. Podobnie ma się sprawa ze zmianą relacji między republikami a władzą centralną. W Jugosławii na przykład jest mniej centralnego planowania niż w takiej Francji.

Janusz Beksiak: - Nie zgadzam się z takim stawianiem sprawy. Po pierwsze, nie odpowiada mi rozdźwięk między tym co się głosi, a tym, co się naprawdę myśli. Po drugie, "rozsądne ograniczenie nomenklatury" nic dla mnie nie znaczy. Jest to tyle, co utrzymywanie starych praktyk. Tak dotychczas z reguły kończyły się "rozsądne ograniczenia" zamowli władzy centralnej. Przy okazji uwaga do tego, co mówili Leszek Bałcerowicz i Cezary Józefiak o wariantach zreformowania obecnego systemu. Otóż, moim zdaniem, wszystkie one pozostawiają nienaruszone podstawowe cechy tego systemu, a przede wszystkim tę właśnie nomenklaturę. I tym samym nie obiecują ani głębszych, ani trwałych zmian. Myślę, że jest więcej ludzi, których - tak jak mnie - takie skromne reformy już nie zadawalają.

Czuje się, przysznaję, dość osamotniony, ale powtarzam swoją tezę: im więcej swobody dla wszelkich form przedsiębiorczości, tym lepiej. Obawy, że to się może źle skończyć, uważam za bart. Niech się raz wreszcie zacznie, wtedy zobaczymy, co robić dalej. Zastanawianie się nad tym, gdzie postawić granicę: przy pięćdziesięciu zarobkowych, czy przy stu - jest ukrecaniem lub całej sprawie. Ponadto: im mniej państwa, tym lepiej. Większości tych spraw, których nie jest w stanie załatwić rynek i samodzielne przedsiębiorstwa - nie musi naprawdę załatwiać państwo. Mogą i powinny powstać różnorodne stowarzyszenia, organizacje, fundacje, itd., które będą te funkcje spełniały. Mamy na to wiele przykładów w przeszłości, i obecnie, w krajach, gdzie państwo nie próbuje pakować swego nosa we wszelką działalność ludzką.

Przyjmując taką koncepcję ogólną, jestem przeciw projektowaniu modelu społecznego, natomiast dość wyraźnie opowiadał się za określonym kierunkiem zmian. Nie jest wykluczone, że gdyby proces zastępowania państwa w gospodarce przez inne podmioty w ogóle się zaczął, to za dwa lata sam podniósłbym krzyk, żeby coś szło nie tak. Ale niechże się to raz wreszcie zacznie. Inaczej wszystkie te wasze warianty są podkładaniem patyczków pod siedzenie człowieka tonącego w bagnie. Wszystkie te rozwiązania węgierskie, jugosłowiańskie, czy czechosłowackie, chińskie mają według mnie te same zasadnicze wady: nie dają ludziom ani autentycznej możliwości działania, ani aktywnego udziału w życiu społecznym i politycznym.

Co nam przeszkadza wystartować - wiemy: monopol polityczny i

gospodarczy jednej partii. Powiem szczerze: po dotychczasowych próbach zreformowania tej gospodarki, w których przecież uczestniczyłem, straciłem nadzieję, że uda się ruszyć z miejsca bez usunięcia tej przeszkody.

Bywają próby formułowania postulatów reformatorskich, które są mi bliskie. Cóż jednak z tego, jeśli usiłują one zachować pozory tzw. realizmu i postulują np. pozostawienie monopolu władzy w jednych rękach, jakby zapominając o tym, że tym samym skazują na niepowodzenie większość proponowanych reform.

Tadeusz Kowalik: - Rozwój jest stopniowalny. Na jakiej zasadzie wykluczasz stopniowanie przy rozwoju państw komunistycznych? Na jakiej podstawie negujesz, że przejście od milionów decyzji do setek tysięcy, od systemu w pełni dyrektywnego do takiego węgierskiego, jest krokiem naprzód? Dlaczego zakładasz, że czerwona czapczka ma mieć tylko jeden rozmiar?

Janusz Beksiak: - Niczego takiego nie neguję. Uważam tylko, że jest to poruszanie się w ramach tego samego systemu. Ograniczenie liczby decyzji podejmowanych centralnie niczego w istocie nie zmienia. Kiedy "na dole" podjęta zostaje naprawdę ważna decyzja, która nie podoba się władzy, to władza postara się ją zmienić. Tak dotychczas było zawsze w naszej praktyce. Nie jestem w ogóle przeciwko "małym" reformom. One mogą coś usprawnić, mogą ulżyć ludziom. Ale uważam, że nie jest to żadne poważne wyjście z naszej sytuacji. Półki gospodarka jest w rękach określonej grupy polityków, którzy mają monopol na władzę, póty nie ma nadziei na poważny postęp w działaniu gospodarki. Nie zniknie bowiem ani nomenklatura, ani urzędnicza hierarchia, ani nakazy jako sposób zarządzania. Nie powstaną też prawdziwe przedsiębiorstwa, ani prawdziwy rynek. W rezultacie po każdej takiej połowicznej reformie będzie następował powrót do systemu tradycyjnego. Taką szamotaninę obserwujemy nie tylko w Polsce, gdzie właśnie nie udaje się trzećca wielka próba reformy, ale także w innych krajach np. na Węgrzech czy w Jugosławii.

Ryszard Bugaj: - Doskonale rozumiem emocjonalne źródła niechęci Janusza Beksiaka do wszelkich reform częściowych i snucia projektów. Jednak brak jest jednoznacznych argumentów przesadzających, że zmiany "częściowe" nie mogą przynieść poprawy /nawet istotnej/. Przecież to co w zarysie proponuje Cezary nie zostało nigdzie w praktyce sprawdzone. Jego propozycja jest "częściowa", ale jest to w pewnym sensie propozycja nowa - między innymi wystająca z krytyki niedostatecznego zakresu zmian praktycznie realizowanych /np. na Węgrzech/.

Nie wydaje mi się by alternatywą tych częściowych propozycji był postulat równouprawnienia różnych sektorów własnościowych. Ten postulat mi zresztą odpowiada. Jeżeli jednak ograniczamy się do tego postulatowi to zajmujemy pozycję co najwyżej ideologiczną, ale nie ponadto...

Cezary Józefiak: - Chyba nawet nie. Równorzędne traktowanie przez prawo i przez praktykę gospodarczą zapisane jest jako teza w "kierunkach reformy gospodarczej".

Ryszard Bugaj: - Mam na przykład wątpliwość, czy równouprawnienie interpretowane jako równe obciążenie podatkowe /również dochodów indywidualnych przeznaczonych na konsumpcję/ doprowadzi do ekspansji sektora prywatnego. Prawdopodobnie potrzebna jest jakaś polityka preferencyjna. Nie istnieje tu żadna "neutralna" polityka. I

dlatego nie można się obyć bez prognozy następstw pierwszego przynajmniej kroku. Inaczej nieomal programowo rezygnujemy świadomie ze swej funkcji.

To dotyczy także innych fundamentalnych problemów - np. regulacji rynkowej. Zgadzam się z Tadeuszem Kowalikiem, że regulacja taka jest stopniowalna i dlatego jeśli mówi się: jestem za gospodarką rynkową, trzeba powiedzieć dokładnie, co ma się na myśli. Rynek regulowany, to przecież ograniczenia rynku autonomicznego.

Centralnym pytaniem jest właśnie zakres racjonalnej przenośności instytucji rynkowych z gospodarki prywatnej do nieprywatnej. Dość często zakłada się, że jest on nieograniczony. Wątpię, czy tak jest. Myślę, że w gospodarce nieprywatnej system pobudzania przedsiębiorstwa musi "wisieć" na płacach załogi. Ma to trudne do przecenienia konsekwencje motywacyjne - np. dla procesów decyzyjnych dotyczących dużych przedsięwzięć /inwestycji/ o efektach niepewnych i odroczonego czasu, możliwości realnego funkcjonowania rynku kapitałowego itp.

Jeżeli tak jest w istocie, to autonomiczny rynek może nie wykasować wszystkich swoich potencjalnych walorów nawet w ramach systemu, który sugeruje Cezary Józefiak. Oznaczałoby to, że zakres jego regulacji musiałby jednak być znaczny. Zasadnicza staje się wówczas kwestia systemu politycznego, jego demokratyzacja. Zatem społeczna kontrola aparatu państwa i mi - w oparciu o nieco inne przesłanki - jawi się jako kluczowa. Jej urzeczywistnienie - w jakimś stopniu - wydaje się możliwe bez pełnego pluralizmu politycznego. Można sobie wyobrazić że będzie ona wykonywana...

Leszek Balcerowicz: - Przez KC?

Ryszard Bugaj: - Kpisz!

Janusz Beksiak: - Czyli klops. Koło nam się zarknęło.

NOTY O DYSKUTANTACH

Leszek BALCEROWICZ - pracownik naukowy SGPiS, w latach 1980-81 zespół pod jego kierunkiem przygotował alternatywny projekt reformy gospodarczej.

Janusz BEKSIK - pracownik naukowy SGPiS. Był doradcą ekonomicznym Edwarda Gierka. Zrezygnował sam z tej pracy wtedy, kiedy niewiele jeszcze jęszcze przegrywał. Opublikował m.in. "Zmiany w gospodarce", "Społeczeństwo gospodarujące".

Ryszard BUGAJ - pracownik naukowy Instytutu Nauk Ekonomicznych Społecznych PAN /poprzednio Komisja Planowania/. Uczestniczył w pracach Komisji ds. Reformy Gospodarczej jako obserwator i doradca ekonomiczny Komisji Krajowej NSZZ Solidarność.

Cezary JOZEFIAK - pracownik naukowy, delegat na IX Zjazd PZPR, obecnie bezpartyjny. Członek Komisji ds. Reformy Gospodarczej. Doradca ekonomiczny Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Autor wielu publikacji gospodarczych.

Tadeusz KOWALIK - historyk gospodarczy, pracownik naukowy. Naczelny redaktor "Życia Gospodarczego" w roku 1956. Członek zespołu doradców gdańskiego MKZ. Opublikował m.in. "Suory o ustrój

gospodarczy" - wyd. NOWA.

Andrzej TOPIŃSKI - pracownik naukowy Instytutu Nauk Ekonomiczno-Społecznych PAN. W roku 1981 uczestniczył w pracach Ośrodka Praco Społeczno-Zawodowych przy KK. Specjalizuje się w zagadnie ach inflacji.

JUGOSŁAWIA : bilans sukcesów i niepowodzeń .

Gdyby ekonomiści mieli prawo wyboru kraju, w którym wprowadza się system samorządowy, aby obserwować jego efekty, nie wybraliby raczej Jugosławii. Jest to państwo bardzo niezwykłe. Utworzono je w 1918 roku przez przyłączenie Serbii i Czarnogóry do Słowenii, Chorwacji, Bośni, Hercegowiny i Wojwodiny. Stanowiły one do tego czasu część Monarchii Austro-Węgierskiej, leżącą w dorzeczu Drawy i na południe od niej, a zamieszkiwaną przeważnie przez Słowian. Mieszkańcy wszystkich tych krajów, czy prowincji nigdy przedtem nie byli poddaniymi jednego władcy. Północno-zachodnie Słowenia i Chorwacja były w większości katolickie i bardziej rozwinięte gospodarczo, niż kraje leżące na południu i wschodzie. Bośnię i Hercegowinę zamieszkiwali Chorwaci i Serbowie, którzy byli podzieleni między trzy wyznania: katolicyzm, prawosławie i islam. Większość mieszkańców Serbii stanowili Serbowie, mówiący językiem nieco różnym od chorwackiego; prawosławni. Ale południową Serbię zamieszkiwała także znacząca mniejszość Macedończyków i Albańczyków. Czarnogóra była niewielką, górzystą krainą, raczej odrodzoną od świata, zamieszkaną przez Serbów z mniejszością albańską. Wojwodina była "tygłem" wielu narodów, głównie Serbów, Chorwatów, Węgrów, Niemców, Słowaków i Rumunów.

Zadanie sformułowania zjednoczonego państwa z tych zupełnie różnych elementów, które w dodatku stały na odmiennych szczeblach rozwoju ekonomicznego, było niezwykle trudne dla każdej władzy politycznej. Utrudniała je dodatkowo natura władzy już właściwie istniejącej: rządził serbski król, wraz z parlamentem złożonym głównie z Serbów, oraz serbską administracją, policją i wojskiem. Najsilniej protestowali przeciw takiej sytuacji Chorwaci, stanowiący najliczniejszą mniejszość i świadomi ustępstw, na jakie poszli przy-

Obszerne fragmenty ostatniego rozdziału książki "Yugoslav Socialism. Theory and Practice" /Oxford 1984/. Autor, obecnie emerytowany profesor wykładał ekonomię na kilku uniwersytetach w Australii i Anglii, pracował także w ONZ. W młodości był robotnikiem fizycznym, pracował także w handlu. Główną zaletą książki, widoczną również w drukowanym tu fragmencie jest wnikliwa konfrontacja teoretycznych i ideologicznych założeń samorządowego modelu gospodarczego z praktyką gospodarki jugosłowiańskiej, analizowana na szerokim tle społecznych i politycznych uwarunkowań. Z drukowanego rozdziału usunęliśmy kilka wstępnych stron, zawierających trudno zrozumiałe, bez lektury wcześniejszych partii książki, rozważania nad teoretycznym modelem samorządowym. Tytuł i część śródtytułów pochodzą od redakcji.

łączając się do bardziej opóźnionych narodów wschodu i południa. W okresie międzywojennym Chorwaci walczyli o większą autonomię i wprowadzenie systemu federacji. W przededniu II wojny światowej byli bliscy sukcesu, zagrożić mogła im tylko reakcja ze strony Serbów. Problem pozostał wciąż nierozwiązany, gdy w kwietniu 1941 roku państwa "Osi" brutalnie napadły na Jugosławię.

Nie ma potrzeby przytaczać historii powstawania partyzantki jugosłowiańskiej i rosnących wpływów komunistów pod przywództwem Tito. Należy jednak podkreślić, że do sukcesu komunistów przyczyniły się partyjne hasła "jedności i braterstwa" ludów Jugosławii we wspólnych walce przeciw najeźdźcom. Podkreślanie potrzeby stworzenia federacji oraz przyznanie praw większości narodów /z całkowitym wyłączeniem Niemców i z zastrzeżeniami wobec Albańczyków/ stało się podstawą powojennych konstytucji federalnych, które stopniowo ustanowiły podział władzy pomiędzy sześć republik i dwa okręgi autonomiczne.

Dwa konie w zaprzęgu.

W efekcie, Jugosławią jest najbardziej autentyczną federacją ze wszystkich państw świata /ze Szwajcarią włącznie/. Rząd federacyjny posiada obecnie bardzo ograniczoną władzę; decyduje jedynie w sprawach obronności i ceł. Jego budżet jest pod kontrolą parlamentarnych reprezentantów republik i okręgów, którzy muszą jednogłośnie zaaprobować jakkolwiek znaczącą zmianę polityki ekonomicznej. Każda republika i okręg posiada własny bank narodowy /ale bez odrębnej waluty/, własny plan gospodarczy /tylko częściowo uzgadniany z planem federalnym/, i w efekcie własny bilans płatniczy.

Decentralizacja sięga nawet dalej. Kiedy Jugosławią postanowiła wprowadzić samorządowość w gospodarce, partia - sprawująca dotąd władzę absolutną nad sprawami ekonomii i całym życiem obywateli w systemie stalinowskim - zdała sobie sprawę z zagrożeń, jakie dla niej stwarza prawo robotników do podejmowania decyzji w zakładach pracy. Metoda utrzymania kontroli partii w nowych warunkach polegała na przekazaniu władzy w ręce ogniw terenowych, które miały teraz nadzorować wszystkie istotne decyzje przedsiębiorstw. W ten sposób aparat polityczny partii, któremu władze lokalne były całkowicie podporządkowane /jak wszystko inne zresztą/, wciąż mógł skutecznie sprawować kontrolę. Od czasu tamtych początków, ognia lokalne straciły trochę wpływów na rzecz władzy wykonawczej na szczeblu republik i okręgów /oraz władz partyjnych tego szczebla/, ale przywódcy partyjnych ogniw terenowych nadal mają szerokie uprawnienia, a niektórzy, z nich rządzą się na swoim terenie jak w niezależnej republice.*/ Jugosławią jest zbankanizowaną federacją.

Nie jest to jedyna szczególna właściwość warunków jugosłowiańskich. Nie wolno zapominać, że w Jugosławii rządzi partia marksistowsko-leninowska, która ma absolutny monopol władzy politycznej, oraz kontroluje środki masowego przekazu, szkolnictwo, organizacje młodzieżowe, związki zawodowe, policję i wszystkie inne instytucje, prócz Kościoła. Wielki to paradoks, że taka partia w ogóle zgodziła się wprowadzić system samorządów robotniczych. Logicznie

x/ "Terenowe ognia partyjne do tego stopnia angażują się w sprawy gospodarcze, że bez ich zgody nie można obsadzić stanowiska dyrektora, zbudować fabryki, zgromadzić zasobów czy siły roboczej. Stale budujemy fabryki, często bez potrzeby, na rozkaz władz partyjnych, ponieważ jedynie tą drogą można skłonić władze terenowe do rozwiązywania problemów lokalnych: począwszy od spraw związanych z zatrudnieniem, poprzez budownictwo mieszkaniowe, nowe szpitale, szkoły i drogi."

rozumując system ten mogły pozbawić partię jej wpływów. Istnieją dwa wyjaśnienia tego paradoksu: po pierwsze, ideologia samorządności powstała w obliczu zagrożenia niepodległości Jugosławii przez Stalina; po drugie, ów wybór miał w podtekście tradycje jugosłowiańskie - patriotyzm lokalny oraz partyjne hasła z czasów wojny: "jedność i braterstwo".

W ten sposób Jugosławia stała się krajem z dwoma kołami w zaprzęgu, które nie zawsze ciągną w tym samym kierunku: samorząd robotniczy, obok partyjnego monopolu władzy w imieniu proletariatu. Logicznym pogodzeniem celów samorządu oraz dyktatury proletariatu byłoby stwierdzenie, że samorząd robotniczy jest "urzeczywistnieniem tej dyktatury. Ale takie rozwiązanie nie pozostawiłoby miejsca dla wiodącej roli partii. Podejmowano już wysiłki w tym kierunku, w latach pięćdziesiątych, kiedy to partia miała uwolnić administrację z żelaznego uścisku i stać się organizacją filozofów i ideologów - czymś w rodzaju komunistycznego kleru, stojącego ponad władzą doczesną. Ale z przyczyn oczywistych tak się nigdy nie stało, a w latach siedemdziesiątych nastąpiło wzmocnienie roli partii. W międzyczasie, w latach sześćdziesiątych, na fali uczuć narodowych używano doktryny samorządu w republikach i okręgach dla podtrzymania federacji /czyli decentralizacji/. Partia, która wzmocniła swoje wpływy w latach siedemdziesiątych, zmuszona była działać w nowych ramach konstytucyjnych, co doprowadziło do "sfederalizowania" samej partii. W pewnym sensie Jugosławia jest obecnie federacją państw monopartyjnych, ograniczonych przymusem jedności wszystkich ośmiu partii w obliczu groźby możliwego odrodzenia się "centralizmu demokratycznego", oraz z powodu ryzyka, że spory wewnątrzpartyjne osłabią kontrolę sprawowaną przez partię nad narodem i dostarczą powodów obcej interwencji.

Mimo wszechobecności partii - bezpośrednio lub pośrednio, np. poprzez aparat władzy wykonawczej lub kontrolowane "organizacje społeczno-polityczne", takie jak związki zawodowe, czy Związek Ludu Pracującego - Jugosławia wciąż zachowuje niektóre główne cechy gospodarki samorządowej. Nie istnieje centralne planowanie, a przedsiębiorstwa działają w warunkach rynkowych. Mimo rosnącej liczby interwencji administracyjnych dotyczących cen, wymiany międzynarodowej, rozdania kredytów, decyzji inwestycyjnych, zatrudnienia, oraz obradania stanowisk kierowniczych, okazuje się jednak, że przedsiębiorstwo musi się utrzymać z rynkowej sprzedaży swoich produktów. Przedsiębiorstwa jugosłowiańskie w sektorze uspołecznionym napotykały trudności pod wieloma względami przypominające problemy brytyjskich przedsiębiorstw znacjonalizowanych: połączone naciski polityczne i rynkowe osłabiają morale pracowników i ich wydajność. Ale robotnicy jugosłowiańscy posiadają istotne prawa, które im nominalnie przysługują: prawo wyboru rad robotniczych, prawo zatwierdzenia wszystkich ważniejszych decyzji w przedsiębiorstwie i kandydatur członków zarządu przedsiębiorstwa. Wiele czasu i wysiłków poświęca się przy tym działalności instytucji samorządowych. W rezultacie robotnicy jugosłowiańscy czują się przeważnie bardziej związani ze swoim zakładem, niż pracownicy brytyjskich znacjonalizowanych fabryk.

x/ Różnica ta nie jest jednak zbyt wielka. W ankiecie przeprowadzonej wśród robotników w Słowenii, 60 procent ankietowanych odpowiedziało, że nie identyfikują się z podstawową organizacją, w której pracują i równie dobrze mogliby pracować w jakiejś innej organizacji. "Ekonomika politika", 13 grudnia 1982, str. 24.

Wniosek jest następujący: bez względu na rozmaite próby klasyfikacji, system jugosłowiański jest przede wszystkim gospodarką rynkową, a podstawowa motywacja robotników przedsiębiorstw uspołecznionych wywodzi się z przysługujących im praw do samorządu, z których korzystają w miarę możliwości, by podejmować decyzje mogące zwiększyć ich własne dochody. Jugosławia w żadnym wypadku nie posiada systemu rynkowego typu *laissez-faire*. Ale bardzo niewiele systemów reprezentuje ten typ gospodarki /*laissez-faire*/. Prawa rynku oddziałują bardzo silnie, nawet gdy ogranicza je masa zarządzeń i interwencji - działają wtedy nadal, choć w sposób nieco skrzywiony i osłabiony. Doświadczenia jugosłowiańskie dostarczają w ten sposób ważnych informacji na temat ukrytych tendencji systemu rynkowo-samorządowego. Jeśli ich interpretacja będzie dokładna, można przy ich pomocy zbadać, jak taki system funkcjonuje w innych, swobodniejszych warunkach.

INTERPRETACJA DOŚWIADCZEŃ JUGOSŁOWIAŃSKICH

Obraz jugosłowiańskich osiągnięć gospodarczych z ostatnich trzydziestu lat jest niewyraźny. Pod pewnymi względami stanowi historię wielkich sukcesów, ale zna też porażki i potknięcia. Poniższe rozważania podzielono więc na dwie części: w pierwszej opowiemy o sukcesach, w drugiej o porażkach.

Przyczyny sukcesu

W latach 1950-1979 w Jugosławii notowano bardzo szybki wzrost dochodu narodowego, produkcji przemysłowej, wydajności pracy w przemyśle i rolnictwie, zatrudnienia w całym sektorze uspołecznionym, oraz indywidualnych dochodów i konsumpcji w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Od roku 1979 wszystkie te wskaźniki spadły, w niektórych przypadkach - np. indywidualny dochód i konsumpcja - bardzo drastycznie. W latach 1979-1982 płaca realna w przeliczeniu na głowę robotnika w sektorze uspołecznionym zmniejszyła się w sumie o 15 procent.

Główną przyczyną szybkiego wzrostu produkcji i wydajności w gospodarce uspołecznionej w latach 1950-1979 była wysoka stopa inwestycji. Inwestycje przemysłowe stanowiły priorytet w pierwszych latach powojennych. Rząd kontrolował fundusz inwestycyjny i jego rozdział jeszcze długo po wprowadzeniu "samorządności". Po osłabieniu w 1965 r. kontroli ze strony rządu, przedsiębiorstwa nadal dużo inwestowały, częściowo poprzez reinwestycje, ale coraz częściej z pożyczek bankowych. Wysoka stopa inwestycji podtrzymywana była w o-
późniejszym okresie przez realnie niską stopę procentową, naciski ze strony lokalnych polityków do budowania "fabryk politycznych" oraz przez fakt, iż robotnicy i dyrektorzy mieli ograniczone poczucie odpowiedzialności za społeczny kapitał, w którym nie posiadali własnych udziałów. W konsekwencji, globalne inwestycje okazały się zbyt wielkie i trzeba było, od czasu do czasu, obniżać je, stosując deflacyjne środki zaradcze.

Drugą poważną przyczyną wzrostu produkcji były "zwierzęce apetyty" wywołane przez zwycięstwo nad okupantem i wyraźną szansą na szybki rozwój kraju, który podobnie jak inne kraje na południu Europy, był pełen gotowości do wprowadzenia nowoczesnych technologii. W pierwszych latach po wojnie, cała ta energia znalazła ujście w dobrowolnej pracy przy odbudowie i długich, marnie opłacanych, dniówkach. Po wprowadzeniu samorządów zaczęto kłaść większy nacisk na modernizację i polepszenie jakości produktów; bardziej liczone się też z popytem rynkowym. Menadżerowie, uwolnieni od stalinowskiego kaftana bezpieczeństwa, zaczęli wprowadzać nowe technologie i nowe produkty, bardziej też liczyli się z kosztami. Wyniki stanowią wy-

rażny dowód, że decentralizacja decyzji oraz gospodarka rynkowa przynoszą lepsze efekty, niż gospodarka oparta na systemie nakazowo-rozdzielczym.

Niestety, skrzywienie systemu samorządowego w kierunku inwestycji kapitałochłonnych w ramach istniejących przedsiębiorstw, w połączeniu z niefrasobliwością inwestycyjną z powodów politycznych i ekonomicznych, doprowadziło do skoncentrowania inwestycji w wybranych przedsiębiorstwach i gałęziach przemysłu. Niekorzystne efekty takiej polityki, której rezultatem była także niepotrzebna koncentracja siły roboczej w wybranych branżach, pogłębiał systematycznie nacisk czynników politycznych i społecznych, by przyjmować do zakładu więcej pracowników, niż wymaga tego stosowana technologia. Reforma gospodarcza w roku 1965 doprowadziła do nacjęj redukcji nadmiaru zatrudnionych i w związku z tym do wzrostu bezrobocia i emigracji: Trend ten został znów zahamowany w latach siedemdziesiątych, ale wyłącznie przez ponowną presję polityczną w kierunku zatrudniania jak największej ilości osób. Jest to jedna z przyczyn nagłego spadku wskaźników wzrostu produkcji i wydajności w ostatnich latach, pomimo utrzymania wysokiej /choć już nieco niższej/ stopy inwestycji.

Innym czynnikiem, który ujemnie wpłynął na gospodarkę jugosłowiańską w ostatnich latach, jest oczywiście wzrost cen ropy i późniejsza recesja gospodarcza na świecie. Podobnie jak wiele innych państw, Jugosławia próbowała przeciwdziałać wpływowi wzrostu cen ropy na bilans płatniczy poprzez dalsze próby zwiększenia produkcji globalnej w wyniku wyaokiej stopy inwestycji. Rezultatem był dramatyczny wzrost zadłużenia za granicą i postępująca inflacja, która doprowadziła do zastosowania ostrych środków deflacyjnych i spadku stopy życiowej. Można było tego uniknąć, lecz wymagało to lepszej, umiejętności przewidywania i bardziej racjonalnej polityki gospodarczej.

Przyczyny niepowodzeń

Główną słabością systemu jugosłowiańskiego - abstrahując od obecnego kryzysu - są następujące zjawiska: rosnące bezrobocie i emigracja, zła bilansu płatniczego, szybko postępująca inflacja, oraz niemożność zredukowania regionalnych różnic w dochodach. Wiele tych słabości wynika z istoty systemu samorządowego - w każdym razie z jego jugosłowiańskiej wersji - ale pogłębiły je nieodłączne cechy reżimu opartego na ideologii marksistowskiej, zwłaszcza jednopartyjny monopol władzy i skrzywienia wywołane przez ideologiczne dogmaty marksizmu.

Centralnym problemem systemu samorządowego jest efektywny rozdział zasobów. Ponieważ samorządowość zakłada, że nadwyżka lub renta przedsiębiorstwa jest dzielona pomiędzy członków spółdzielni, albo reinwestowana dla korzyści przyszłych członków - dzieli się ją w zależności od wkładu pracy - pozorny koszt robocizny w większości przedsiębiorstw jest, większy od rzeczywistego. Zachęca to do podejmowania decyzji o inwestycjach kapitałochłonnych. W dodatku, zatrzymany dochód danego przedsiębiorstwa, zatrudnieni ludzie i posiadana wiedza techniczna z wielkim trudem - i często wyłącznie z powodów politycznych lub "z dobrego serca" - przechodzą z jednego przedsiębiorstwa do drugiego, nawet jeśli ich końcowa wydajność w innym przedsiębiorstwie byłaby wyższą. Z wymienionych powodów, system samorządowy nie radzi sobie z absorpcją bezrobotnych, jak również z przemieszczaniem wszelkich zasobów tam, gdzie istnieje nadmiar siły roboczej. Inaczej rzecz się ma w systemie, który pozwala kapitałom i sile roboczej na swobodny przepływ tam, gdzie wydajność krań-

cowa jest najwyższa.

Te niekorzystne efekty można zredukować. Po pierwsze, należałoby ulokować oszczędności przedsiębiorstwa na kontach oszczędności samorządu tzn. traktować je jako pożyczkę z ich strony. Po drugie, zachęcając do zakładania nowych przedsiębiorstw samorządowych. W Jugosławii ideologia polityczna dotychczas sprzeciwiała się pierwszemu posunięciu, bez względu na fakt, że jugosłowiańskie przedsiębiorstwa zaciągają ogromne pożyczki w bankach, które z kolei obracają prywatnymi oszczędnościami obywateli. Od czasu reformy ekonomicznej, drugie z wymienionych posunięć było również blokowane: z jednej strony przez brak zaufania do efektywności ekonomicznej nowych przedsiębiorstw tworzonych przez władze republik, z drugiej przez niechęć do zezwolenia na zakładanie przedsiębiorstw innym instytucjom, w tym również grupom obywateli. Rezultat jest taki, że nowe inwestycje koncentrują się w rękach istniejących przedsiębiorstw, na czym korzystają ich członkowie oraz - geograficznie - najbardziej rozwinięte gospodarczo regiony, w których skupiają się oszczędności przedsiębiorstw. Czynniki hamujące międzyregionalny przepływ kapitałów zostały częściowo złagodzone przez rozbudowany program wzajemnej pomocy. Ale ponieważ jego fundusze oferowane są na bardzo korzystnych zasadach, a rozprawdza je regionalna władza wykonawcza, nadużywano ich dla finansowania kapitałochłonnych inwestycji "politycznych". Dzięki tym funduszom można byłoby stworzyć więcej miejsc pracy i więcej wyprodukować, gdyby rozdzielał je ktoś, kto dąży do maksymalnie szybkiej akumulacji tych środków.

W ostatnich latach władze Jugosławii zdały sobie sprawę ze słabości programu pomocy międzyregionalnej. Próbowali zaradzić poprzez zachęcanie bogatych do bezpośredniego inwestowania w biednych regionach kraju /tzw. bank pracy i zasobów/. Przedsiębiorstwa w bogatszych częściach kraju były materialnie zachęcane do pójścia tą drogą: zezwolono im sfinansować takie inwestycje z części przymusowej składki na fundusz pomocy ekonomicznej. Program ten nie przyniósł jednak wielkich sukcesów, prawdopodobnie dlatego, że inwestorzy spodziewają się niewielkich lub zgoła żadnych zysków, podczas gdy zobowiązani są ponieść znaczne koszty dodatkowe, przeprowadzając szkolenia dla pracowników przedsiębiorstw będących odbiorcami środków inwestycyjnych. Ponadto, bardzo niewiele przedsiębiorstw jugosłowiańskich miało ochotę przekazywać technologię produkcji swoich wyrobów przedsiębiorstwom w innych regionach kraju. Zresztą, lokalna władza polityczna nie zezwoliłaby im na to. Oto jeden z symptomów wzrostu tendencji prowadzących do lokalnej i regionalnej autarkii, która po części wynika z istoty systemu samorządowego, ale przede wszystkim ze specyficznej sytuacji politycznej panującej w Jugosławii. Na tę sytuację składają się tradycje nacjonalistyczne oraz dążenie partii do objęcia kontroli nad samorządowymi przedsiębiorstwami poprzez zdecentralizowany system władzy politycznej.

Innym objawem autarkii jest zanik handlu pomiędzy regionami, a nawet pomiędzy najmniejszymi jednostkami podziału administracyjnego. Władze lokalne zachęcają przedsiębiorstwa na swoim terenie do koczowania z miejscowej bazy surowcowej, zaś hurtownicy i detaliści często dyskryminują "obce" produkty, które mogłyby okazać się konkurencją dla dóbr wytwarzanych w danym regionie. Na jesieni roku 1982, gdy oficjalnie przyznano, że bilans płatniczy Jugosławii znalazł się w stanie krytycznym, w wielu jednostkach administracyjnych rozpoczęto racjonowanie brakujących towarów, by zspobiec ich wykupieniu przez "obcych". Ta niebezpieczna tendencja, nad którą otwarcie ubolewają członkowie polityki jugosłowiańskiej, jest konsekwencją decentralizacji władzy nad gospodarką oraz wprowadzenia planowania na szczeblu lokalnym. Planowanie społeczne niemal nieuchronnie ujawnia tendencję do autarkii, czego efekty widać w Jugosławii zarówno w

skali krajowej, jak i lokalnej.

Chroniczna słabość jugosłowiańskiego bilansu płatniczego nie wynika bezpośrednio z istoty samorządności, lecz z marksistowskiej słabości do planowania i do przemysłu ciężkiego oraz przedkładania polityki antyimportowej nad pobudzanie eksportu. W Jugosławii poczyniono wielkie wysiłki w celu pozbycia się tego dziedzictwa ideologii i zmuszania przedsiębiorstw do konkutowania na rynku światowym. Ale ponieważ partia marksistowska nie potrafi zastosować konsekwentnie podejścia rynkowego, rząd co jakiś czas przejawiał tendencję powrotu do ograniczeń importu oraz arbitralnych metod pobudzania eksportu. Choć od dawna przyznawano się do dążeń w kierunku uczynienia dinara walutą wymiennalną, zabrakło jednak dobrej woli, by ponieść konsekwencje tej wymiennalności, zaś metody przeprowadzania wymiany z zagranicą są w coraz większym stopniu irracjonalne i sztuczne. Obecny kryzys wywołany zadłużeniem i związane z nim próby przezwyciężenia trudności poddają surowej weryfikacji zdolność Jugosławii do Kompromisu pomiędzy prawami rynku i kontrolą partii. Potężne siły działają w obu tych kierunkach, a ich dążenia dodatkowo obciąża ukryty konflikt na szczeblu politycznym, pomiędzy centralistami i federalistami. W każdym razie żadne z możliwych rozwiązań nie dostarczy dowodów w sprawie efektywności samego systemu samorządowego.

Przyspieszenie inflacji w Jugosławii, zwłaszcza od roku 1979, oraz niezdolność władz do jego ograniczenia, jest najwyraźniej skutkiem braku mechanizmu hamującego wzrost płac w systemie samorządowym, trudności z ustaleniem w takich warunkach odpowiedniej polityki dochodowej oraz wątpliwej skuteczności polityki ograniczania podwyżek cen w gospodarce, w której cały zysk netto przedsiębiorstwa /przynajmniej nominalnie/ jest w rękach robotników. W konsekwencji, gospodarka samorządowa jest szczególnie wrażliwa na zewnętrzne zmiany cen oraz wahania własnego bilansu płatniczego. Gwałtowne podwyżki cen ropy w latach siedemdziesiątych były dla Jugosławii katastrofalne, gdyż wszczęły inflację w jej system gospodarczy i wobec braku środków przeciwdziałania. spowodowały poważne deficyty w bilansie płatniczym. Próbowano wtedy ograniczyć popyt na inwestycje oraz popyt na dobra konsumpcyjne. Czyniono to nieodpowiednimi środkami, wykazując brak wystarczającej odwagi politycznej. Rząd musiał w końcu - zwłaszcza po roku 1979 - pozwolić na spadek kursu dinara, co bardzo szybko wzmogło inflację. Obecnie rząd jest zmuszony stosować ostre środki deflacyjne, zarówno w dziedzinie popytu na dobra konsumpcyjne, jak i inwestycje, w nadziei przywrócenia równowagi bilansu płatniczego, która została poważnie naruszona przez długi zagraniczne zaciągnięte w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

Duża część wymienionych problemów wywodzi się z faktu, iż system samorządowy nie posiada wrodzonych zdolności stawiania oporu niekorzystnym zjawiskom zewnętrznym. Część zaś należy przypisać słabościom politycznego systemu monopartii w kraju, który nie jest całkowicie totalitarny. Reżim totalitarny potrafi zdławić każdą otwartą krytykę, a nawet ukryć fakty; umie przy tym zmusić społeczeństwo do większych poświęceń, niż jest to możliwe w kraju, gdzie do pewnego stopnia zezwala się na dyskusje i komentarze. Wielopartyjny systemy parlamentarne również potrafią podjąć zdecydowaną akcję w pewnych okolicznościach, gdyż rząd może powołać się na mandat zaufania wyborców. Najlebszym typem sprawowania władzy jest system, który nie zezwala na pluralizm partyjny i wolne wybory, daje jednak społeczeństwu pewne prawa do informacji i do krytyki. A system samorządowy jest do tego zmuszony, co widać na przykładzie Jugosławii.

Wypląwa z powyższego wniosek, że trudniej jest przeciwdziałać inflacji wywołanej przez warunki zewnętrzne w systemie samorządowym, niż w kapitalizmie. Środki skutecznego przeciwdziałania łatwiej sto-

sować w warunkach pełnej demokracji, gdzie rząd może wykazać się poparciem większości obywateli.

Wyżej wymieniono kilka głównych przeszkód stojących na drodze do efektywnej polityki rozwoju wszystkich regionów kraju. System samorządowy, zwłaszcza w wersji jugosłowiańskiej, hamuje przepływ kapitałów i technologii do regionów mniej rozwiniętych gospodarczo. Problem ten jest pogłębiony przez szereg czynników politycznych. Po pierwsze, pod wpływem ideologii i retoryki marksistowskiej, powstało przekonanie, że robotnicy sektora uspołecznionego we wszystkich regionach mają prawo do zarobków o zbliżonej wysokości. W rezultacie mniej wydajni robotnicy w opóźnionych regionach /oraz politycy/, żądają budowy co najmniej tak samo kapitałochłonnych i zasuwosowanych technologicznie przedsiębiorstw, jak w regionach wyżej uprzemysłowionych. Poziom średnich zarobków w regionach zacofanych jest niższy od poziomu w regionach bardziej rozwiniętych, jednak różnice te są mniejsze od różnic w wysokości produkcji na głowę pracownika. Stąd oszczędności przedsiębiorstwa w przeliczeniu na głowę robotnika są mniejsze w regionach zacofanych, a tamtejsze przedsiębiorstwa mają odpowiednio bardziej ograniczony potencjał wzrostu. Po drugie, polityka partii, która zwłaszcza na początku polegała na dawaniu priorytetów branżom przemysłu ciężkiego, wpłynęła szczególnie niesprzyjająco na rozwój zacofanych regionów. Po części dlatego, iż niektóre z nich posiadały ważne zasoby mineralne, zaś w pewnym stopniu również dzięki złudnemu przekonaniu, że budowa np. huty czy rafinerii ropy jest podstawą rozwoju przemysłu w danym regionie. Gdyby w początkowym okresie dochody były nieco niższe /i mniej podkreślano różnice zarobków w sektorze uspołecznionym i prywatnym/ i gdyby położono większy nacisk na rozwój dziedzin przemysłu wymagających dużej liczby pracowników, najlepiej o eksportowym profilu produkcji, aktualne wskaźniki wydajności w zacofanych republikach i w okręgu Kosowo byłyby lepsze, a ich wkład do bilansu płatniczego Jugosławii bardziej dodatni /bądź raczej: nie aż tak ujemny/.

Skutki źle prowadzonej polityki ekonomicznej zostały dodatkowo skomplikowane przez czynniki polityczne, zwłaszcza w Czarnogórze i okręgu Kosowo. Mieszkańcy Czarnogóry, powołując się na swój liczny udział w walkach partyzanckich oraz bliskie związki z pozostałą częścią narodu serbskiego domagali się wyjątkowych przywilejów przy rozdziale funduszu inwestycyjnego. Znaczna część tych funduszy została przeznaczona na finansowanie wielkich, kapitałochłonnych projektów. Wiele z tych przedsięwzięć było chybotliwych pod względem ekonomicznym, oraz źle zlokalizowanych. Czarnogórskie przedsiębiorstwa są wyjątkowo mało wydajne, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę ilość kapitału na jednego robotnika. Ponadto zbyt duża ilość przedsiębiorstw o podobnym profilu, działających w jednym regionie, powoduje straty. Istnieje wiele skandalicznych przykładów przedsiębiorstw, których pracownicy przejawiają brak dyscypliny pracy, wiele przypadków oszustw i innej nielegalnej działalności. Odnosi się nieodparto wrażenie, iż wielu Czarnogórców jest przeswiadczone, że Jugosławia powinna ich utrzymywać.

Inna sytuacja polityczna panuje w okręgu Kosowo, lecz wywołuje podobne efekty. Zdecydowaną większość mieszkańców stanowią Albańczycy /spis ludności z roku 1981 wykazał, że jest ich 1 milion 230 tysięcy w ogólnej populacji liczącej 1 milion 580 tysięcy osób/. Od dawna czują się oni uciskani przez Serbów. Rząd jugosłowiański próbował przeciwdziałać tej animozji poprzez liczne przydziały funduszy na rozwój inwestycji i usług dla ludności. Ale nie chciał ustąpić wobec żądań, by Kosowo - podobnie jak Macedonia i Czarnogóra - otrzymało pełny status republiki /co daje, przynajmniej nominalnie, prawo do wystąpienia z federacji/. Demonstracje, które miały miejsce w roku 1981 zostały surowo stłumione i nadal karze się więzieniem

za rozpowszechnianie ulotek i wypisywanie hasel. x/ Stan politycznej alienacji okręgu Kosowo jest w dużej mierze przyczyną nagminnego łamania prawa przez obywateli w tym regionie. Odmawiają oni płacenia podatków, świadczeń i spełniania innych nałożonych prawem obowiązków. W rezultacie, wydajność w przemyśle jest niska, a okręg Kosowo jest ciężarem ekonomicznym dla reszty kraju. Ponieważ populacja albańska ma dużo wyższy wskaźnik przyrostu naturalnego, niż mieszkający w okręgu Kosowo Serbowie i Czarnogórcy, którzy zresztą powoli lecz systematycznie opuszczają te tereny - wkrótce pewnie 90 procent mieszkańców stanowią będą Albańczycy /w każdym razie nie-Serbowie/. Jedynym skutecznym wyjściem z błędnego koła zacofania gospodarczego i politycznej alienacji jest konsekwentne stosowanie jugosłowiańskich zasad samorządności i równości wszystkich narodów, tzn. zagwarantowanie okręgowi Kosowo praw republiki. Niestety, jest to zupełnie nie do przyjęcia dla Serbów, którzy uważają Kosowo za swoją historyczną ojczyznę.

W obu wymienionych regionach, czynniki natury politycznej wywołują niekorzystne rezultaty dla jugosłowiańskich programów pomocy regionalnej. Choć sama istota samorządności hamuje międzyregionalny transfer technologii, nie musi to zaraz przynosić niekorzystnych efektów w kraju takim jak Jugosławia, która jest dość otwarta na świat. W bardziej przedsiębiorczych republikach, jak Bośnia-Hercegowina i Macedonia, które również należą do słabo rozwiniętych gospodarczo istnieje wiele dobrze funkcjonujących przedsiębiorstw, założonych z pomocą zachodnich technologii.

Wnioski

W porównaniu z gospodarką nakazową typu sowieckiego, system samorządowy stanowi ogromny krok naprzód. Decentralizacja decyzji na podstawie rynku daje menadżerom w przedsiębiorstwach - a także w pewnym stopniu robotnikom - możliwość wykazania inicjatywy i przedsiębiorczości, które podnoszą wydajność. System rynkowy jest również trwałą podstawą wolności i poszancowania praw; nawet w warunkach niepełnej demokracji politycznej stwarza większe szanse na rozwój cywilizacyjny oraz rozwój jednostki ludzkiej, niż jakikolwiek reżim totalitarny. Stanowi to silny argument za wprowadzeniem socjalizmu samorządowego w miejsce socjalizmu typu sowieckiego.

Trudno jest stwierdzić, czy samorząd zapobiega alienacji wewnątrz przedsiębiorstwa. W warunkach jugosłowiańskich, gdzie nadrzędne władze polityczne nigdy naprawdę nie przekazały swych uprawnień robotnikom, występuje wiele przykładów złej dyscypliny pracy, brakorobstwa, cynizmu i - w coraz większym stopniu - przestępstw gospodarczych.

xx/ Ceteraj uczniowie odbyli karę 15 dni aresztu w październiku 1982 roku, za namalowanie napisu "Republika Kosowo" na szosie, po drodze ze szkoły do domu. "Borba", 26 października 1982.

xx/ Stane Dolanc, Federalny Minister Spraw Wewnętrznych, stwierdził w telewizyjnym wystąpieniu: "Od dawna już w Kosowie panuje rodzaj anarchii. Jest rzeczą normalną na przykład, że obywatele nie płacą podatków, czynszu, rachunków za wodę i energię elektryczną oraz nie uiszczają opłat za odbiorniki telewizyjne, prowadzą samochody bez prawa jazdy, nie rejestrują pojazdów i tak dalej". "Borba", 30 września 1982.

Większość robotników jugosłowiańskich, w socjalistycznych "samorządowych" przedsiębiorstwach tak samo myśli kategoriami "my" i "oni", jak pracownicy w innych systemach ekonomicznych. Są oczywiście wyjątki od tej reguły, zarówno w Jugosławii, jak w innych krajach. Wszystko zależy od jakości zarządzania i zdolności menadżerów do wzbudzania u robotników respektu i posłuszeństwa. Przykłady dobrego zarządzania i wysokiego morale spotyka się tak samo często w przedsiębiorstwach prywatnych, jak samorządowych. Naiwnością byłoby twierdzić, że system samorządowy rozwiązuje problemy wewnątrz przedsiębiorstwa, więc podnosi morale. Głównym warunkiem odpowiedniego morale jest właściwe zarządzanie, surowa, lecz sprawiedliwa dyscyplina oraz wysiłki aby informować robotników i konsultować z nimi decyzje. Istnieje ryzyko, że system samorządowy osłabi jakość zarządzania, zwłaszcza w takim systemie politycznym, jaki panuje w Jugosławii: jego dominującą ideologią jest anty-zarządzanie. Jeszcze większe ryzyko polega na rozluźnieniu dyscypliny w systemie samorządowym, co sprzyja postawom "wolnego strzelca", podkopując morale pracowników.

Z czysto ekonomicznego punktu widzenia, system samorządowy nadmiernie skłania do kapitałochłonnych inwestycji w istniejących przedsiębiorstwach, oraz hamuje przepływ zasobów pomiędzy przedsiębiorstwami i pomiędzy różnymi regionami kraju. Te niekorzystne zjawiska można do pewnego stopnia zredukować, prowadząc politykę promowania nowych przedsiębiorstw z niezależnym budżetem i technologią - np. poprzez specjalne agencje konsultacyjne, jak w Mondragonie, lub międzynarodowe joint ventures. Wymienione problemy występują w Jugosławii z większą ostrością, gdyż cały kapitał zakładowy i reinwestowany jest własnością "społeczną" i należy do robotników zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie. Problemy te występują nadal, lecz już w łagodniejszej formie, w systemie indywidualnych kont członków spółdzielni, jak w Mondragonie. System Mondragonu, w którym członkostwo spółdzielni jest dobrowolne i wymaga wniesienia wkładu kapitałowego, prawdopodobnie lepiej służy polepszeniu zarządzania i dyscypliny.

Niestety, większość dróg do zreformowania jugosłowiańskiego systemu samorządowego jest blokowana przez rządzącą ideologią. "Społeczna" własność kapitału, wraz z nieodłączną skłonnością do kapitałochłonnych inwestycji i do nieodpowiedzialnych decyzji inwestorskich, propaganda anty-menadżerska, lekceważące traktowanie szkolenia kadry kierowniczej, które wymaga specjalnych programów i instytucji, oraz stałe interwencje władz politycznych w działalność przedsiębiorstw i wynikające z nich dążenie do zbiorowej odpowiedzialności za ryzyko, co pozbawia robotników prawa do decydowania i zniechęca do podejmowania odpowiedzialności za decyzje przedsiębiorstwa - wszystkie te zjawiska wynikają bezpośrednio z natury panującej ideologii i utrzymywania za wszelką cenę monopolu władzy przez partię. Pomimo wysiłków w celu wprowadzenia w życie koncepcji samorządu, wraz z towarzyszącymi instytucjami i rozwiązaniami prawnymi, zawsze na pierwszym miejscu znajdowała się lojalność wobec ideologii.

Oto trudny dylemat dla zwolenników systemu samorządowego. Na dłuższą metę reżim i samorząd wzajemnie się wykluczają: władza nie ufa robotnikom i nie zezwoli im na samodzielne podejmowanie decyzji,

x/ Mondragon - związek spółdzielni przemysłowych, działający w kraju Basków, w północnej Hiszpanii. Wyjątkowe sukcesy /połączenie dobrych wyników gospodarczych z wewnętrzną demokracją/ tego zespołu przedsiębiorstw spółdzielczych, wywołały spore zainteresowanie publicystów i badaczy - przyp. red.

nie ma też zaufania do rynku jako dominującej siły równowagi w gospodarce. Dlatego, jeśli punktem wyjścia miałyby być demokratyczny rynek kapitałów, potencjalne korzyści z wprowadzenia systemu samorządowego zostaną przewyższone przez straty polityczne. W związku z tym, najrozsądniejszą polityką w krajach takich jak Jugosławia, wydaje się zachęcanie do tworzenia dobrowolnych spółdzielni producentów, będących elementem /coraz znaczącym/ gospodarki mieszanej. Przykład Mondragonu wykazuje, że nie jest to utopia.

W krajach, dla których punktem wyjścia jest nakazowa gospodarka typu sowieckiego, wprowadzenie systemu samorządowego będzie jednak wielkim krokiem naprzód, nawet bez żadnego znaczącego ograniczenia monopolu władzy partii. Nastąpi pobudzenie inicjatywy i przedsiębiorczości, liberalizacja niektórych aspektów życia politycznego, oraz wzrost poszanowania prawa. Nie można całkowicie wykluczyć, że samorządowość spowoduje w końcu obumarcie państwa i partii, jak na początku przewidywali to oficjalnie Jugosłowianie. W każdym razie samorząd jest jedyną nadzieją dla narodów w systemie sowieckim. Dlatego nie zaskakuje fakt, że wszystkie próby liberalizacji w sowieckim imperium optowały w tym kierunku. Łatwo znaleźć wiele nie rozwiązanych problemów i słabości systemu samorządowego, zwłaszcza w skomplikowanej sytuacji politycznej i narodowościowej, jak w Jugosławii. Jednak takie argumenty nie powinny zrażać robotników w innych krajach do systemu samorządowego jako jednego z głównych ich zadań.

Harold Lydal
/tłum. B.J./

Szansa .

Wrześniowa amnestia, pewna liberalizacja polityki kulturalnej i publikacyjnej, a także zapowiedzi ewentualnych zmian na przyszłość, skłaniają do spojrzenia na polski problem numer 1, na gospodarkę, w kontekście polityki.

Gospodarka i system polityczny

Znaczenie uwarunkowań politycznych dla gospodarki bywa kwestionowane. Można oczywiście sprowadzić problem do absurdu, przypisując tym, którzy akcentują polityczne warunki efektywności gospodarki, stwierdzenia, że: "wyniki ekonomiczne są wprost proporcjonalne do postępów liberalizacji", czy też nawet, że "produkcja rosnąć będzie w postępie geometrycznym, jeśli posunięcia demokratyzacyjne następuwać będą w postępie arytmetycznym".

Szereg argumentów skłania nas jednak do wyrażenia kategorycznego przekonania, iż w tego typu systemie gospodarczym, jaki mamy w Polsce, a zwłaszcza w konkretnej sytuacji roku 1986, demokratyzacja jest koniecznym, choć oczywiście nie wystarczającym warunkiem znaczącego zwiększenia sprawności gospodarki.

Zacznijmy od argumentów o charakterze ogólniejszym.

W takiej, jak nasza, gospodarce państwo będzie zawsze odgrywało rolę większą, niż w gospodarce prywatnej. Nawet gdyby proces u-
rynkowienia poszedł znacznie dalej, niż na przykład na Węgrzech, to i tak państwu przypadać będzie ważne zadanie w sterowaniu procesami rozwoju, w podejmowaniu bezpośrednich lub pośrednich, szeroko rozumianych decyzji alokacyjnych. W przypadku tego typu rozstrzygnięć rachunek ekonomiczny jest niezwykle trudny i stanowić może na ogół tylko jeden z elementów wyboru. Już choćby dlatego owe decyzje muszą opierać się w dużej mierze na przesłankach natury społeczno-politycznej. Organy władzy nie poddane kontroli społecznej usurpują sobie z zasady prawo orzekania, co jest interesem społecznym. Polskie doświadczenie dowiodło wielokrotnie, że rozwiązania takie są często wyrazem partykularnych potrzeb różnych grup biurokratycznego aparatu, skrywanych za szyldem racji społecznych.

Zresztą, zakładając nawet, że centrum decyzyjne pragnie stać ponad interesami grupowymi własnego aparatu, to w warunkach braku jawności, nieistnienia niezależnych źródeł informacji oraz braku swobody artykulacji dążeń i opinii, centrum to może być ubezwłasnowolnione przez swój aparat, który dysponując monopolom informacji, skutecznie manipuluje przesłankami decyzji. Ograniczenie demokracji eliminuje także lub zmniejsza podaż konsumpcji i programów rozwią-

Artykuł napisany w listopadzie 1986 r. Nie dopuszczony przez cenzurę do druku w "Tygodniku Powszechnym". Tytuł pochodzi od redakcji.

zywania różnych kwestii. Jest jasne, że sprzyja to podejmowaniu postanowień błędnych. Można by łatwo przytoczyć długą listę fatalnych ustaleń, które zapadły tylko dlatego, że brakło demokratycznych procedur decyzyjnych.

Drugą ważną zależność gospodarki od polityki dostrzegamy w sferze kształtowania postaw i w sferze motywacji zachowań pracowniczych. W warunkach pełnego zatrudnienia i -znacznego zabezpieczenia społecznego, rola przymusu ekonomicznego, jako czynnika kształtującego zachowania pracowników, będzie zawsze bardziej ograniczona, niż w gospodarce prywatno-rynkowej. Aktywność pracowników i ich współodpowiedzialność za losy gospodarki zależy od ich uczestnictwa w procesie podejmowania decyzji, dotyczących produkcji. Musi ono zatem być pojmowane jako niezbędne uzupełnienie bodźców materialnych. Idzie jednak nie tylko o współuczestnictwo w ramach danego zakładu, czy w odniesieniu do spraw lokalnych, lecz również o realny wpływ obywateli na działanie państwa w makroskali. Tylko w ten sposób można wytworzyć poczucie zbieżności interesów osobistych z interesami zakładu pracy, a także z interesami gospodarki narodowej.

Jesteśmy przekonani, iż tak powszechnie postrzegane zjawiska obojętności pracowników wobec marnotrawstwa oraz złe wypełnianie ról zawodowych, mają swoje ważne źródło także w braku realnie działających mechanizmów partycypacji na wszystkich piętrach systemu politycznego.

Trzecia kwestia, to dostęp do kierowniczych stanowisk w gospodarce. Eliminacja zasad demokratycznych - także tu dysponujemy jednoznaczными doświadczeniami - przekreśla nadzieję na działanie sprawnych mechanizmów selekcji kadr kierowniczych w gospodarce. Nie trzeba dowodzić, jak negatywne to pociąga za sobą następstwa.

I wreszcie sprawa ostatnia - politycznych warunków, umożliwiających pożądaną ewolucję systemu funkcjonowania gospodarki, czyli reformę gospodarczą. W Polsce już po raz trzeci podejmuje się próbę reformy - znów bez większych rezultatów. Historia dotychczasowych niepowodzeń wskazuje, naszym zdaniem, bezspornie, że u ich podstaw leżały przede wszystkim przyczyny polityczne. Na czoło wysuwa się tu opór aparatu władzy przed uszczupleniem jego uprawnień i przywilejów.

Istotą każdej reformy jest szersze uruchomienie procesów regulacji rynkowej i zmniejszenie polityzacji gospodarki. Aparat władzy jest tym zmianom niechętny, gdyż pomniejszają one jego kompetencje, pozbawiają go wielu instrumentów działania. Reformy podejmowane są więc tylko pod groźbą bezpośredniego zagrożenia stabilności systemu - tak było w latach 1956, 1970 i 1980. Innych prób reformy nie było.

Bunty wybuchają jednak /przynajmniej w znacznym stopniu/ pod wpływem kumulujących się trudności gospodarczych. Podejmuje się więc reformę w złej sytuacji, a nie wtedy, gdy warunki by jej sprzyjały. Zmusza to do łączenia procesu przemian - jak w latach osiemdziesiątych - z surową polityką gospodarczą, mającą na celu wyegzekwowanie od społeczeństwa kosztów kryzysu. W dodatku opór aparatu przeciw reformie wyraża się w wypaczaniu jej zasad, co wzbudza społeczną do niej nieufność, a napór trudności rodzi nastroje zniechęcenia. Ułatwia to z kolei wzmacnianie tendencji kontrreformatorskich w szeroko pojętym aparacie władzy. Minimalizacją programu zmian obejmuje się zarówno samą reformę, jak i założenia twardej polityki gospodarczej.

Autoreforma nie jest możliwa

Doświadczenie - nie tylko polskie - dowodzi, że jeśli program reformy /łącznie z twardą polityką gospodarczą/ nie jest wyrazem społecznego konsensusu, jeśli wprowadzeniu reformy nie towarzyszy społeczny ruch poparcia, jeżeli aparat władzy jest suwerenny także w zakresie realizacji reformy, to proces reformowania przeobraża się szybko w "dalsze doskonalenie", czyli przywracanie starych reguł i instytucji.

Historyczne doświadczenie, jakim już dysponujemy, jest wystarczające by twierdzić, że reforma rozumiana jako autoreforma aparatu władzy, jest niemożliwa.

W całej powojennej historii Polski /w najmniejszym stopniu w latach 1945-1948/ istniała ogromna rozbieżność pomiędzy systemem istniejącym w praktyce a systemem, który był pożądany ze względu na wymóg sprawnego funkcjonowania gospodarki. Polski Październik 1956 przyniósł w gospodarce zmiany więcej niż skromne. Dopiero od sierpnia 1980 zapoczątkowany został proces zmian dalej idących. Porozumienia sierpniowe zmierzały do pogodzenia dominującej roli PZPR w państwie z niepartyjnym systemem pluralistycznym. Rodziła się więc oryginalna koncepcja, nigdzie dotąd nie praktykowana.

Po grudniu '81 system polityczny nie powrócił do kształtu sprzed Sierpnia. Silna presja społeczna sprawiła, że w samorządzie pracowniczym nie przywrócono formuły KSR-owskiej; prawo prasowe przeniosło pewne rozluźnienie cenzury; powołano Trybunały Konstytucyjny i Administracyjny; istnieje Konsultacyjna Rada Gospodarcza. Jednak w okresie tym dokonano - na szczęście niezauważnie - ważnych zmian, które coraz bardziej upodobiły system polityczny do tego, który istniał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Z punktu widzenia wymogów sprawnego funkcjonowania gospodarki, szczególnie niepokojące wydają się posunięcia następujące: wprowadzenie - poprzez wykluczenie z praktyki społecznej pluralizmu związkowego - daleko idących utrudnień artykulacji postulatów pracowniczych, zaostrzenie kontroli nad nauką /dopełniła tego zmiana ustawy o szkolnictwie wyższym/, pełna /wprowadzona nie w trybie zmian ustawowych, ale zmiany praktyki/ reglamentacja funkcjonowania stowarzyszeń.

Także w tych dziedzinach, w których w stosunku do okresu przed-sierpniowego odnotować można korzystne modyfikacje, bariery ustawiczne zostały bardzo blisko, bliżej niż przewidywały to kompromisowe rozstrzygnięcia z roku 1981. Tak więc poważne ograniczenia natężone zostały na samorzady pracownicze i ustawicznie ponawiane są próby rozszerzenia ich zakresu.^{2/} Funkcjonowanie opinii publicznej - wbrew oczekiwaniom - poddane zostało podwójnej kontroli: za pośrednictwem cenzury /której możliwości ingerencji zostały rozszerzone/ i w oparciu o /zagwarantowany ustawą prasową/ nieomal pełny monopol władz na wydawanie czasopism i książek. Ten monopol opiera się - wyłączając małą część prasy i wydawnictw katolickich - na pełnej kontroli kadr w redakcjach i wydawnictwach. W ogromnym stopniu władze mogą więc decydować nie tylko o tym, czego publikować nie wolno, ale także o tym, co ma być publikowane.

Dramatyczne realia

Stan obecny polskiej gospodarki i jej perspektywy zdeterminowane są przez dwie grupy czynników: materialne zasoby, jakim dysponujemy i materialne zobowiązania gospodarki oraz sprawność systemu regulacyjnego i motywacje, postawy i zdolności pracowników, a także

grup kierujących gospodarką na różnych jej szczeblach. Szczególny dramatyzm naszej sytuacji wynika z tego, że zarówno czynniki należąca do pierwszej jak i drugiej grupy, kształtują się wyraźnie niekorzystnie.^{3/}

Miarą szczupłości naszych zasobów jest dochód narodowy, nadal /licząc na 1 mieszkańca/ co najmniej o 15% niższy od tego, jaki uzyskaliśmy przed siedmiu laty. Zobowiązania gospodarki wyrażają się w jej ogromnym zadłużeniu: wobec zagranicy w kwocie 32 mld dolarów i 6 mld rubli; wobec przyrody - ogromne kwoty, które trzeba wydatkować jedynie dla powstrzymania dewastacji środowiska; wreszcie wobec przyszłości - zadłużenie powstałe w konsekwencji dopuszczenia do dewastacji majątku narodowego.

Reforma znajduje się w całkowitym impasie - w tej sprawie zgoda jest niemal powszechna. Nie został opracowany autentyczny program antykrzysowy nie mówiąc już o zyskaniu dla niego społecznego poparcia. Dokumenty planistyczne przygotowane przez Komisję Planowania są na zgoła żenującym profesjonalnym poziomie.^{4/} W kręgu centralnych działaczy gospodarczych nie wyłoniła się żadna postać zdolna w sposób sugestywny i przekonywający przedstawić społeczeństwu choćby jakiś zarys filozofii antykrzysowej dla gospodarki. Co więcej, pojawia się rosnąca ilość symptomów wskazujących, że postępuje dezintegracja gospodarczego centrum, że mimo utrzymywania znacznej centralizacji kierowania gospodarką /a może dlatego właśnie?/ brak jest wewnętrznej koordynacji, rosną w siłę wewnętrzne grupy nacisku i wzmaga się w obrębie centrum "walka o podział". Wszystko to dodatkowo negatywnie rzutuje na masowe zachowania społeczne, a zwłaszcza pracownicze, rodzi frustrację, a w najlepszym razie skłania do zamknięcia się w kręgu spraw czysto prywatnych.

Trudno więc nie popaść w desperację, gdy przy budowie prognozy dla polskiej gospodarki trzeba by założyć, że wszystkie wymienione tu niekorzystne czynniki działań będą nadal.

Nie mamy wpływu na materialne warunki - są one niekorzystne i zmienić ich nie można. Poprawić można natomiast uwarunkowania, które stwarza dla gospodarki jej system regulacyjny, a także postawy i zachowania ludzi.

Bez szybkich postępów reformowania gospodarki, bez opracowania społecznie akceptowanego programu polityki gospodarczej, bez polepszenia jakości centralnego kierowania, bez zasadniczej zmiany postaw pracowniczych i obywatelskich, a także bez uzyskania przychylności partnerów /wierzycieli/ zagranicznych na niewiele można liczyć.

Imperatywny warunek

Problemem, który w pierwszym rządzie trzeba w Polsce rozwiązać jest zmiana psychologicznych nastawień, przełamanie poczucia totalnej niemożności i powatanie niezbędnego zaufania między rządzącymi i rządzącymi. Może to się stać wyłącznie jako następstwo realnych zmian - politycznych przede wszystkim. To właśnie jest pierwszym szczególnie uwarunkowaniem gospodarki przez politykę, z jakim mamy obecnie do czynienia. Nie wolno go lekceważyć, gdyż wyrasta ono zarówno z doświadczeń społecznych ukształtowanych w toku "normalnego" funkcjonowania systemu, jak i jest odbiciem aspiracji społecznych pobudzonych po Sierpniu i nadal żywych.

Również typowe polityczne uwarunkowania reformy, której sukces lub niepowodzenie rozstrzyga dziś o wszystkim - rysują się obecnie ostrzej, niż przy poprzednich próbach. Jak nigdy dotąd, warunkiem skutecznego wprowadzenia reformy jest twarda polityka gospodarcza. Oznacza to, że proces zmian systemowych musi być skojarzo-

ny z polityką przywracania równowagi, która mogłaby być akceptowana przez społeczeństwo albo pod przymusem, albo jako wyraz zrozumienia istniejących konieczności. Oznacza to także, że na rzecz twardej polityki gospodarczej należy poświęcić interesy nieformalnych, ale wpływowych grup w aparacie władzy, które jak dotąd skutecznie prowadzą "walkę o podział", i które - niezależnie od werbalnych deklaracji - mają realne powody bojkotowania procesu reformy.

Nie wydaje się zatem realne, by mógł nastąpić oczekiwany zwrot w procesie reformowania gospodarki bez rozwiązania dwu globalnych problemów: po pierwsze, bez uzyskania społecznej akceptacji dla programu twardej polityki gospodarczej, zmierzającej do pokrycia kosztów kryzysu. Po drugie zaś - bez poddania centralnej biurokracji kontroli zewnętrznej, tak by jej partykularne interesy /np. w zakresie inwestycji/ nie dominowały polityki gospodarczej. A także, by nie miała możliwości niemal dowolnego manipulowania procesem zmian systemowych.

Pierwszy problem - teoretycznie rzecz biorąc - rozwiązany być może na dwa sposoby, albo poprzez przymus ekonomiczny ubezpieczony środkami administracyjnymi, albo w oparciu o społeczny kontrakt, którego podstawą byłby uzgodniony między władzą a znaczną przynajmniej częścią społeczeństwa, program antykryzysowy. Wariant pierwszy znalazł do pewnego stopnia zastosowanie praktyczne. Okazało się jednak, że jest to droga prowadząca do nikąd. Presja dużych grup społecznych /transformowana i wzmacniana kanałami hierarchicznej struktury zarządzania/ jest wystarczająco silna dla wzbudzenia obawy władz centralnych o stabilność całego systemu. Znajduje się więc sposoby, aby tym, którzy potrafią presję wywierać skutecznie, zapewnić wynagrodzenie według standardów niezależnych od ekonomicznych efektów ich pracy. Burzy to mechanizmy ustanowione przez reformę i jest jednym z czynników silnej presji inflacyjnej.

Jeszcze lepiej radzą sobie różne grupy nacisku uformowane w ramach centralnego aparatu biurokratycznego. To ich "zasługa" jest obecną polityką inwestycyjną, to one skutecznie forsują procesy supermonopolizacji. To one z powodzeniem walczą o dochody "swoich" pracowników, itp., itd.

Teoretycznie można się temu przeciwstawić przez twardą politykę gospodarczą. I to ma być właśnie główna treść tzw. drugiego etapu reformy. Powstaje jednak pytanie, jak można zrealizować to zadanie w obecnych ramach instytucjonalnych? Wymagałoby to zdecydowania się przez władze centralne na wymuszanie takiej polityki nie tylko na społeczeństwie, ale także na własnym aparacie. System musiałby stać się znacznie bardziej represyjny i centralistyczny, a władza nieporównanie bardziej monolityczna. Z różnych powodów - na szczeblu - wydaje się to być bardzo mało prawdopodobne. Jest tak już choćby dlatego, że nie bardzo widać jaka mogłaby w takiej sytuacji być baza społeczna władzy centralnej. Zmiana taka nie mogłaby też zostać przyjęta przychylnie przez zagranicę - ani na Zachodzie ani na Wschodzie.

Jeżeli ten nasz wywód jest poprawny, to uzasadniona jest też konkluzja: czysto wewnętrzna operacja władz w obronie śmiertelnie zagrożonej reformy nie rokuje sukcesów. Oto powód, dla którego obostajemy przy twierdzeniu, że losy reform politycznych i gospodarczych są obecnie w Polsce organicznie splecione.

Minimum zmian instytucjonalnych

Wstępnym warunkiem zwrotu w gospodarce musi stać się społeczne porozumienie o ratowaniu gospodarki. Porozumienie, którego treść-

cią byłby program realizacji reformy i spójny z nim program polityki gospodarczej. Nie może on powstać tak długo, jak długo brakuje minimum instytucjonalnej infrastruktury umożliwiającej artykulację interesów, podaż różnych koncepcji, nieskrępowaną publiczną debatę, a także funkcjonującą w uzgodnionym zakresie społeczną kontrolę nad realizacją wspólnie ustalonej polityki. Czy jest to możliwe? Chcemy wierzyć, że wydarzenia, które odnotowaliśmy na początku tego tekstu, a również zapowiedź innych zmian, naszą wiarę uzasadniają.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę z tego, że realia miejsca i czasu nie usprawiedliwiają oczekiwań dalej idących. Ale też, jeżeli zmiany te mają przynieść pożądane skutki polityczne, muszą one osiągnąć pewną masę krytyczną.

Rozważyć więc należy pilnie przynajmniej następujące sprawy:

1. Taką zmianę obowiązującego prawa, by wszelkie inicjatywy publikacyjne /książek i czasopism/ - jeżeli ich inicjatorzy gotowi są poddać je kontroli cenzury - nie mogły być ograniczane przez władzę.
2. Zmianę prawa o stowarzyszeniach, dającą w szczególności możliwość zakładania i nieskrępowanego działania stowarzyszeń naukowych, kulturalnych, a także stawiających sobie za cel pobudzenie określonych inicjatyw /np. w zakresie ochrony środowiska, rozwoju budownictwa mieszkaniowego itp./
3. Przywrócenie samorządności szkół wyższych, a również przyznanie uprawnień samorządowych innym placówkom naukowym /szczególnie PAN/.

Sugerowane wyżej zmiany mogą ułatwić społeczne komunikowanie się, ale tylko pluralizm społeczny może przynieść rozwiązanie problemu artykulacji i uzgadniania interesów. Biorąc pod uwagę realia miejsca i czasu, jest to z pewnością problem najtrudniejszy. Jego rozwiązanie przede wszystkim na drodze pluralizmu związkowego jest obecnie nierealne. Nie oznacza to jednak, że realizację zasady pluralizmu związkowego można odłożyć do XXI wieku. Z naciskiem pragniemy podkreślić, że stosunek władz do tej zasady jest - naszym zdaniem - kamieniem probierczym stosunku do porozumień sierpniowych, które stanowić mogą jedyną podstawę kompromisu i porozumienia w Polsce w długim okresie. Sądziemy więc, że pluralizm związkowy - choćby stopniowo - musi być przywracany. Obliguje zresztą do tego zarówno obowiązująca przecież ustawa jak i podpisane przez Polskę konwencje międzynarodowe.^{5/}

Nie powinno to wszakże hamować prób poszukiwania mechanizmów zastępczych, które stwarzałyby możliwość reprezentowania interesów tych grup pracowniczych, które nowych związków zawodowych nie zaakceptowały.

Jest przecież faktem, że nowe związki zawodowe, mimo już czteroletniej działalności i ogromnego poparcia władz, liczą jednak mniej niż połowę tej liczby członków, jaką związki skupiały w 1981 roku /a szczególnie mało jest w nich robotników/. Ponadto, akces wielu osób zgłaszających się do nowych związków, wynika po prostu z braku wyboru /nie mówiąc o przypadkach wywierania presji. Co jednak jeszcze ważniejsze, nie cieszą się one wśród pracowników - jak to wynika z licznych badań /w tym Akademii Nauk Społecznych/ - żadną wiarygodnością. Jeżeli więc na serio mówimy o porozumieniu i kompromisie, jeżeli oczekujemy, że zaowocuje to zmianą postaw społecznych, to już w tej chwili musimy mieć coś do zaoferowania tym ogromnym masom ludzi, którzy do nowych związków zgłosić się nie chcą.

Masną częścią tego i tymczasowego rozwiązania tej kwestii upatrujemy w samorządach pracowniczych. By stała się ona realna, konieczna jest nie tylko rezygnacja z ponawianych ciągłych prób pomniejszenia ich pozycji, ale niezbędne jest przywrócenie integralności ustaw, a zwłaszcza wszystkich przepisów, które stanowiły treść kompromisu zawartego w roku 1981. Jeżeli zaś samorządy mają stać się

składnikiem quasi pluralistycznego układu społecznego, to nie należy w szczególności stawiać im przeszkód w porozumiewaniu się i współdziałaniu /zgodnie z duchem i literą ustawy//; nie należy ich także pozbawiać wszelkich kompetencji w kwestiach bytowo-socjalnych, nie mogą wreszcie zagrażać im koncentracyjno-monopolistyczne działania biurokracji gospodarczej. Muszą one natomiast mieć realną możliwość dysponowania własnym niezależnym zapleczem studialnym i eksperckim a także możliwość formułowania wspólnego stanowiska - szczególnie w kwestiach polityki gospodarczej i trybu wprowadzania reformy.

Przywrócenie uzgodnionej w przeszłości formuły samorządów pozwoliłoby zarazem na modyfikację mechanizmów selekcji kadr kierowniczych. Można by oczekiwać, że przynajmniej w przedsiębiorstwach - zakładając rozszerzenie kompetencji samorządów w zakresie powoływania dyrektorów - silnie dominowałyby kryteria fachowości i nie miałyby miejsca dyskryminacja związana z zasadą nomenklatury.

I w końcu ostatnia podniesiona przez nas sprawa - powstanie autorytatywnego ciała, które mogłoby stanowić przeciwwagę centralnego aparatu biurokratycznego. Być może zgłoszona na zjeździe PZPR propozycja powołania Rady Konsultacyjnej jest trafnym pomysłem. Nie jest to jednak propozycja automatycznie gwarantująca sukces. Efekt zależy przede wszystkim od tego, czy będzie to ciało dostatecznie niezależne i reprezentatywne oraz dysponujące możliwościami nawiązania w jakiejś formie nieskrępowanego dialogu ze społeczeństwem. Ale nawet w takich warunkach rada ta nie będzie mogła skutecznie działać, jeżeli miałaby stanowić jedyną innowację na polskiej scenie politycznej.

+++

Nie ma chyba przesady w twierdzeniu, że Polska - głównie ze względu na kryzys gospodarczy - stoi obecnie przed największym zagrożeniem od czasu wojny. Przed zagrożeniem cywilizacyjnej degradacji, przed niebezpieczeństwem utraty pozycji w świecie - zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie.

Sądziły, że nie wszyscy uświadamiają to sobie dostatecznie, że doraźne spory i przepychanki powodują, iż zagrożenia te traktowane są instrumentalnie, a oferty współdziałania są odrzucane, gdy nie towarzyszy im zgoda na podporządkowanie się. Stanowi to śmiertelne zagrożenie niewielkiej szansy, która chyba jeszcze istnieje - szansy ewolucyjnych przemian. Alternatywą - wcześniej czy później - jest kolejny wybuch społeczny. Trudno o nim myśleć bez wielkich obaw, ale...

Ryszard Bugaj, Szymon Jakubowicz, Tadeusz Kowalik

Przypisy

- 1/ Por. DP - życie polityczne i gospodarcze, "polityka" nr 40.
- 2/ Najbardziej aktualnym tego wyrazem jest "lex Kubiczek" czyli projekt nowelizacji 11 ustaw, w tym przede wszystkim ustawy o przedsiębiorstwie państwowym. Spotkał się on z gwałtownym i jednomyślnym protestem działaczy samorządowych zebranych z końcem września w Sejmie.
- 3/ "...nastąpiło totalne załamanie systemów motywacyjnych, pobudzających ludzi do pracy, nauki, aktywności, do przestrzegania norm prawnych i zasad moralnych, do troski o dobro publiczne i interes zbiorowy. Postępuje proces zindywidualizowanej, a w powiązaniu z przykwaszczeniem cudzej /często państwowej/ własności... Jedno zjawisko patologii rodzi następne, sprawca staje się ofiarą, a w

konsekwencji narastają syndromy stagnacji oraz wzmocnia się tak zwany "dyscyplinowany układowy mechanizm społeczny" (por. "Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku" Instytut Kultury polskiej w Gorynskim i Katedra Socjologii, Warszawa 1986, s. 92).

- 1/ W bliźniaczych kwestiach: socjalizm, demokracja, wolność, sprawiedliwość i inne wartości, które nie mogą być wyłączone z naszego życia politycznego i społecznego. W tym celu należy wyjechać do dyskusji.
- 2/ Wskazują to jednak przewidywania, że w tym samym czasie, kiedy rządzący chcą wprowadzić reformy, w rzeczywistości nie ma możliwości ich realizacji.

Historia nie tylko złudzeń : PAŹDZIERNIK 56.

rozmowa:

z Tadeuszem Mazowieckim i Zygmuntem Skórzyńskim
współzałożycielami Klubu Inteligencji Katolickiej
w październiku 1956 r.

Leon Bobek - Stawiam pytanie: co dla Panów, działaczy i intelektualistów katolickich znaczy Październik '56. Wiedząc, że jest to pojęcie niejednoznaczne, proponuję, żebyśmy zaczęli od wyjaśnień terminologicznych: co oznacza nazwa "Październik"?

Tadeusz Mazowiecki - Nie sądzę, żeby w tym przypadku można było odróżnić punkty widzenia: katolicki i ogólnospołeczny. Można mówić o tym, jak Październik wpłynął na sytuację Kościoła czy środowisk katolickich, ale wspomnienie Października dotyczy zjawiska szerszego, obejmującego całe społeczeństwo.

Skoło mamy zacząć od sprecyzowania pojęć... Oczywiście Październik można potraktować wyłącznie jako VIII plenum partii, można go też traktować jako olbrzymiej wagi wydarzenie społeczne. W pewien czas po tych wydarzeniach, jako redaktor naczelny "Więzi", zetknąłem się w praktyce ze znanym sporem. W oficjalnych enuncjacjach używano terminu "VIII plenum". Dla społeczeństwa nie było to jedno z licznych plenów partyjnych, ponumerowanych chronologicznie. Było to wydarzenie sięgające daleko poza partię. Gdy na początku wydawania "Więzi", w lutym 1958 roku, oddaliśmy pierwsze numery do cenzury, odbyłem charakterystyczną rozmowę z panią, która cenzurowała miesięcznik. Była to osoba wpływowa w Urzędzie Cenzury i przysyłała do wypowiedziania się autorytatywnie. Złożyliśmy teksty nawiązujące do Października, powiedziała ona wtedy: "myśmy ten rachunek już skończyli, nie będziemy o tym pisać". Odpowiedziałem: "ale myśmy nie skończyli; będziemy o tym pisać". Udało mi się to zrealizować, ale nie było to łatwe. Obowiązywała już zasada, żeby wyciszać wspomnienie Października. Z czasem pojęcie to stało się niecenzuralne, władza chciała ograniczyć jego rozumienie wyłącznie do VIII plenum partii, wyrugować ze świadomości społeczeństwo, to co się z tym pojęciem łączyło.

Pojęcie Października spełniało bowiem funkcje podtrzymania, utrwalania i wreszcie obrony idei demokratyzacji w Polsce. Występowało - może już jako legenda czy mit - w tej roli przez długie lata. Z czasem i w samym społeczeństwie zaczęto krytycznie oceniać powoływanie się na to pojęcie. Mówiono: "Wy postarzacie mit, któremu już nic w rzeczywistości nie odpowiada". Ale dzięki powtarzaniu tego mitu można było przynajmniej odwoływać się do pewnych idei. To sięgało dość daleko w lata sześćdziesiąte. Właściwie kres temu po-

rozmowa opublikowana przez miesięcznik "Diagonale Quest-Est" w tomie będącym plonem konferencji "Forum 86", która poświęcona została 30 rocznicy wydarzeń październikowych 1956. Drukujemy ją bez wiedzy i zgody autorów.

kożył rok 1968. Wtedy w kalendarzu ważnych polskich miesięcy pojawił się Marzec.

Tę granicę Października, jako okresu w najnowszej historii Polski, trudno jest zresztą dokładnie wyznaczyć. Dla jednych to się wy-czerpało prawie natychmiast: po wyborach w styczniu 1957, czy jesie-nią 1957 po wydarzeniach związanych z likwidacją tygodnika "Po prostu". Dla innych na początku lat sześćdziesiątych, dla jeszcze innych właśnie gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Ale ważne jest to od-różnienie: to nie było już trwanie Października, lecz posługiwanie się tym pojęciem dla obrony pewnych wartości.

Trudno jest też powiedzieć, od jakiego momentu można mówić w szerokim sensie o Październiku jako o wielkim przełomie. To też jest trudne. Na pewno należy nawiązać co najmniej do roku 1955, do zmian występujących w całym obozie. Przede wszystkim chodzi o zmia-nę dotyczącą "Bezpieczeństwa", o wstrząs w aparacie policyjnym. W drugiej połowie roku 1955 zaczynają wychodzić ludzie z więzień, w-szczyna się procesy rehabilitacyjne, wyroki czasów stalinowskich podlegają zakwestionowaniu. Niewątpliwie należy tu wymienić XX Zjazd KPZR w lutym 1956, śmierć Bieruta, która umożliwiła bezkolizyjną zmianę u szczytów władzy. XX Zjazd przychodzi jednak już na pewną falę przemian, częściowo już się dziejących, falę coraz bardziej wzbierającą...

Leon Bobek - Październik, to - mówiąc skrótowo - kres staliniz-mu; powinniśmy chyba porozmawiać o poprzednim okresie...

Zygmunt Skórzyński - Sądzę, że młodsza od nas generacja nie do-cenia wagi i znaczenia stalinizmu. Często stykam się, zwłaszcza w środowiskach opozycyjnych, z brakiem zrozumienia dla tego czym był - i w tym wymiarze nie powtórzyl się już nigdy - stalinizm. W tym punkcie między naszą generacją i generacją młodszą występują puste plamy. Nie rozumie się, nie wie się zupełnie jak straszliwy był sta-linizm.

Był to system niesłychanie ostrych i krwawych represji policyj-nych. Do dziś nie umiemy policzyć dokładnie i prawidłowo politycz-nych procesów sądowych jawnych i tajnych, ludzi zgładzonych w spo-sób jawny i tajny, w Polsce i poza Polską. Pojęcie sił bezpieczeń-stwa, pojęcie policji politycznej budziło wtedy nie przestraszy, ale grozę. To kształtowało w wielkim stopniu klimat całego tego okresu. Dodajmy jeszcze pewne posunięcia polityki wewnętrznej: sprawę walki z kułakami, zakładanie na siłę kołchozów. Dla warstw inteligentnych bardzo ważne było zmuszanie elit twórczych do realizacji socrealiz-mu. Noc stalinowska, która trwała mniej więcej pięć lat, od 49-50 do roku 55, przysłała po okresie planu trzyletniego, który był - jak są-dzę - przez dużą część społeczeństwa przyjmowany bardzo racjonalnie i rzeczowo. Odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych oparta była o prac-e i zaangażowanie bardzo wielu autentycznych ekspertów, specjalis-tów bynajmniej nie związanych ze środowiskami komunistycznymi. Po-wrócili oni z zagranicy albo przeżyli okupację w kraju. Odbudowa ta była świadectwem optymizmu co do przyszłych losów Polski. Potem na-stąpiło silne wahnięcie, które zresztą miało bardzo tragiczne, tra-gicznniejsze niż w Polsce, konsekwencje w sąsiednich krajach. /Cała historia likwidacji dotychczasowych elit władzy komunistycznej pod płaszczykiem walki z nacjonalizmami. Wszędzie, poza Polską, miało to charakter krwawy, w Polsce zaś - bezkrwawy/. Nastąpiło jednak znisz-czenie nadziei, które początkowo wiązały się z odbudową, z przyłą-żeniem ogromnych, przedwojennych terytoriów niemieckich, co w grun-tacie rzeczy większość opinii uważała za słuszne /były w to zaangażo-wane środowiska katolickie, a także/. Na to wszystko przyszła wiel-

ka fala terroru, bardzo ostrego, krwawego. O jego skali, zakresie, wymiarach nie pisze się, ani nie mówi. Ci, którzy nie przeżywali tego bezpośrednio, mają tendencję do pomniejszania problemu.

Dlatego powiedziałem o tym w tej chwili, żeby pokazać, czym była ta nutka nadziei, która pojawiła się wraz z pierwszym powiewem odwilży.

Tadeusz Mazowiecki - Zygmunta Skórzyńskiego użył przed chwilą słowa "odwilż". Pamiętam, jak pojawiła się książka Erenburga pod tym tytułem, która w końcu nie była niczym rewelacyjnym. Ale słowo było wywoławcze. Z jakich absurdów myśmy wychodzili: coca-cola była przez pewien czas symbolem imperializmu, a jednym z odkrywczych artykułów - nie kogo innego, tylko Jerzego Putramenta, czołowego partyjnego pisarza - w bodaj "Przeglądzie Kulturalnym" był felieton poświęcony coca-coli!

Wychodziliśmy z grozy i nonsensu.

Zygmunt Skórzyński - W owym okresie wydano też książkę "Podróż na Zachód", rozrywana przez czytelników, ponieważ autor, który wyostał się z tego kraju i spędził na Zachodzie parę miesięcy, wrócił i opisał życie na tym Zachodzie. To była wówczas absolutna rewelacja wydawnicza. Opis dalekiej, lecz atrakcyjnej egzotyki. Opowieść z innej planety.

Tadeusz Mazowiecki - W 1955 roku odbywał się w Warszawie Światowy Festiwal Młodzieży. Otóż ten festiwal, organizowany przeciwieństwem przez komunistów i przez komunistyczne ruchy i partie na Zachodzie - miał bardzo ważne znaczenie dla młodzieży polskiej, ponieważ umożliwił jej kontakt z ludźmi z Zachodu. To nie było - jak by to dzisiaj oceniano - wydarzenie tylko propagandowe. Nagle okazało się dla zwykłych, odciętych od kultury zachodniej ludzi, jak wiele u nas było fałszów. Prysł mit o przepaści między nami i Zachodem...

Leon Bober - A jakie były siły sprawcze Października? Czasami przedstawia się to jako dar ofiarowany społeczeństwu przez władzę...

Tadeusz Mazowiecki - Ależ nie! To o czym tu mówimy; to że ludzie zaczynają wychodzić z więzień, te poruszenia wśród młodzieży czy ferment w środowiskach twórczych, zaczyna przybierać coraz większy zasięg. My oboj mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem powstania Klubów Młodej Inteligencji. Założono ich kilka jednocześnie, najbardziej znany był Klub Krzywego Koła /nazwa ta wzięta się od ulicy na Starym Mieście/, gdzie zaczęli spotykać się ciekawi ludzie na dyskusjach i zaczęli czuć się swobodnie, ...mówić swobodnie...

Leon Bober - Ale czy to nie stało się już po Październiku i w jego efekcie?

Tadeusz Mazowiecki - Nie, wcześniej. Krzywe Koło zaczęło funkcjonować znacznie wcześniej i pomimo podejrzeń, że jest inwigilowane przez agentów.

Zygmunt Skórzyński - Jest taka hipoteza, że Krzywe Koło zostało założone przez inteligentniejszych ludzi z Informacji Wojskowej po to, aby skanalizować tendencje opozycyjne. Klub ten powstał w 55 roku. Trafiłem tam na skutek przypadkowej informacji w październiku 1955 roku, gdy jeszcze przewodziła stara grupa. Rozmawiałem o tym z Janem Józefem Lipskim, Janem Strzeleckim, Aleksandrem Małachowskim i jeszcze paru innymi osobami. Zaczęliśmy tam bywać na cotygodniowych zebraniach, które z reguły odbywały się w czwartki.

Dyskutowało się tematy, które były dotychczas tabu. Przykładem takiego tematu - pamiętam doskonale ten wieczór - była dramaturgia Brechta. Wszyscy z ogromnym zapalem ustosunkowywali się do Brechta, bo w tym pomieszczeniu można już było o nim mówić. Nigdzie poza tym nie można było o Brechcie swobodnie dyskutować.

Tadeusz Mazowiecki - Zaczęli pojawiać się tam ludzie, którzy dotychczas nie mieli forum do występowania, a którzy cieszyli się powszechnym szacunkiem: m.in. profesorowie Maria i Stanisław Ossowski, Tadeusz Kotarbiński, Edward Lipiński. To oddziaływało wychowawczo.

Potem ten ruch klubowy młodej inteligencji zaczął zbierać. Na początku 1956 roku odbywały się już ogólnopolskie zjazdy tych klubów. Znajdowały sobie parawany np. w postaci Frontu Narodowego, ale ruch klubowy rozwijał się spontanicznie i przerastał te ramy organizacyjne. Jeszcze wcześniej nastąpiła metamorfoza tygodnika "Po prostu" z pisma studenckiego w pismo młodej inteligencji. Była to najpierw ostrożna, ale niebawem zupełnie zasadnicza zmiana charakteru tego pisma, które odegrało tak istotną rolę w historii polskiego Października. Z "urzędówki" młodzieżowej stało się ono pismem rozrywanym, głównie w powodu reportaży o życiu kraju, które mówiły prawdę o rzeczywistości, także w powodu artykułów, które podejmowały tematy stanowiące dotąd "tabu", na przykład - stosunek do AK, czy w innym zakresie - tematy takie jak istnienie całego systemu uciążonych wobec społeczeństwa przywilejów aparatu rządzącego. Również i w innych pismach - głównie w tygodnikach społeczno-kulturalnych - rozpoczął się świeży ruch umysłowy. Scierały się różne poglądy, coraz mocniej dochodził do głosu nurt krytyki i dążenia do zmiany. Poprzez publicystykę i twórczość literacką przechodził wtedy istotny front walki.

Leon Bobek - To brzmi jak żart historii: początek stalinizmu w twórczości literackiej zaznaczył się tzw. obrachunkami inteligentkimi, zaś obumieranie stalinizmu przyniosło prawdziwe "obrachunki inteligentkie".

Tadeusz Mazowiecki - Chciałbym jeszcze wrócić do wcześniejszego okresu, żeby powiedzieć o sprawach Kościoła. Dla narodu Kościół stanowił opokę, miejsce przechowywania prawdy, czynnik codziennego oddziaływania wychowawczego. Konflikt ideologiczny z państwem marksistowskim był od początku oczywisty. Rychło jednak ideologiczna walka wewnątrz została administracyjną siłą. Polegało to na rugowaniu wpływów Kościoła, na ograniczaniu jego działalności.

Trzeba też powiedzieć - bo i ten kontekst jest ważny - że stosunki między światem kultury i Kościołem nie były takie jakie są dzisiaj w Polsce: nacechowane były często dużym stopniem obcości. Kościół był traktowany jako należący do starej epoki i dla pewnej części inteligencji nie stanowił własnego problemu. Miało to swoje wcześniejsze źródła historyczne. Masy zawsze były w Polsce katolickie, także masy robotnicze. W inteligencji, zwłaszcza w świecie nauki i kultury, przedział między tradycją laicko-pozytywistyczną a tradycją chrześcijańską został pokonany dopiero za naszych czasów. Dużo musiało się stać - i to po obu stronach - aby obszar wspólnych wartości był tak oczywisty jak dziś. Trzydzieści kilka lat temu tak nie było. Władza w swej strategii brała to pod uwagę: próbie zapanowania marksizmu w kulturze towarzyszy stale - a w tamtym czasie z pewnym powodzeniem - polityka izolowania od kultury w ogóle + kultury chrześcijańskiej jako rodzaju specjalnej enklawy.

Przed wszystkim chodziło jednak władzy - w okresie pierwszych

lat powojennych - o neutralizację wpływu Kościoła na masy i o organizacyjne osłabienie Kościoła. Potem o coś więcej. Kościół nie mógł ani nie szukać możliwości działania w nowej rzeczywistości, ani zgodzić się na rugowanie jego wpływów. W 1950 roku zawarte zostało porozumienie między Episkopatem a rządem. Był to akt bardzo dużej wagi, zwłaszcza że władza wcześniej, zaraz po wojnie wypowiedziała obojętowanie konkordatu. Praktycznie jednak porozumienie to dało Kościołowi tylko trochę oddechu, na krótki czas. Możliwość jakiegś trudnej, ale autentycznej koegzystencji została zdominowana przez długofalowy - jak sądzę - zamysł manipulacyjny władzy, zmierzający do podporządkowania Kościoła państwu. Nabiera to rozmachu po aresztowaniu Prymasa. Wchodzi w życie bardzo rygorystyczny dekret o obywatelstwie stanowisk kościelnych, organizowany jest ruch "księży patriotów", następuje odcięcie hierarchii od bezpośredniego kontaktu ze Stolicą Apostolską, biskupi nie mogą wyjeżdżać. Kościół broni się organicznie, ale jest w defensywie, przeciwstawia się, ale ma do czynienia ze zjawiskiem bardzo groźnym i potężnym.

Leon Bober - Czy istniała możliwość, że ta manipulacja wobec Kościoła mogła odnieść powodzenie?

Tadeusz Mazowiecki - Na wielką skalę - nie. Ale w wymiarze pewnego okresu historycznego? Powiodła się taka manipulacja w Chinach... Oczywiście tamta sytuacja nie ma porównania z Polską, w Polsce Kościół jest masowy, ludowy, ściśle zespolony z tradycją i kulturą narodową. Pewne niebezpieczeństwo jednak było.

Organizacje kościelne zostały zniszczone lub zabrane jak np. organizacja charytatywna "Caritas", niszczone inicjatywy wydawnicze kościelne i świeckie, bezpośrednio z Kościołem związane.

Monopolistyczna pozycja ma wtedy PAX, który dał się w tę politykę władzy uwikłać. Mówiąc o tym nie mogę pominąć faktu, że byłem w tym czasie w Paxie. Znalazłem się tam w czasie studiów i - nie analizując tu szczegółowo moich intencji - powiem tylko, że wchodząc tam sądziłem, iż jest to droga do odnalezienia się w nowej rzeczywistości polskiej i stwarzania w niej miejsca dla katolicyzmu. Nie zmieniła to faktu, że uczestniczyłem także w błędnych i szkodliwych działaniach tego ugrupowania i że poczuwam się za to do odpowiedzialności. W 1955 roku, prawie półtora roku przed Październikiem, z pewnym trzaskiem wraz z grupą kolegów opuściłem to ugrupowanie na tle długotrwałych różnic ideologicznych i opozycji wobec jego antydemokratycznej struktury. Drogi nasze całkowicie się rozeszły. W okresie wzbierania fali odwilży ugrupowanie to stało się sojusznikiem sił antyodwilżowych, przeciwnikiem zmian.

Leon Bober - Wracając do sytuacji ogólnej, czy można mówić o istnieniu w okresie stalinowskim jakiegoś oporu społecznego?

Zygmunt Skórzyński - Moim zdaniem elementem dominującym był ogromny, wielki strach, bo terror był straszliwy.

Leon Bober - No właśnie, jeżeli nie zakładać, że był wymierzony na ślepo, to czy na podstawie "geografii terrozu" nie można odtworzyć "geografii oporu"?

Zygmunt Skórzyński - Bardzo wiele osób więzionych było przekonanych, że w więzieniach siedzi pół Polski. Liczba inteligencji szkodzącej w aresztach, czekających na proces albo i w celi śmierci na wykonanie wyroku była faktycznie b. duża. Czy można mówić o próbach oporu? Proszę sobie przypomnieć, że przedtem odbywało się coś w rodzaju wojny domowej, krwawej /do dzisiaj dokładnie nie opisaney/, że

zlikwidowane zostały partie opozycyjne. Nie dostrzegam oporu, może poza drobnymi grupkami intelektualistów, w ramach bardzo kameralnej działalności: spotykali się, dyskutowali, odbywali zebrania. Grupa moich przyjaciół, głównie młodych naukowców, wśród których i ja byłem - zresztą późniejszych kolegów z Klubu Krzywego Koła - została objęta ogromnym wielotygodniowym śledztwem w areszcie na Koszykowej /która była wtedy centrum policji politycznej w Warszawie i w Polsce/ za to, że prowadziliśmy w domach prywatnych seminaria humanistyczne. To zostało bardzo szybko spenetrowane przez policję polityczną, która umiejętnie podstawiła agentów; pewnego poranka październikowego w 1953 roku wszyscy równocześnie zostaliśmy wyaresztowani. Ale było to szczęśliwie w parę miesięcy po śmierci Stalina, w momencie degradacji aparatu bezpieczeństwa z pozycji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na pozycję Komitetu Bezpieczeństwa...

Tadeusz Mazowiecki - Po odejściu Radkiewicza ze stanowiska ministra zmieniono formułę z ministerstwa na komitet, miało to oznaczać, że partia będzie sprawować większą kontrolę nad bezpieczeństwem.

Zygmunt Skórzyński - Stało się to nawet przedmiotem codziennych rozmów, kto w kraju faktycznie ma władzę, czy partia nad bezpieczeństwem czy bezpieczeństwo nad partią...

Leon Bober - Nie chodzi mi o walkę; ta była rzeczywiście nie możliwa. Pytając o opór myślę o biernym oporze, o powstrzymaniu się od afirmacji, od uczestnictwa, także o trwaniu przy zasadach...

Tadeusz Mazowiecki - Myślę, że był opór, tylko nie należy go sobie wyobrażać na wzór dzisiejszego oporu. Nie sprowadza libym go tylko do drobnych grup, bo jednak fakt działalności Kościoła stwarzał zasadniczą przeciwwagę - przede wszystkim wychowawczą, gdyby to wziąć w skali masowej, powszechnej, na wsi, w mieście, w skali narodowej.

Przy wszystkich wynaturzeniach w Polsce stalinizm był cięższy w ościennych krajach. Nie wiem czego było to wynikiem, ale faktem jest, że w Polsce nie można było tak daleko pójść. A zatem były w Polsce jakieś siły oporu - czynniki tożsamości narodowej, które terrorowi przeciwdziałały. Nawet w kręgach władzy musieli być ludzie, którzy to rozumieli.

Zygmunt Skórzyński - Było to przecież społeczeństwo Armii Krajowej, która niemal w 95 procentach organizowała walkę z Niemcami - i która niemal w całości była oskarżona w pierwszych latach po wojnie. Można by o tym mówić godzinami, jakie były losy ludzi, ilu siedziało w więzieniach... Ale fakt, że istniała AK, sprawiał trudności władzy i policji w naszym kraju; bądź co bądź myśmy podczas II wojny światowej mieli w całym Generalnym Gubernatorstwie, a zwłaszcza w Warszawie wspaniałe rozwinięte państwo podziemne. Istniała ciągle ogromnie silna integracja społeczna, co przez lata całe po wojnie rzutowało na świadomość Polaków, że trzeba przede wszystkim podkreślić. Między innymi - integracja międzypokoleniowa. Nie znam przypadku, żeby udało się rozbić tę integrację poprzez próby bezpośredniego zaangażowania ideowego młodzieży. Jeżeli nawet zdarzyły się takie przypadki indywidualne, to przecież nie ma żadnego porównania z Rosją, gdzie akty zdrady rodziców przez dzieci były charakterystyczne dla rewolucji.

Leon Bober - Można się spotkać z przekonaniem, że Październik albo inaczej mówiąc upadek stalinizmu, był wynikiem wyłącznie przemian w elicie władzy radzieckiej i pochodną XX zjazdu KPZR.

Tadeusz Mazowiecki - Można się zastanawiać, dlaczego wobec tego inne kraje socjalistyczne nie przeżyły podobnego przełomu: jak w Polsce? NRD została spacyfikowana w 1953 roku po rewolcie w Berlinie. Czechosłowacja odezwią się dopiero w roku 68. Owszem, Węgry powstały, dramatycznie, zresztą częściowo pod wpływem Polski, w październiku 56.

Problem Czechosłowacji jest zupełnie inny. Inna była tradycja stosunków z Rosją. Inny wymiar problemu narodowego i jego wewnętrzna złożoność. Poza tym, w Czechosłowacji zaistniało zjawisko masowego wstępowania do partii, pewnej oportunistycznej społeczności; wyzolenie z tego nastąpiło dopiero podczas Praskiej Wiosny.

Podłoże do zmian było najlepsze w Polsce. Ani nie można powiedzieć, że nie miało znaczenia to, co się działo w partii komunistycznej ZSRR i na XX Zjeździe, a w konsekwencji, że nie miały znaczenia przemiany w polskiej partii, ani nie można powiedzieć, że nie miało znaczenia to co się działo "od dołu", w społeczeństwie polskim. Nie mieliśmy do czynienia ze zmianą gabinetową kierownictwa partyjnego, tylko właśnie ze zjawiskiem Października. To była rewolucja społeczna, wielki przełom.

Zygmunt Skórzyński - Na czym polegała specyfika polska? Między innymi była ona rezultatem dramatycznej historii polskich komunistów. Czołówka komunistów polskich w latach 1937-38 uchodziła z kraju przed represjami policyjnymi do Związku Radzieckiego, gdzie w niedługim czasie byli oni zamykani, osądzeni w procesach, stawiani pod ścianą, wymordowani. Stalin jest bezpośrednio odpowiedzialny za wymordowanie elity komunistów polskich w końcu lat trzydziestych; to były setki ludzi - najlepszej, ideowej, kwalifikowanej zawodowo kadry.

Tadeusz Mazowiecki - W tym kontekście warto przypomnieć, że ostatnią sprawą, jaką załatwił w Moskwie Bierut, było odwołanie uzasadnienia rozwiązania KPP i rehabilitacja Warskiego, Leńskiego-Leszczyńskiego i innych. Miało to wewnątrz partii pewne znaczenie; mogła ona nawiązać do własnych tradycji.

Zygmunt Skórzyński - W przeciwieństwie do paru innych krajów środkowoeuropejskich, w Polsce po wojnie prawie zupełnie nie było kadrowej infrastruktury komunistycznej. Była ona w Niemczech, gdyż składała się z licznego zastępu tych, co wyszli z obozów nie wyrznięci przez hitlerowców oraz tych, co opierali się jakoś hitleryzmowi. Była, dość masowa w Czechosłowacji. Była w znacznej mierze na Węgrzech. W Polsce zaś - w niesłychanie małym stopniu, wręcz znikomym.

W związku z tym kształtowanie własnej przywódczej kadry, własnej elity partyjnej i administracyjnej, własnej inteligencji naukowej i twórczej, było niesłychanie trudne dla tej ekipy, która po przyjeździe z ZSRR do kraju w 44 roku przejęła całkowicie władzę. Do odmiennej grupy przyczyn zaliczyłbym samą lokalizację stolicy. Została ulokowana na gruzach Warszawy. Inteligencja Warszawy - miasta, które było zupełnie fenomenalnym unikatem w Europie, ośrodkiem walki z okupacją hitlerowską, wielkim państwem podziemnym - ta inteligencja tworząca wspaniałą tkankę społeczną została zupełnie rozbita. Jakże często spotykam się z opinią, że Stalin decydując się na niepomaganie powstańcom warszawskim miał to właśnie na myśli.

Wspominam o tym dlatego, że po decyzji umieszczenia stolicy w

Warszawie powstała konieczność zapełnienia administracji państwowej urzędów centralnych, organizmów gospodarczych - kadra, ludźmi, których nie było. Dla władzy komunistycznej powstała konieczność, bardzo niewygodna, a jak się okazało brzemenna w skutkach, rzucenie hasła "nie natura lecz chęć szczerza...". W efekcie powstał aparat administracji chyba najgorzej przygotowany zawodowo i najmniej kompetentny w Europie środkowo-wschodniej. Może inaczej by to wyglądało, gdyby stolica była w innym mieście. Warszawa była otoczona bardzo biednymi /z punktu widzenia społecznego, gospodarczego, kulturalnego/ okolicami. Ludzie pochodzący stamtąd zobaczyli nagle możliwość zrobienia szybkich karier. W sytuacji dużych napięć społecznych i politycznych, jakie charakteryzowały całą Polskę, ci ludzie, którzy zdecydowali się podjąć te funkcje i robić owe kariery, odznaczali się dużym stopniem konformizmu. Powstał więc najmniej kompetentny, a zarazem - być może - najbardziej konformistyczny aparat władzy administracyjnej i politycznej w krajach socjalistycznych, a w konsekwencji - w obawie przed skutkami każdej reformy na serio - aparat ten stał się najbardziej konserwatywny. Miało to fatalny wpływ na funkcjonowanie aparatu władzy - i w moim przekonaniu ta cecha przetrwała przez czterdzieści lat... Gdy obserwowałem ten niesłychanie zaciekły opór ze strony władzy przeciw jakimkolwiek zmianom podczas szesnastu miesięcy "Solidarności", to widziałem w tym niezwykle zakorzeniony interes własny tej warstwy, która być może stała się już lepiej wykształcona, ale wciąż tkwiła w tradycji oporu przed wszelkim reformom. W tej skali - moim zdaniem - nie było podobnego zjawiska w żadnym kraju socjalistycznym.

Leon Bober - Tylko element konformistyczny Ignął do karier, bowiem dla innych droga do kariery była zamknięta: dla inteligencji z przedwojennym stażem, dla powracających z Zachodu... jeżeli nie chcieli wstąpić do partii...

Sygmunt Skórzynski - Po zakończeniu studiów socjologicznych i urbanistycznych byłem asystentem w jednym z interdyscyplinarnych zespołów badawczych w Warszawie, który w początkach lat pięćdziesiątych został zlikwidowany wraz z całą nauką socjologiczną uznana za wykwit burżuazyjny /co nawiasem mówiąc miało dobry skutek dla polskiej socjologii/. Celem naszego zespołu zaproponowano pracę w zakresie planowania przestrzennego w tworzący się wielkim biurze projektowym "Hydroprojekt", związaną z forsowaną wówczas koncepcją drogi wodnej Wschód-Zachód i z wynikającymi stąd przemianami przestrzennymi, społecznymi. Zatrudniono setki fachowców do pracy nad tym planem, który wydawał się wspaniały i rewelacyjny. Pracowaliśmy przez parę lat, właśnie w okresie pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Zrobiliśmy ogromną ilość projektów, analiz i opracowań, aby się dowiedzieć, właśnie w 55 roku, gdy zaczynała się już odwilż - od jednej z dwu najbardziej wpływowych osób w kraju w dziedzinie planowania, że cały ten projekt drogi wodnej przez Bugo-Narwę, Wisłę do Warty i Odry nie ma sensu, że jest to absurdalne i nie będzie teraz realizowane. I ten ogromny zaparł, zainteresowanie, zaangażowanie ludzi, paroletnie, ośmiady na mieliźnie. To jest bardzo charakterystyczny przykład, choć pochodzący z dość specjalnej dziedziny.

Tadeusz Mazowiecki - Chciałbym się zastanowić nad podłożem społecznym, które sprawiło, że Październik nie był tylko ogólną zmianą. Pierwszym ważnym czynnikiem było przetrwanie tożsamości narodowej oraz elementarnych wskazań etycznych i alternatywnych wizji życia, jego sensu, które dawał Kościół...

Leon Bober - Alternatywnie wobec czego?

Tadeusz Łaciński - Wobec ideologii marksizmu. My dzisiaj już nie jesteśmy w stanie tego zrobić, bo są już grube ściany, murów, które nie pozwalają nam na to, nie możemy. To jest...

...nie jest żądanie rozliczenia się z tych hałsł. Nie jest rzeczą przypadkową, że gdy wybiera fala obłity, na czóło wyszła się hałsło formodli życia publicznego. Jest to zasadnicza sprawa. Wysunięcie go było konsekwencją ajnodoi działan opozycji bezprzechenstwa i wymiaru sprawiedliwości, skutkiem istnienia grup "okólnikowych" tworzonych poza wiedzą opinii publicznej, wynikam polityki kadrowej, kankulencja gtywacji prasy oprowadzonej do roli agitatora. Pojawia się wprostie postulat demokratyzacji. Można się dziwić, z perspektywy minionych lat, dlaczego nie domagano się demokratyzacji, tylko demokratyzacji. Słody znanosyło to wiele. Pojawia się żądanie praworzalności jako czasu trwałego. Słowem istotnym staje się słowo: suwerenność. Na to w takich czasach konkretny wymiar: uwolnienie się od doradów radzi, rana ingerujących w różne dziedziny, większą niezależność, powracanie godności narodowej w całym stylu rządzenia. To zaczyna być hałsł, które "wisza w powietrzu", o których zaczyna się mówić, których wypełnienia zaczyna się ludzie domagać.

I wreszcie sfera kultury. Mimo całego zaangażowania środowisk twórczych w politykę kulturalną w okresie stalinowskim twierdząc...

Zygmunt Skórzyński - Trzeba by to rozróżnić - poza próbami umieszczania się na powierzchni twórców niezależnych, jak np. Jerzy Świrski, były grupy twórców po prostu uległych i poskusanych oraz grupy twórców zaangażowanych serio... zaangażowanych iścowo lub też "wierzyć" w prawdziwą ideologię...

Tadeusz Mazowiecki - Jedną. Otóż... twierdząc, że mimo wszystko kultura polska zachowała w okresie stalinowskim dosyć spory stopień przekazu tradycji. W okresie stalinizmu trzeba było wydawać klasykę literatury, być może przede wszystkim po to, by pokazać, że władza spełnia jakąś funkcję wobec kultury narodowej. Dawało w dużych nakładach klasykę literatury, co stało bardzo istotne znaczenie dla społeczeństwa, a z punktu widzenia władzy pokazywało, że spełnia ona funkcję wobec kultury narodowej. Wzrost oficjalnej doktryny i praktyki spowodował ogromne upustoszenie w twórczości współczesnej nau-

kowej i kulturalnej, ale pluralizm kultury nigdy całkowicie nie został zniszczony. Dotyczy to także ograniczanej ale nie do końca wypartej twórczości chrześcijańskiej. Nie wszystko co powstawało i co wydawano, czy co przyswajano przez przekłady było tylko wulgarnym socrealizmem. Mimo wszystko więc w kulturze polskiej, jeżeli porównać to z innymi krajami tego obozu, pewien stopień niezależności został zachowany. Ten przekaz miał konsekwencje społeczne, dotarł do nowego czytelnika i teraz zaczął wyraźniej owocować. W środowisku twórczym zaś rozpoczął się zrazu powoli, a po XX jeździe gwałtownie, ostry rozrachunek z niedawną przeszłością, rozrachunek wokół ideologicznego "zauroczenia" jednych, a oportunistów innych.

Żygmunt Skórzyński - Wszelkie "wygibasy" ideologiczne, to zmuszanie się do "wiary" traktowane było najczęściej z dystansem. Nie pamiętam, nie znam środowiska, w którym by się serio mówiło o tym, co się dzieje od strony ideologicznej, serio o propagandzie. Jeżeli pojawiał się gdzieś ktoś taki, co by tego próbował to podlegał ostracyzmowi.

Tadeusz Mazowiecki - Co pewien czas pojawiały się wtedy wypowiedzi ludzi szanowanych, którzy wcześniej nie mieli zbyt wielu możliwości swobodnego zabrania głosu. Tak było z opowiadaniem Marii Dąbrowskiej "Na wsi wesale". Pamiętam z jakim zdumieniem ujrzałem wypowiedź Jerzego Zawieyskiego w ankiecie "Nowej Kultury" chyba w 1955 roku - tego człowieka, który przez wiele lat skazany był na milczenie i wybrał pisanie do szuflady. Te zdarzenia, najpierw sporadyczne, składają się potem na całe zjawisko społeczne, gdy środowisko twórcze ogarnął ferment. Widać było, że "ku czemuś idzie".

Żygmunt Skórzyński - Formuła, której użył Erenburg - "Odwilż" - była genialna. Tak to właśnie było: topniały lody. Od wiosny 55 roku odbywały się zjazdy i konferencje stowarzyszeń twórczych: literatów, architektów, plastyków, twórców teatralnych, na których poddawano już dość surowej i gruntownej krytyce doktrynę socrealizmu. Jesienią tegoż roku była słynna wystawa malarska w Arsenale, która była artystycznym wynikiem odrzucenia kanonu socrealizmu. Jednym z takich charakterystycznych dla tego czasu wydarzeń było powstanie pierwszego dyskusyjnego klubu filmowego w sali kinowej na IV piętrze Pałacu Kultury; pierwszego klubu, od którego wzięła się tak powszechna później w użyciu nazwa DKF.

Z tym klubem wiąże się także wspomnienie, które dobrane obrazuje skalę dokonujących się przemian. Jesienią 55 roku w tym klubie zjawiał się pewien człowiek, który w powszechnej opinii tajemniczo zniknął albo popełnił samobójstwo: Czesław Czapów, psycholog, socjolog, mój przyjaciel, z którym mniej więcej półtora roku później założyliśmy - razem jeszcze z Andrzejem Raźniewskim i paroma osobami, które doszłusowały - pierwszy w tej części świata ośrodek badania opinii publicznej, do dziś istniejący przy Polskim Radio. Otóż Czapów był tak niszczony, nękany, prześladowany, po prostu maltretowany przez policję polityczną, że tego nie wytrzymał. Prosił Bolesława Piaseckiego o pomoc, ale ta pomoc była bardzo trudna i nie przyniosła rezultatu. Powiadomił więc kilka osób, między innymi Piaseckiego, zaś z drugiej strony policji, że postanowił dnia tego to a tego utopić się w określonym miejscu Pojezierza Mazurskiego. Tego dnia w owym określonym przez Czapowa miejscu spotkały się dwie kolumny samochodów, jedna policji, druga PAXu. Znalaziono tylko jakies części ubrania. Czapów zaś, przed nikim, poza najbliższą kuzynką, nie zdradzając się, zniknął na dwa lata, ukrył się, właśnie u tej kuzynki... za szczyt, później gdzieś na Śląsku. I właśnie jesienią 55 roku ten człowiek, o którym wszyscy sądzili, że nie żyje, zja-

wił się nagle - publicznie w dyskusyjnym klubie filmowym.

To właśnie były objawy tej narastającej odwilży. Nie uwzględnił tego w swojej książce - w sposób wystarczający - bliski mi wówczas człowiek, Witold Jedlicki. A te wydarzenia niewątpliwie grały ważną rolę w rozgrywce dwóch frakcji partyjnych o władzę, grupy pławskiej i natolińskiej, czym się Jedlicki zajmował.

Tadeusz Mazowiecki - I co do późniejszych wydarzeń jakby nie zauważył, że rozgrywają się niemal dostojnie na ulicy, a nie tylko na szczytach władzy.

Chciałbym teraz powiedzieć o okresie między lutym i czerwcem 1956 roku. XXjazd, śmierć Bieruta, objęcie władzy w partii przez Edwarda Ochaba, kwietniowa amnestia. Jest to okres dziwnego balansowania partii pomiędzy odwilżą a zamrażaniem. Poczynania kierownictwa partyjnego stają się coraz bardziej chaotyczne i niekonsekwentne. Z jednej strony mamy te zjawiska, o których przed chwilą mówiłem, poruszenia w środowiskach kulturalnych, fermentu wśród młodej inteligencji, z drugiej strony zaś od czynników oficjalnych społeczeństwo otrzymuje kliszę sprzeczności. Na płaszczyźnie zakładu pracy np. wyraża się ona potęgowaniem głupstw, mnożeniem odruchów prymitywnych. Do wydarzeń poznańskich doszło z powodu niesłuchanie prymitywnych zachowań i sprzecznych decyzji pomiędzy kierownictwem fabryki i Warszawą, ministerstwem czy innymi urzędami. Niby toczą się partraktacje, ale robotnicy są przekonani, że ich delegacja została aresztowana, spotykają się z nagłym usztywnieniem stanowiska itd.

Na tle początków odwilży Poznań jest niewątpliwie powrotem elementu grozy. Zwłaszcza po wprowadzeniu na ulice Poznania samochodów pancernych i po słynnej wypowiedzi, której Polacy nie zapomnieli ówczesnemu premierowi Cyrankiewiczowi o "obcinaniu rąk", jeżeli "podniosą się przeciwko władzy".

Ala ta groza, która powróciła po wypadkach poznańskich nie zatrzymuje już lawiny. Następuje proces poznański. Jest zasadniczą sprawą, czy będzie można na tym procesie mówić prawdę, czy nie.

Zygmunt Skórzyński - I oto na tym procesie pojawia się dwóch wybitnych uczonych - socjologów, Józef Chałasiński i Jan Szczepański - w charakterze ekspertów, a faktycznie z obroną oskarżonych. To, że można było wystąpić z obroną ludzi, o których wcześniej premier mówi, że im należy obcinać ręce, i że tę obronę uwzględnił sąd, to było rewelacją. Już to, że ci socjologowie /a Chałasiński np. był sekretarzem i Wydziału PAN/ zdecydowali się wystąpić z ekspertyzami, było znaczące. A potem do opinii publicznej zaczęła dochodzić linia tej obrony: że była to sytuacja wybuchu masowego, działania tłumu, i że osobisty udział jednostek w tych wydarzeniach został silnie uwarunkowany przez oddziaływanie tego tłumu.

Tadeusz Mazowiecki - To uwikłanie władzy w balans między zamrażaniem i odwilżą staje się w tym momencie jeszcze bardziej oczywiste. I nie można było oczekiwać od społeczeństwa, że uwierzy władzy, iż chce iść ku dobremu, jeżeli nie dokona rehabilitacji wydarzeń poznańskich, jeżeli nie uzna, że był to wybuch rozpaczcy zwinionej przez tę władzę. Przez pewien czas na własnie obowiązywał teza, że Poznań jest zły, ale władza idzie ku dobremu. Staje się coraz bardziej wyraźne, że ta ekipa nie doprowadzi do jakiegod wyjścia i że samą władzę dzielią głębokie sprzeczności. W tym kontakście pojawia się postać Gomułki, który wraca z kuracji w Ciechocinku, otrzymuje z powrotem legitymację partyjną. Podaje się to do wiadomości publicznej, ktoś się z nim oficjalnie spotyka na roznowie, ale równocześnie obowiązuje teza /i to wypowiedziana przez odwilżowych tzw. "młodych aktra-

tarzy"/, że odnowa - tak, odwilż - tak, gomułkowszczyzna - nie.

Zygmunt Skórzyński - Pamiętam, że w tym właśnie czasie spotkałem Jerzego Zawieyskiego, który - poza tym, że odznaczał się dużą intuicją, zacerpiał swoje przekonanie z rozmowy z Ochabem, znającym jeszcze sprzed wojny - był pełen głębokiego wewnętrznego przekonania, że coś się zmienia, że także w jego życiu nadchodzi zmiana na lepsze. A trzeba pamiętać, że Zawieyski skazał się na zupełne milczenie w latach stalinowskich. O ile wybitni pisarze z kręgu zamkniętego "Tygodnika Powszechnego" z trudnościami, ale jednak wydawali książki, Zawieyski postanowił nie wydawać nic, pisał wyłącznie do szuflady. Jeździł trochę z odczytami do zakonów i seminariów, ja dał jakieś okropne, ubogie obiady. W takiej sytuacji był, kiedy go poszukiwał i odnalazł Ochab. I sekretarz KC partii powiedział, że pamięta o jego zasługach przed wojną /Ochab ukrywał się przez parę dni u Zawieyskiego/, że go ceni...

Wspominam o tym także z tego powodu, że rozmawialiśmy z Zawieyskim o szansach inteligencji katolickiej. Na fali zakładania rozmaitych klubów młodej inteligencji powołaliśmy do życia klub skupiający byłych publicystów i działaczy katolickich "Dialog". Weszło do niego kilkanaście osób z różnych nurtów, spotykaliśmy się co pewien czas, a celem naszym było zorientowanie się w tym, co się właśnie dzieje i próba jakiegos odnalezienia się w tym.

Na przełomie zimy i wiosny w Klubie Krzywego Koła nastąpiła zmiana kierownictwa. Grupą przyjaciół przejęliśmy po prostu władzę w klubie, w trybie demokratycznym, przez głosowanie, ale w sposób przypominający nieco zamach stanu. Pierwszym prezesem nowego zarządu został na krótko Jan Strzelecki, po nim na kilka kadencji Jan Józef Lipski, a następnie Aleksander Małachowski. Klub Krzywego Koła - na dobrych sześć lat /1956-62/ stał się platformą bardzo bżywio-nych dyskusji, toczonej już z niemal zupełną swobodą. Nastąpił okres dużego ożywienia różnych grup i klubów. W środowisku robotniczym rej wodził Żerań z głośnym wówczas Lechosławem Goździkiem, powstawały kluby młodych intelektualistów, nawet licealistów.

Tadeusz Mazowiecki - Tworzenie klubów młodej inteligencji było wtedy dla nas wszystkich jedyną formą działania. Po wystąpieniu z Pazu w 1955 roku przez długi czas nie mogłem znaleźć pracy, wreszcie otrzymałem posadę w Towarzystwie "Polonia". W tym właśnie okresie, o którym mowa, z grupą przyjaciół również powołaliśmy klub, który najpierw nazywał się Okrągłego Stołu, a potem - bo to się zmieniło - Klub im. Emanuela Mouniera. Ta nazwa nie była przypadkiem. Personalizm Mouniera był zarazem antytotalitarny jak i wspólnotowy - oba te elementy były dla nas ważne /później nawiązaliśmy do tego w "Wieżi"/. Bywalismy oczywiście również w "Krazywym Kole". W lecie, w okresie VII plenum, napisałem wspólnie z Jerzym Mikke artykuł pt. "List otwarty do redaktora/Słowa Powszechnego", który opublikowaliśmy w "Po prostu". Był on reakcją na zrelacjonowane przez "Słowo Powszechne" - pismo Pazu - antyodwilżowe wystąpienie Bolesława Piaseckiego. Podobne tezy powtórzył on w jeszcze mocniejszej formie w decydujących dniach Paździelnika w artykule "Instynkt państwowy". Piasecki wystąpił już wówczas, kiedy na to odpowiadaliśmy, przeciw całej odwilży, nazywając ten ruch niebezpiecznym, antysocjalistycznym, anarchistycznym. Nasz list otwarty był polemiką z tymi tezami. To, że ukazał się on na pierwszej stronie "Po prostu", że się w ogóle mógł ukazać /najpierw chcieliśmy go opublikować w "Życiu Warszawy", gdzie Mikke pracował, ale okazało się to niemożliwe/ - stanowiło wówczas pewne wydarzenie. Było sygnałem, że monopolistyczna pozycja Pazu nie jest już tak nieuszruszczna.

26 sierpnia miałem okazję być świadkiem i uczestnikiem niezwykle

ważnego momentu: ślubowań na Jasnej Górze. Nie awdopodobna masa uczestników, około pół miliona ludzi. Oczekiwano, że może zjawi się Prymas - kardynał Wyszyński, że może zostanie uwolniony. Stał pusty tron biskupi, na nim wiązanka biało-czerwonych kwiatów. Wiadomo było, że tekst ślubowań ułożył uwięziony Prymas, wygłaszał je biskup Klepacz. Wydarzenie to było również ewenementem dającym ogólniejszą nadzieję, że może nastąpią zmiany, zwłaszcza, że w tych ślubowaniach zawierał się program moralny zakrojony na długi czas i odnoszący się do całego narodu. Było to wydarzenie także świadectwem odrzadzania się przężności Kościoła, który potrafił takie masy zgromadzić.

To lato było pełne wydarzeń. Najpierw pełne grozy wydarzenia w Poznaniu, potem to dziwne plenum PZPR w lipcu /przerwane i wznowione po dość długiej przerwie/ i z kolei w sierpniu - wydarzenie kościelne ale i społeczne zarazem, z nieukrywanyimi akcentami odnoszącymi się do Prymasa. Że to mogło się dziać publicznie to było novum.

Mniej więcej w tym też czasie poznałem Jerzego Zawieyskiego, co na długo miało dla mnie tak ważne znaczenie. Wspólnie z Januszem Zamblockim nawiązaliśmy z nim kontakt. Zastanawialiśmy się wraz z nim nad sytuacją, gdzieś chyba u początków tego lata, Zawieyski wydał mi się skupiony, oczekujący zmian, niemal pewien tego, że nastąpią, ale i przeczorny wobec wszelkich przedwczesnych zaangażowań. Byliśmy też w kontakcie i wymienialiśmy oceny dotyczące sytuacji z grupą zlikwidowanego "Tygodnika Powszechnego" z Krakowa: ze Stomną, Turcwiczem, Goźbiewem, Woźniakowskim. Bardzo byli zainteresowani tym co się dzieje w ruchu młodej inteligencji, którego ówczesnym centrum była Warszawa. Nazwiska niektórych z nich zaczęły się pojawiać w tygodnikach społeczno-kulturalnych, bodaj Jacka Woźniakowskiego w "Przeglądzie Kulturalnym". To także był symptom zmiany. Ich kapitał milczenia był bardzo cenny. Na pięć minut przed dwunastą, to jest na parę tygodni przed Październikiem, PAX próbował ich skłonić do przywrócenia im "Tygodnika" i wydawania go w koegzystencji z nim, ale to się nie udało. Tak więc o tym wszystkim co się działo i co się mogło stać w węższym i szerszym wymiarze polskich spraw toczyliśmy wtedy rozliczne rozmowy, nawiązywaliśmy kontakty. Siegały one także ku ludziom z dawnego Stronnictwa Pracy, ku różnym osobom ze starszego i młodego pokolenia, ku innym klubom, zwłaszcza tym, które się jakoś do myśli i tradycji chrześcijańskiej odwoływały.

Zygmunt Skórzyński - Działalność klubów katolickich młodej inteligencji odznaczała się niewątpliwą integracją rozmaitych nurtów i tradycji. Pamiętam liczne wspólne spotkania w ciągu Października; swój udział w ramach tych inicjatyw uważaam za jedno z najważniejszych zdarzeń w moim życiu.

W drugiej połowie października następuje moment dramatyczny. Jest szereg spotkań w Krzymym Kole, w niezwykle napięciu, bo już Żerań występuje, mówi się, że tam jest przechowywana broń. Jest wyrażna rola Staszewskiego /I sekretarza komitetu warszawskiego PZPR/. Odbывают się spotkania działaczy klubów w gmachu Sejmu. Jesteśmy informowani - pamiętam - o niezwykle doniosłej, wręcz kluczowej roli, jaką w walce z przeciwnikami odnowy odgrywa dowódca wojsk wewnętrznych gen. Komar /który był bodajże co najmniej częściowo niezależny od Rokossowskiego/. Sytuacja wyraźnie zmierza do rewolucyjnej czy powstańczej.

Wydarzenia zaczynają wiązać się z osobą Gomułki. Wizyta Chruszczowa, marszałkowie sowieccy lecą do Legnicy, gdzie było największe zgromadzenie wojsk rosyjskich - i stamtąd rusza ogromna ofensywa na Warszawę. Rozgrywa się to - jeśli dobrze pamiętam - między sobotą i niedzielą. W sobotę udałem się z kimś jeszcze do Zawieyskiego. Powiedziałem mu, że w sytuacji, jaka się wytworzyła, katolicy mogą i powinni odegrać zupełnie kluczową rolę, zwłaszcza ci, którzy byli

dotychczas zupełnie niezależni i mają autorytet w opinii publicznej. Mogą tę rolę odegrać zarówno w sferze stosunków wewnątrzspołecznych, a także w stosunku do Gomulki, który już obejmował władzę. Zapropnowałem, żeby Jerzy wystąpił publicznie w prasie, z grupą jakichś bardzo znanych postaci z "Tygodnika Powszechnego" - i on na tę propozycję przystaje. Omówiliśmy się nazajutrz rano. Zawieyski zaprosił jeszcze młodego filozofa Władysława Senkę, który reprezentował także jak się okazało, grupę organizowaną przez Tadeusza, z podobnymi intencjami...

Tadeusz Mazowiecki - Nie pamiętam dokładnie już, jak to się działo w godzinach i kto gdzie był, wiem że od nas wyszła podobna inicjatywa do Zawieyskiego, aby coś zrobić, by jako pierwszy krok wydać wspólne oświadczenie...

Zygmunt Skórzyński - Spotkaliśmy się z właściwie już gotową decyzją, że napiszemy memoriał. Myśmy biedzili się z Władkiem Senką nad naszą wersją projektu. Po kwadransie wrócił z drugiego pokoju Zawieyski z gotowym już tekstem, bardzo ostrym i zupełnie jednoznacznym. Promienieje. Jest całkowicie przekonany, że tak należy działać, jak to wczoraj sobie omówiliśmy. Tworzymy wspólny tekst, który jest bardzo anty-Piasecki /co w tym momencie jest zupełnie zrozumiałe/ i wyraża opinię pewnej grupy... Jeszcze nie bardzo dokładnie wiemy jakiej... Ja mam lecieć do Krakowa uzgodnić memoriał z zespołem "Tygodnika Powszechnego". Jerzy Zawieyski zatelefonował do Krakowa i okazało się, że oni tam obradują już od paru godzin w domu pani Starowieyskiej-Morstinowej...

Tadeusz Mazowiecki - ...w tym momencie było nas już kilkanaście osób, było to w mieszkaniu Senków na Odyńca. Pamiętam ten pierwszy telefon do Gołubiewa - jego świadkami było większe grono wspólnie obradujących osób. Następnego dnia koledzy z Krakowa - Gołubiew, Turwicz, Stomma, Woźniakowski - znaleźli się już w Warszawie i obradowali z nami. W Krakowie jakby czas płynął wolniej - oni się trochę opierali przed wyjazdem do Warszawy i Zawieyski musiał ich przekonywać.

Porozumieliśmy się też z Lublinem, z bliskimi "Krakowowi" ludźmi z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Nie pamiętam czy ktoś stamtąd już był wtedy pośród nas, może mieszkający w Warszawie prof. Makarczyk. Na pewno oświadczenie, które wydaliśmy, podpisali profesorowie Irena Sławińska i Czesław Zgorzelski. Podpisało je także - poza Zawieyskim i "Krakowem" - szereg osób z młodszej generacji, my z tzw. wtedy "frondu" czyli z klubu im. Mouniera, ludzie z klubu "Dialog", Zygmunt Kubiak i inni. Było bowiem wiele inicjatyw zmierzających w tym samym kierunku, a Zawieyski był ich naturalnym ośrodkiem krystalizacyjnym. Miał za sobą okres konsekwentnego milczenia, był bezspornym autorytetem moralnym, a przy tym potrafił doskonale porozumiewać się z młodymi. Miał dar przyciągania i przyciągnął nas wszystkich.

Następnego dnia przenieśliśmy się na obrady do pani Anieli Urbanowicz - u Senków kontynuowanie obrad ciągle wzrastającego grona było niemożliwe, Irena, żona Władysława Senki, miała właśnie rodziców... /to wszystko należy do kolorytu tamtych dni/. "Kraków" co pewien czas wraz z Zawieyskim chodził na jakieś rozmowy, o których w owym czasie nie wiedzieliśmy z kim są toczone, my młodzi nazywaliśmy to rozmowami z "cieniem". Były to rozmowy z Władysławem Bieńkowskim. Wcześniej uzgodniliśmy, że wydamy deklarację...

Zygmunt Skórzyński - Czyli ten tekst, który opracowywaliśmy w niedzielę rano. Charakterystyczny szczegół: pierwotna redakcja była zdecydowanie ostrzejsza, "Kraków" ostrość sformułowań zwłaszcza wymierzonych w Piaseckiego znacznie złagodził. W niedzielę wieczorem telefonicznie uzgodniliśmy tekst deklaracji, listę podpisów i zaniesiliśmy do "Życia Warszawy", żeby mogli ukazać się w poniedziałkowym wydaniu. Jak potem dowiedzieliśmy się z reakcji prasy zagranicznej ta deklaracja wywołała na Zachodzie wielkie wrażenie. Była po prostu w tym momencie bardzo ważnym aktem politycznym.

Tadeusz Mazowiecki - W chwili, kiedy się pojawiła, nie było bowiem wcale jeszcze wiadomo, czy ten przełom się utrzyma. Piasecki np. głosił, że będzie to tylko "sto dni" Gomułki. Jeszcze Prymas uwięziony, a tu poparcie Gomułki przychodzi ze strony niezależnych środowisk katolickich...

Zygmunt Skórzyński - Potem rozpoczęła się intensywna, parodniowa praca u ks. Zięzi przy kościele Włzytek i u pani Anieli Urbanowiczowej na Nowym Świecie, w wyniku czego decydujemy się zakładać klub, a nie np. partię wyznaniową.

Tadeusz Mazowiecki - Charakterystyczny dla atmosfery czasu był pomysł pierwszej nazwy, jakiegoś wspólnego określenia się tego grona, które się razem skupiło: Komitet Obecności Katolików. Zaproponowałem tę nazwę, była ona jakby "w powietrzu" tych dni, wszyscy przyjęli ją entuzjastycznie, potem się zmieniła. Wskutek rozmów z Bienkowskim przyjęto określenie "Klub". Nie upieraliśmy się oczywiście, żeby nie stwarzać trudności. Chodziło przede wszystkim o to, żeby powołać do życia jakąś instytucję. Bienkowski tłumaczył, że skoro istnieją kluby młodej inteligencji, nikt nie będzie miał nic przeciw temu, żeby powstał klub inteligencji katolickiej. I ten klub wtedy powstał. Jerzy Zawieyski został jego prezesem.

Zygmunt Skórzyński - Tego wieczoru, gdy u p. Anieli Urbanowicz zakładaliśmy Klub, ulicą przechodził właśnie ogromny pochód z pochodniami żądający wyjazdu Rokossowskiego. "Rokossowski do Gomu". A drugi moment osobliwy: kierownictwo partii w Warszawie jakimś drogami odnalazło Zawieyskiego i przez telefon złożyło mu propozycję, żeby na wielkim wiecu na Placu Defilad wystąpił obok Gomułki na trybunie. I my go namawialiśmy, żeby nie występował...

Tadeusz Mazowiecki - Wagę zawiązania się klubu widać na tle uprzedniej monopolistycznej pozycji Paxu oraz na tle niepewności, czy zmiana październikowa się utrzyma. Bo, owszem, Gomułka został pierwszym sekretarzem, ale jeszcze nie wiadomo było, czy ustał ruch wojsk radzieckich, czy ci, którzy przyjechali z Moskwy na pewno wrócili już do siebie czy nie, lub czy nie przylecą za chwilę jacyś inni. Był też trzeci element: niestawianie żadnych warunków. Chodzi o to, żeby poprzeć to, co się stało; ten przełom musi się stać i trzeba go poprzeć, to nie jest moment do targów, trzeba wszystkimi siłami pchnąć ten przełom...

Zygmunt Skórzyński - Na tym pierwszym zebraniu powołaliśmy klub, który miał nazwę: Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej; jeszcze pojęcie "postępowej" musi wystąpić, mimo że jest nieznosne dla większości założycieli. I wybraliśmy władze tej instytucji: Zawieyskiego na prezesa i sekretariat z przedstawicieli różnych nurtów młodego pokolenia w składzie: my tu obaj obecni /Mazowiecki i Skórzyński/ oraz Wacław Auleytner i Zygmunt Kubiak. Na pierwsze publiczne zebranie, które po jakimś czasie zorganizowaliśmy, Zawieyski

wypożyczył salę od Związku Literatów Polskich. Przyszedł ogromny tłum...

Tadeusz Mazowiecki - Wcześniej jeszcze nastąpiło wydarzenie ogromnej wagi: uwolnienie Prymasa. Pamiętam dobrze ogromny wiec na Politechnice Warszawskiej odbywający się tego samego wieczoru, kiedy Gomułka wygłaszał swoje słynne przemówienie na plenum partii. Byliśmy na tym wiecu obaj. Pamiętam jak padło żądanie uwolnienia Prymasa. Żaden naród nie może być naprawdę wolny, jeśli choć jeden człowiek oierpi gwałt - cytował jeden z przemawiających. A potem padło nazwisko: Wyszyński. Pamiętam reakcję zebranych. Tak było w Warszawie na Politechnice. A przecież nie tylko tam. Wyszyński - to było drugie najczęściej powtarzane nazwisko tych dni. Przypominam o tym, bowiem to wydarzenie - uwolnienie Prymasa - ukazuje jak nacisk oddolny i decyzja zapadająca na "górze" łączyły się w tym, co określiło najważniejsze treści i skalę wydarzeń Października.

Jak tu była mowa, najwięcej rozmów naszych było wtedy z Władysławem Bieńkowskim - człowiekiem bliskim Gomułce. Podczas jednej z tych rozmów zakomunikował on, że jedzie do Komańczy razem z Zenonem Kliszką i że prawdopodobnie wrócą z Prymasem. Zwrócił się do naszej grupy, żeby ten powrót Prymasa przygotować w tym sensie, żeby nie zdarzyło się nic, co by mogło przeszkodzić w pożądanym spokojnym rozwoju sytuacji. Oczywiście, żadne nasze działania nie były potrzebne. Zwróciliśmy się co prawda do Kurii, ale nic więcej nie przedsięwzięliśmy. Bieńkowski powiedział wtedy, że Gomułka wysyłając ich obu, to jest Bieńkowskiego z Kliszką, chce przez to zaznaczyć, że jest to jego iniojatywa, dlatego posłużyli się dwoma najbliższymi sobie ludźmi. Przebieg rozmów w Komańczy jest opisany w "Zapiskach więziennych" Prymasa.

Potem odbyły się pierwsze nasze spotkania z Prymasem. W jednym z nich brałem udział. Uderzyło mnie jak niezwykle głęboko i z ogromną odpowiedzialnością Prymas rozważa istniejącą sytuację: jak nie chce swoich krzywd wygrać do rozbudzenia nastrojów, nie szuka żadnego publicznego zadośćuczynienia; jak wszedł natychmiast w swoje funkcje i pragnie zapanować nad sytuacją, którą uważa za trudną i niebezpieczną.

Trzeba przypomnieć, że w tym czasie następuje dramatyczny fakt: wydarzenia na Węgrzech. Dla nas wszystkich są one straszliwym przetyciem, jak również i ostrzeżeniem. Ludzie całym sercem wyrwają się, żeby coś zrobić, jakoś pomóc Węgrom, ale wiadomo, że zrobić nic nie można, a najwyżej można sprowadzić nieszcześnie tutaj. A przecież pierwsze deklaracje Gomułki w sprawie Węgier zawierają wyrazy poparcia dla Imre Nagy' a, dopiero później ten ton się zmienia.

Leon Bober - Skoro mowa o tym, jak to potoczyło się na Węgrzech - czy również u nas istniały jakieś grupy czy siły radykalne, które dążyły do maksymalnego wykorzystania okazji, do uzyskania jak największej, więcej niż możliwej?

Tadeusz Mazowiecki - Nie mogę odpowiadać na to pytanie w odniesieniu do wszystkich, choć nic takiego mi nie wiadomo. Mogę mówić o tym kręgu, z którym się wtedy stykałem. Były to inne sprawy. Niektóre osoby z dawnego Stronnictwa Pracy uważały, że należy dążyć do utworzenia katolickiego stronnictwa politycznego. To było wtedy, w tych dniach, ale różnice zaczęły występować - generalnie - dopiero później, a spory dotyczyły już raczej tego, czy te przemiany październikowe jeszcze się utrzymują, czy już zostały zaprzepaszczone... To było już później.

Leon Bober - Jakiego rodzaju nadzieje wiązałyście z powołaniem

Klubu? Czy maksymalistyczne - to znaczy, mieliście nadzieję na współkształtowanie Polski popaździernikowej, czy też minimalistyczne - znaleźć enklawę dla siebie?

Tadeusz Mazowiecki - Pierwszą sprawą było zaistnieć. Zaistnieć instytucjonalnie. Przedtem istnienie autentycznej instytucji katolików świeckich było niemożliwe, to więc wysuwało się na plan pierwszy. Oczywiście, mieliśmy nadzieję na to, że życie w Polsce się zmieni. Ale pierwszym zadaniem było stworzenie instytucji w jakiegokolwiek formie, takiej jaka była możliwa. A już potem przyjdą tego dalsze konsekwencje. Oczywiście był też drugi problem: natychmiast reaktywować "Tygodnik Powszechny". W tej sprawie koleżdy krakowscy razem z Jerzym Zawieyskim niezwłocznie rozpoczęli rozmowy. Decyzja przyszła szybko. "Kraków" rozpoczął od razu prace nad wznowieniem "Tygodnika", a także miesięcznika "Znak". Podjęto od razu też starania o wydawnictwo, co trwało dłużej. Już wtedy, w październiku, powstała również idea powołania pisma młodych. W pierwszej koncepcji miało to być pismo warszawsko-lubelskie, związane z KUL-em i z Warszawą. Miał to być dwutygodnik o nazwie "Droga". Starania o ten dwutygodnik trwały dość długo. Dopiero jak się okazało, że nic z tego nie wyjdzie, węższa grupa osób z Warszawy, z którą byłem związany, podjęła starania o "Więź". To też trwało długo, dopiero w końcu sierpnia czy na początku września 1957 roku otrzymaliśmy zgodę na założenie miesięcznika. Przygotowania trwały od jesieni do lutego 1958, kiedy wyszedł pierwszy numer "Więzi".

Jaką mieliśmy wizję zakładając Klub? Nadzieję na zmiany. Kluby Inteligencji Katolickiej zaczęły powstawać w różnych miastach. W początkach 1957 roku odbył się zjazd tych klubów, któremu przewodniczył Antoni Gołubiew. Reprezentowane było bodaj trzydzieści kilka takich klubów. Kiedy przyszło do procedury rejestracyjnej władze zgodziły się jedynie na pięć. Te tylko przetrwały. Dopiero po sierpniu 1980 nastąpił znów wzrost do ilości około sześćdziesięciu klubów.

W trakcie rozmów o reaktywowanie "Tygodnika Powszechnego" padła propozycja, żeby ze środowisk katolickich, związanych z Prymasem, wyłonić kandydatów do Sejmu. Złożył ją Zawieyskiemu Ochab, który był wtedy jednym z sekretarzy KC. W styczniu po wyborach powstało pierwsze, liczniejsze niż bywało później, koło poselskie "Znak".

Zygmunt Skórzyński - W zarządzie Klubu pozostawałem do dnia wyborów do Sejmu, tj. do 20 stycznia 57. Wtedy złożyłem rezygnację. Otworzyły się dla mnie możliwości powrotu do pracy naukowej, ale nie to było głównym powodem rezygnacji. Nie miałem przekonania do udziału w pracach parlamentarnych. W późniejszych latach mówiło się nawet o tym, że ustąpiłem, ponieważ przewidziałem skutki wejścia do Sejmu. Nie przewidywałem... Ale oczywiście zachowywałem sceptyczny stosunek.

Leon Bober - A jak dalece unfny był Prymas? Chodzi mi zarówno o Klub, jak o składnik nowej Październikowej rzeczywistości, jak i o nową ekipę władzy?

Tadeusz Mazowiecki - Myślę, że jego zaufanie do Jerzego Zawieyskiego i do "Tygodnika Powszechnego" było wtedy ogromne. Do nas, młodszych, nabierał go stopniowo, ale też wydaje mi się, że było. Prymas udzielił poparcia wejściu do Sejmu posłów katolickich.

Jeśli zaś chodzi o sytuację ogólną, rozczarowanie Prymasa nastąpiło dość szybko, po pierwszych kontaktach z Gomułką. Był nieufny wobec Cyrankiewicza, którego postawę wobec Kościoła i jego stosunek do siebie tuż przed aresztowaniem pamiętał. W spotkaniach Prymasa i

Gomułka odgrywała rolę pewna nieprzystawalność ich osobowości, a trzeba pamiętać, że obie te osoby były wtedy autentycznymi autorytetami społecznymi. To, że te dwie osobowości nie mogą się porozumieć, było jednym z dramatów tej sytuacji. Ale przyczyny były przecież głębsze.

W każdym razie Prymas zachowywał ostrożność. Ale trzeba powiedzieć, że nastąpiły wtedy znaczące zmiany w stosunku do Kościoła. Przede wszystkim zniesienie drakońskiego dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych. Na pewien czas przywrócenie religii do szkół. Zmieniona została sytuacja administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych - wrócili biskupi, których przedtem nie dopuszczono do ich stolic biskupich. Był to fakt bardzo ważny dla całej struktury organizacyjnej Kościoła w Polsce. Stopniczo zaczyna wzrastać w ogóle liczba biskupów. Seminarja odzyskały swobodę. Przybiera na sile - i to ogromnie - ruch pielgrzymkowy, któremu władze przestały stawiać przeszkody. Pewne z tych swobód, które Kościół wtedy odzyskał, po pewnym czasie ograniczono, ale w tym pierwszym popaździernikowym okresie zmiana sytuacji Kościoła miała charakter zupełnie zasadniczy.

Zresztą, gdybym miał wskazać także na trwałe znaczenie przemian październikowych - trzeba by o tej zmianie sytuacji Kościoła mówić w pierwszym rzędzie. Ock tego trzeba by wskazać na zmianę stosunku do wsi, która utrwaliła indywidualne rolnictwo chłopskie. Jest to fakt strukturalny o ogromnym znaczeniu. Na trzecim miejscu tych konsekwencji Października postawiłbym odłokowanie kontaktów z Zachodem.

Niedawno, podczas opracowywania zbiorowej książki o ludziach związanych z Laskami - zakładam dla niewiedomych dzieci i jednym z najważniejszych ośrodków duchowości chrześcijańskiej w Polsce - zdarzyło mi się przeczytać listy francuszcanki siostry Teresy Landy, wybitnej intelektualistki o głębokim umyśle filozoficznym, która utrzymywała przyjazne kontakty z Maritainami. Dwa pierwsze listy siostry Teresy do Maritainów pisane po kilku latach przerwy okresu stalinowskiego, pochodzą z pierwszych tygodni po wydarzeniach Października. To niesłychanie ciekawy dokument - świadectwo czasu. Pisze siostra Teresa, że zmiana jest ogromna, że od prześladowań Kościoła komunijści przeszli do walki ideologicznej z nim, że została zachowana cenzura, ale jednak mamy autentyczną prasę katolicką. Pisze, że w porównaniu z krajami zachodnimi jest to mało, ale w porównaniu z tym, co było przedtem w Polsce - dużo. Pisze również, że zmiany w elicie władzy objęły tylko kilka osób, a większość została, ale że trzeba im jakiś kredyt zaufania dać, ponieważ zmiany, które objęły cały naród, są ogromne. I - co mnie uderzyło - dodaje wreszcie, że otworzyła się możliwość wyjazdów dla młodzieży, zwłaszcza kształcącej się, naukowej, na Zachód, że to ma ogromne znaczenie dla kultury, że ta młodzież jest spragniona kontaktów z Zachodem. Mówi wyraźnie o tym, że chociaż być może to wszystko okaże się nietrwałe, mimo to - ma ogromne znaczenie... Te słowa siostry Teresy oddają atmosferę tamtego czasu. Dla mnie lektura tych listów była tym bardziej interesująca, że pochodzą one od osoby, jakby stojącej na boku, niez zaangażowanej w życie polityczne, a bardzo trafnie wyrażającej te "za" i "przeciw".

Leon Bober - Niestety, trafna okazała się też przepowiednia o nietrwałości.

Tadeusz Mazowiecki - Spór o to, kiedy nastąpił koniec Października i tych swobód, które przyniósł, rozpoczął się bardzo wcześnie. Ale nie było to takie jasne przez długie lata, że oto nastąpił kres. Choć jasne było, że nastąpił odwrót i regres. Stało się tak, że Gomułka, wyniesiony jako autentyczny reprezentant narodu, bardzo szybko przekształcił się w przywódcę partyjnego, balansującego między

dwiema tendencjami. To nie znaczy, że od razu stracił on autorytet w narodzie) autorytet ten kruszał stopniowo, zresztą podkopany przez walkę frakcyjną. Myślę, że właśnie pod wpływem tych walk frakcyjnych, zwłaszcza poprzedzających dojście Gomułka do władzy została napisana wspomniana tu przez nas książka Witolda Jedlickiego "Chamy i żydy". Jest to książka interesująca, polemizowałem z nią, ponieważ dziwiło mnie zawsze to, że socjolog jakby się wyizolował od materii społecznej, która naprawdę niezależnie od tego jakie były układy "na górze", była w Październiku lawą pędzącą w jednym kierunku. I może mniej ważne było, która strona i dlaczego postawiła na tę lawę, natomiast ważne jest to, że w ogóle ta lawa mogła popłynąć i obrać swój kierunek.

Czy można było wtedy uzyskać więcej? Nigdy na takie pytania nie można w historii udzielić całkowicie pewnej odpowiedzi. Może można było... Ale w żadnym wypadku to nie deprecjonuje tego, co zostało zdobyte: oddech swobody, jaki naród zaczerpnął na długie lata. Z Października płynęła natomiast nauka, która stała się oczywista, że nie można zawierzyć odmianom w partii, że musi powstać coś poza nią, jako zinstytucjonalizowana, znacząca siła społeczna, będąca czynnikiem nacisku i gwarantem uzyskanych przez społeczeństwo zdobyczy. To nastąpiło z powstaniem "Solidarności". Rozwój wydarzeń w Polsce od 1956 roku, poprzez 1968, 1970 i 1976 przygotował postawy ludzkie do takiego egzekwowania praw społeczeństwa w sierpniu 1980.

Wtedy, w październiku 1956, po tym wszystkim z czego wychodzieliśmy, odczuwanie nadziei, dążeń i możliwości - było inne. Można było sądzić, że procesy w partii potoczą się głębiej i bardziej konsekwentnie, że ruch odnowy zwycięży, także w partii. To okazało się złudzeniem. Koncepcja, którą przyjął Gomułka, "obcinania skrzydeł" z jednej i drugiej strony, skończyła się tragicznie. Stopniowe wykruszanie przemian rozpoczęło się najpierw w dziedzinach bezpośrednio dotyczących robotników. Pierwszym, najważniejszym odczuciem od ideałów październikowych było przekreślenie idei samorządów i wtopienie ich w trójkąt: partia, dyrekcja, samorząd, co praktycznie oznaczało odebranie im autonomii. Cała reforma stała się niekonsekwentna i została zaprzeczona. Łączy się to ze zlikwidowaniem instytucji, o których można było sądzić, że będą miały poważne znaczenie, wpływając na sensowny i racjonalny rozwój gospodarki - jak Rada Ekonomiczna. Na tym odcinku wycofanie nastąpiło najszybciej i najdalej. Utrzymała się odmiennosc wsi. Może była mniej strukturalnie groźna dla systemu, może nie zagrażała mu doraźnie? Może łatwiej było ją wytłumaczyć Wielkiemu Bratu? Gdy podjęto kontrofensywę wobec Kościoła, Kościół był już na tyle silny, że mógł się jej skutecznie przeciwstawić. W obliczu tej kontrofensywy Kościół ogromnie okrzepł. Tu partia przegrała. I to ogromnie przegrała. W środowiskach kulturalnych pogromy rewizjonistów w partii doprowadziły do wyjątkowienia jej z intelektualistów, do wyjątkowienia marksizmu. Z punktu widzenia ogólnego najważniejszy był odwrót od demokratyzacji, od stylu rządzenia, kiedy władza, nawet taka autorytatywna i zmonopolizowana, opuje się zobowiązana szukać odniesienia do społeczeństwa, starania się o rozumienie jego dążeń. Choć nigdy już nie mógł nastąpić powrót do sytuacji sprzed października 56, regres następował przez lekceważenie opinii publicznej i dążenie do totalnej reglamentacji życia społecznego w każdej dziedzinie.

Położono pewne bariery i ogromne rzeczy zaprzeczono. Obrona wartości zdobytych przez społeczeństwo w Październiku trwała jeszcze przez długi czas. Ale w 10 lat po Październiku jego wspomnienie było już właściwie nieuczynalne. Nie bez znaczenia było jednak to, że mieliśmy się do czego odwoływać, że można było wskazywać na złamanie tej niepisanej umowy społecznej.

Leon Bober - A z dzisiejszej perspektywy?

Tadeusz Mazowiecki - Myślę o tym, z czego w październiku 1956 wyszliśmy, o tym, czego w jego przeprowadzeniu uniknęliśmy, o tym co pozostało trwałe i czego już odwrócić - mimo wszystko - nie było można. Myślę też o przetworzeniu się w świadomości polskiej tych wszystkich doświadczeń między rokiem 1956 a 1980 i o przetwarzaniu się ich dziś dalej. W tej wielkiej skali - Październik nie był to czas daremny.

Rozmawiał Leon Bober

Książka i czasopiśmiennictwo pierwszego obiegu .

Winien jestem kilka słów wyjaśnienia, aby nie było nieporozumień. Nie przygotowałem komunikatu, który byłby omówieniem dorobku literackiego pierwszego obiegu w czasopiśmie oraz w dziedzinie książki. Nie jestem gorliwym czytelnikiem utworów, ukazujących się w tym obiegu. Na lekturę czasopism poświęcam niewiele czasu. Co się tykozy książek, to dziękuję Bogu, że nie jestem krytykiem literackim, dobry los zwolnił mnie zatem z obowiązku ich czytania. Kolegom, którzy z racji wykonywanego zawodu muszą czytać pewne rzeczy szczerze współczuję.

Moje czytanie ma więc mnóstwo luk, poza tym nie jestem kompetentny, nie dysponuję warsztatem krytycznym. Nie będę zatem mówił o konkretnych tytułach, o tak zwanym dorobku minionego pięćdziesięciu lat, ale podzielę się refleksjami na tematy ogólniejsze, postaram się przedstawić mój pogląd na koncepcję pierwszego obiegu, jego społeczne zadania, jego - że tak powiem - filozofię polityczną. Być może moja diagnoza i moje wnioski uznacie za błędne. Jeżeli nie mam racji - będę wdzięczny za wyprowadzenie mnie z błędu.

Ostatnie pięć lat to był okres bardzo doniośle dla polskiego piśmiennictwa. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że książka i prasa przeżywają głęboki kryzys, który jest następstwem załamania gospodarczego i wielkich przeobrażeń społecznych. Jednakże nie tylko sprawy techniczne i finansowe były przyczyną tego kryzysu. W dziedzinie literatury oraz czasopiśmiennictwa istotną rolę odgrywały naciski administracyjne i przymus polityczny, a także - po części - policyjny. Tego rodzaju naciski występowały w Polsce powojennej zawsze, ale nigdy w takiej skali. Rozbite zostały środowiska literackie i dziennikarskie, zlikwidowano tradycyjne i mocno zakorzenione w tych środowiskach organizacje, a mianowicie ZLP oraz SDP. Znaczna część pisarzy oraz publicystów była wyeliminowana z pierwszego obiegu bądź na mocy decyzji władz, bądź z własnego wyboru, dyktowanego względami moralnymi. Doszły do głosu, bardziej niż w przeszłości, zawsze obecne podziały polityczne. Stan wojenny zarzycował linię podziału grubą kreską. Piśmiennictwo podzieliło na dwie strefy: czarną i białą, przy czym co jest czarne, a co białe, zależało od indywidualnego poglądu, który dyktował wybór postaw. Tak w przeszłości na ogół nie bywało. Poruszaliśmy się przez 35 lat w strefie szarości, strefie podziałów nieostrych, zhierarchizowanych i zinstytucjonalizowanych, przy czym istniały pola, marginesy szersze lub węższe - zależnie od okresu politycznego, na których była jakaś szansa swobodnego manewru. Miało to zawsze charakter moralnie dwuznaczny dla olbrzymiej większości

Referat wygłoszony 14.12.1986 na sympozjum pt. "Przemiany w kulturze i świadomości społecznej ostatnich lat" zorganizowanym przez Duszpasterstwo Akademickie w Katowicach.

zainteresowanych, ale należało do kolorytu polskiej demokracji ludowej, tak jak - nie przymierzając - indywidualna gospodarka chłopska, albo wyjątkowe znaczenie Kościoła w życiu społecznym. Był to pewien nawyk, tryumfowało prawo mimikry, potrzeba dostosowania się, może nawet zgoda konformizmu, które jednak wsparte były o pewne usprawiedliwienia o charakterze etycznym. Dla zilustrowania tych procesów przytoczę tutaj dwie opinie, które dzieli historycznie ponad dziesięć lat. Gdzieś u schyłku rządów Gomułki prof. Kotarbiński powiedział mi, że trwa na stanowisku prezesa PAN, bo jest świadomy, że gdy odejdzie, jego miejsce zajmie ktoś bardziej uległy, łatwiejszy do manipulowania, co może przynieść niepowetowane straty nauce polskiej. Interes publiczny wymaga od nas ofiary sumienia, powiedział wówczas sędziwy uczoney. W roku 1982, Andrzej Kijowski, kiedyśmy rozmawiali po moim powrocie z internowania, rzekł niemal dosłownie: skończył się czas obrony instytucji, zaczął się czas obrony sumień.

Te dwie opinie najlepiej chyba oddają sens przeobrażeń, jakie się dokonały. I ten nowy stan umysłów odcisnął swoje piętno na całym pierwszym obiegu.

Minione pięćdziesiąt lat można z grubsza podzielić na dwa okresy. Okres pierwszy, gdzieś do połowy roku 84 i okres drugi, który trwa już dwa i pół roku i chyba jakoś ustala się jako nowa formuła władzy.

W pierwszym okresie dominowała retoryka moralnego i politycznego terroru. Był to gadatliwy i dość niewybredny monolog na temat przeciwnika, który był zakneblowany i nie mógł odpowiadać. Nie istniała wówczas w czasopiśmie argumentacja racjonalna, wyrażano wyłącznie emocje, przy czym artykułowano je głównie przy pomocy inwektyw, oszczerstw i pomówień. Intelaktualna wartość tych praktyk była znikomą, ich oddziaływanie na świadomość czytelnika - wątpliwe. Prasa społeczno-literacka miała wówczas charakter brukowy, trudno tu mówić o jakimś poziomie fachowym, bo nawet ludzie z pewnym doświadczeniem zawodowym, jak np. Koźniewski, popadali w manierę *sui generis* niechlujnego chamstwa, czego musieli się chyba uczyć, bo przedtem odznaczali się bądź co bądź pewną subtelnością w zakresie formułowania opinii.

Idzie mi o to, by podkreślić, że taka była koncepcja, to wcale nie musiało wynikać z osobistych predyspozycji autorów, po prostu trzeba było się zanurzyć w nurcie dość brudnym, w takiej aurze bagiennej, aby sprostać ówczesnym wymaganiom. Oczywiście, dla pewnych ludzi to był żywioł naturalny, nie umieliby inaczej. Właśnie wtedy wychynęli na powierzchnię życia publicznego rozmaici autorzy, o których przedtem nikt nie słyszał, bo przedtem nie mogliby sprostać elementarnym wymaganiom zawodu. W latach 1982-84 to oni właśnie nadawali ton czasopiśmowemu. Inni, tacy jak już wspomniany Koźniewski, jeśli chcieli uczestniczyć - musieli się dostroić, zejść z piętra profesjonalnego do suteryny, bo tylko wtedy mogli znaleźć dla siebie miejsce w nowej sytuacji.

Po roku 1984 mamy w Polsce czasopiśmiennictwo dość zróżnicowane, w którym przeważa ton głęboko krytyczny pod adresem zarówno władzy, jak społeczeństwa, ton całkiem w dziejach Polski ludowej nowy, nie znany epokom poprzednim. Jesteśmy świadkami niekiedy całkiem rzeczowych polemik na tematy, które przez całe lata były przemilczane, należały do politycznego tabu. Swoboda wypowiedzi bywa czasem wręcz zdumiewająca. Polemiki - zaskakujące. Brzmi to paradoksalnie, ale zwracam uwagę na ten fenomen, ponieważ świadczy on o pewnej ważnej, strategicznej - powiedziałabym - koncepcji w zakresie polityki kulturalnej. Koncepcja ta zmierza do kreowania nowej jakości kultury, do-

tychczas nieznaną w naszej części świata, może nawet - dotychczas nie do pomyślenia w naszej części świata. Idzie, jak sądzę, o stworzenie tzw. pluralizmu licencjonowanego. Idzie o wielość nurtów, poglądów, opinii o żywość polemik, sporów, a nawet gwałtownych konfliktów - zawsze w ramach kontrolowanych, ale na obszarze szerokim. Kilka lat temu napisałem, że procedura ta jest pomysiana następująco: każdy kto wyrazi ochotę, zostanie przyjęty. Jego pierwszym krokiem na nowej drodze musi być jednak wyrzeczenie się podmiotowości i zgoda na dyspozycyjność. Jest to jakby akt pasowania, który polega na wsunięciu głowy w obrozę. Od tej chwili znajdujemy się na smyczy. Ale smycz jest nieporównanie dłuższa i bardziej elastyczna, niż kiedykolwiek w przeszłości. Złudzenie swobody po prostu zwala z nóg. Łazy są tak wielkie, że się wcale obroży nie czuje. Obszar krytycznej pepetracji jest niemal nieograniczony, te granice przebiegają gdzieś za horyzontem. Ale smycz może być w każdej chwili ściągnięta, a harownik przywołany do porządku.

Nie ulega kwestii, że w takich ramach może się rozwijać także owocna publicystyka literacka i społeczna. I rozwija się! Mamy jednak przeświadczenie, że jest ona w jakimś sensie nieautentyczna, weszmy tu manipulację. Otóż nie sądzę, aby to była manipulacja. W każdym razie nie taka, jak w dawnych czasach, np. za Gomułki czy Gierka. Sens obecnej manipulacji polega na tym, że swobody można w każdej chwili ukrócić albo zawiesić na kołku. Jest to tym bardziej bolesne i upokarzające, że wielu już wzięło wiatr w żagle, wielu już posmakowało tej swobody na zluźnionej smyczy. Ale jest to także bardziej niż kiedykolwiek owocne, zarówno dla władzy jak i dla społeczeństwa, ponieważ władza kontroluje cały obszar, a nie - jak kiedyś - zagubiona jest w szczegółach, w gąszczu słów, zdań, sformułowań, może więc pozwolić sobie na strategię, na ogład rzeczywistości w planie ogólnym, bez uciekania się do taktycznych zaleceń, do tej drobiazgowości, która była tak drażniąca i tak głupia w dawnych czasach. Natomiast z punktu widzenia interesu społecznego owocność takiej metody jest również oczywista, bo dzięki krytyce, polemikom, sporom, życie umysłowe toczy się bardziej warto, wiele spraw trudnych do rozwiązania i bolesnych można jednak rozwiązać z pożytkiem ogólnym, nade wszystko zaś funkcjonują wentyle bezpieczeństwa, ciśnienie w polskim kotle odprowadzane jest pod kontrolą można nawet tę energię skierować w jakimś obranym przez władzę, lub nawet przez społeczeństwo pod czynną kontrolą władzy - kierunku. Koncepcja pluralizmu licencjonowanego świadczy o wysokich kwalifikacjach pewnych ludzi w zakresie socjotechniki władzy. Jest to niewątpliwie sukces socjalistycznej demokracji. Byłby on jeszcze większy, gdyby nie przemiany w świadomości społecznej, a zatem całkiem inny rodzaj aspiracji i marzeń narodu, bo dziś po prostu żadne paternalistyczne gesty i licencje głodu wolności nie zaspokoją. Ale mogą stworzyć pozór duchowej sytości - i to jest dość niebezpieczne. Bo nie mamy tu do czynienia z prawdą, lecz z częścią prawdy, bo prawda jest selektywna i przemieszana z fałszem. Zasadniczym zaś zagrożeniem jest brak podmiotowości, a zatem poczucie uzależnienia, zagrożenia i nietrwałości.

Dlatego, jak sądzę, znajdujemy się dzisiaj na bardzo grząskim gruncie, idziemy bardzo trudną drogą. Prasa oficjalna nie tylko nie jest dzisiaj zła, ale wydaje się dużo lepsza niż kiedykolwiek w przeszłości PRL. Jej swobody są znaczne. Jej elastyczność bywa imponująca. Dla obserwatora powierzchownego, a np. za granicą niemal wszyscy są w tej mierze dość powierzchowni, mamy dziś w Polsce prasę fascynującą. Czy było do pomyślenia ostre krytykowanie ministrów albo wojewodów w najlepszych czasach Gierka lub Gomułki? Czy można było tak otwarcie dyskutować o najrozmaitszych kalektwach naszego życia? Ostatnio pękły nawet bariery, które wydawały się nietykalne jeszcze

trzy, cztery miesiące temu. "Trybuna Ludu" bierze w obronę Adolfa Rudnickiego przed krytyką paryskiej "Kultury" i chwali jego książkę o Dostojewskim wydaną w "Przedświcie", a zatem w drugim obiegu. "Polityka" omawia powieść Kisielea wydaną na Zachodzie i przedrukowaną w drugim obiegu. Tak oto jesteśmy w centrum pluralistycznej Europy! Tyle, że na smyczy. Tyle, że w obroży. Lecz znaczna część społeczeństwa nie widzi ani smyczy, ani obroży. Znaczna część społeczeństwa ma do czynienia z gotowym produktem, z czasopismem dość kulturalnie redagowanym, gdzie się ścierają rozmaite poglądy i opinie, gdzie tu i ówdzie mówi się gorzkie prawdy sprawiające czytelnikowi satysfakcję. Nabiera on do prasy zaufania. W tym nowym opakowaniu trafia do niego nie tylko część prawdy, ale także fałsz, pomówienie, oszczerstwo, kłamstwo - ale już całkiem inne w formie niż trzy lata temu. Chamstwo należy raczej do przeszłości, a wypalanie opozycji gorącym żelazem jest w złym guście. Prasa obecnie ubolewa, strofuje, udziela rad, niekiedy posługuje się szyderstwem, ale powiedziałybym - całkiem salonowo. Proszę porównać rubrykę "Obserwacje" w "Perspektywach", albo "Fusy, Plusy, Minusy" w "Polityce" - dziś i trzy lata temu! Najpierw byliśmy w koszarach, potem w maglu, dzisiaj jesteśmy jeśli nie w salonie - to bądź co bądź w poczekalni u dentysty. Maszyna do borowania pozostaje w pogotowiu, ale możemy sobie na razie pogawędzić o czym dusza zapagnie. Zamiast leczenia chorego zęba stosuje się środek przeciwbólowy. Myślę, że jest to terapia, która może się wielu ludziom podobać. Szczególnie takim, którzy chcą uniknąć bólu, bez względu na konsekwencje.

Kilka słów o literaturze. Zawsze byłem przeciwnikiem dzielenia jej na różne obiegi. Literaturę należy dzielić tylko na złą i dobrą. Nie zamierzam się wtrącać do spraw, o których będzie mówił Andrzej Drawicz, ale w drugim obiegu zdarza się sporo kiksów, a nawet zwykłej tandety. Piękne moralna intencje nie są żadną przepustką do literatury. Podobnie moralna brzydota nie zamyka do niej wrót. Decyduje talent i dobre rzemiosło.

W obiegu oficjalnym zabrakło raczej w ostatnim pięcioleciu ludzi talentu i dobrego rzemiosła. Ale nie ma reguły bez wyjątków. Byłoby rzeczą śmieszniejszą zaprzeczać, że w tym obiegu nie ma dobrych książek, nie ma dobrej literatury. W obiegu oficjalnym pozostało kilku wybitnych pisarzy, ludzi godnych szacunku i uczciwych, jak choćby Terlecki czy Kuśniewicz. Ostatnio pojawili się Rudnicki, niezbyt może udany, oraz Konwicki, także nie tego lotu, co zazwyczaj, lecz to już nie jest wina obiegu, ale twórczej kondycji autorów. W ostatnim pięcioleciu rozkwitła u nas literatura pamiętnikarska, szczególnie dawniejsza, bo wydawcy chcieli coś wydawać, mieli jakieś ambicje, a Bratny, Machajek czy Grzymkowski nie załatwiali jednak aspiracji edytorówkich bez reszty. Obrodziły więc pamiętniki, wróciła na rynek szorstka dobra klasyka polskiej i obcej. W dziedzinie książki kryzys jest oczywiście głębszy niż w czasopiśmiennictwie, trzeba tu więcej pieniędzy i nakładów technicznych. Zaniedbania zaś były ogromne. Nie obarczałbym tym stanem rzeczy władz obecnych, one przejęły cały ten kram od ekipy Gierka, która kryzys książki w Polsce starannie przygotowała przez lata. Dzisiaj to się w pewnym sensie kontynuuje i pogłębia, ale z drugiej strony czyni się starania o urzeczywistnienie bardziej rozumnego dla władzy kursu.

Gierek, mówiąc do skrótem, postawił na telewizję. Mały ekran miał załatwić całą twórczość kulturalną i wszystkie formy uczestnictwa w kulturze. Był to model nowoczesny, odpowiadający zarówno koncepcjom totalizmu, jak i demokratycznego konsumeryzmu. Jednym słowem - model naszych czasów. Należę do ludzi, którzy nie rozdzierają szat z tej przyczyny. Na świecie wciąż pokutuje, dwojaka w sensie źródeł, ale identyczna w sensie społecznego złudzenia, koncepcja upowszech-

nienia kultury. Jest to koncepcja bolszewicka i jednocześnie liberalna. Bolszewicy wprowadzili do obiegu historycznego program upowszechniania kultury, liberałowie program kultury masowej. Oczywiście, są tu różnice, bo dla bolszewików miało to być narzędzie oddziaływania na świadomość masową, dla liberałów zaś - realizacja utopii oświeceniowej. Rezultaty były imponujące. Telewizja rzeczywiście zwyciężyła. Taśmy video umacniają ten sukces. Osoby uduchowione są w rozpacz. Na pozór nie bez przyczyny, bo niemal nikt nie czyta książek, niemal nikt nie chodzi do teatru, nawet kino świeci pustkami. Osoby uduchowione twierdzą, że ludzkość ulega powolnej barbaryzacji i jest coraz bardziej podatna na manipulacje.

Ja w rozpacz nie jestem i chyba nie jestem uduchowiony. Mam poglądy szalenie konserwatywne, przynajmniej na kwestie kultury, literatury. Uważam, że literatura zawsze była zajęciem klasztorno-salonnym, obszarem elitarnym. Literatura nigdy nie była przeznaczona dla wszystkich, lecz zawsze dla wybranych. Procent publiczności czytającej jest dzisiaj wyższy niż sto, czy pięćset lat temu. Ale może być nawet niższy, nie ma to wpływu na bieg historii. Czynnikiem decydującym o rozwoju duchowym ludzkości zawsze były środowiska liczebnie bardzo ograniczone, zwarte, nawet - powiedzielibym - izolowane od szerokiej mas. Całą intelektualną konstrukcją Oświecenia stworzyło może dwudziestu, a może stu ludzi. Tych stu ludzi zmieniło bieg historii świata. Co prawda w dość wątpliwym kierunku, który wcale mi się nie podoba, ale było to dzieło nielicznej gromadki, elity wyjątkowych umysłów. Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Wystarczy stu czytelników Homera, Cervantesa, Szekspira w dzisiejszej Polsce, aby kultura nasza dalej się rozwijała i przynosiła błogosławione owoce w życiu duchowym narodu.

Niedawno słyszałem referat, z którego wynikało, że skoro nasza kultura ma korzenie ziemiańskie, a ziemiaństwo jako warstwa już nie istnieje, to cała spuścizna wydaje się zagrożona. Jest to socjologiczna gra pozorów. Aristokracyzm kultury, każdej kultury, wytwarza snobizm. Zrazu są one śmieszne, potem nabierają patyny i stają się niekwestionowaną wartością duchową. Proszę uważnie się przyjrzeć historii duchowego rozwoju Polaków w ostatnich czterdziestoleciu. Zmieniło się wszystko, wymieniali się elity polityczne, elity władzy, nawet elity robotnicze, ale nie było mowy o wymianie elit intelektualnych, ponieważ te są z natury niewymienne. One trwają, wciąż ożywiane dopływem świętych, nowych indywidualności. Telewizja kultury nie zniszczy, może ją co najwyżej uczynić jeszcze bardziej elitarną, co daj Panie Boże!

Wracam do głównego nurtu rozważań. Kryzys książki zatem. TV jako moloch pochłaniający wszystkie środki. To ekipie Gierka dogadzało. Ona jeszcze wierzyła w manipulację typu ideologicznego, uświatlała model bolszewicki przybliżyć do modelu konsumpcyjnego, upowszechnienie zastępować kulturą masową. Działaj jest odrobinę inaczej. TV pozostaje narzędziem oddziaływania na świadomość, ale czyni się wysiłek, aby przeniknąć do elit, właśnie za pośrednictwem książki. Jest to polityka nieporównanie bardziej dalekowzroczna i elegancka. Gdyby mnie było jeszcze stać na zaufanie, na przedwiadczenie, że takie programy mogą być dyktowane szczerą troską o interes kultury, literatury, swobód intelektualnych - to' powiedzielibym, że te starania w pełni zasługują na szacunek, na szerokie poparcie. Ale mam obawy, wynikające z doświadczenia wielu ludzi, że idzie tutaj jednak o pewien nowy pomysł manipulacyjny, o umocnienie monopolu władzy, że to jest próba - zresztą nie bez szans powodzenia - przeciągnięcia do pierwszego obiegu tych ludzi, którzy dziś jeszcze związani są z obiegami drugim. Nerwowość władz wobec drugiego obiegu, upatrywanie w nim największego zagrożenia - świadczy o tym, że moje obawy są uzasadnione.

Bo na dobrą sprawę, jeśli się rzeczywiście chce rozwoju myśli, swobód w kulturze itp. - to jaki jest cel w prowadzeniu wojny z drugim obiegiem?

Przypuszczam, że pierwszy obieg stabilizuje się obecnie w nurcie pewnej normalizacji. Tu kilka słów na temat naszych złudzeń, dotyczących wolności twórczych. Takie wolności nigdzie nie istnieją. Natomiast ograniczenia mają całkiem inny charakter. W krajach demokratycznych - rynek stanowi czynnik decydujący o swobodzie wypowiedzi pisarskiej. Często bywa on bardziej brutalny i niszczyielski od komunistycznej cenzury. O tym godzi się pamiętać, jeśli mamy się kierować zdrowym rozsądkiem. Ograniczenia wynikające z praw rynku narzucają wydawcy określone konieczności, a co za tym idzie - dyktat wobec pisarza. Nie jest to, rzecz jasna, dyktat werbalny, ale ekonomiczny. Po prostu książki, która nie rokuje szansy na rynku, nie można w ogóle wydać. Chyba za własne pieniądze. Ale pieniądze na kulturę ludzie mają na Zachodzie stosunkowo niewiele. Oczywiście stokroć więcej, niż u nas, ale jednocześnie stokroć mniej niż na rozrywki, podróże, motoryzację, czy nawet na cmentarne nagrobki. Jeśli dziś mówimy, że w Polsce nie ma nadziei dla zdolnego debiutanta, który nie jest jednocześnie politycznym oportunistą, to powinniśmy pamiętać, że na Zachodzie taki debiut też jest niesłychanie trudny - co prawda z innych przyczyn, ale przy podobnych skutkach dla autora.

Rządy komunistyczne zainfekowały nas pewnym wygodnym ale zgoła fałszywym stylem myślenia. Od mecenatu państwa komunistycznego oczekuje się komfortu wydawniczego wynikającego z zasady upowszechnienia kultury, ale zarazem odmawia mu się przywileju dyktowania pewnych warunków. Jest takie rosyjskie przysłowie, które warto zawsze pamiętać: Cześć zachranit i dziengi wziat - eto nie wasmożno!

Już słyszę głosy protestu, że przeciwko kultura jest własnością narodu, a nie grupy rządzącej, więc wszelkie wymagania państwowego mecenatu są rodzajem uzurpacji. Oczywiście, to jest pogląd szluszny, ale cokolwiek utopijny. Na Zachodzie bowiem, gdzie kultura także powinna być własnością całego społeczeństwa, książka jest zwykłym towarem i musi się jak towar bronić przed unicestwieniem w walce konkurencyjnej, z której często zwycięsko wychodzi tandeta, a rzecz dobra ponosi klęskę.

Mamy więc pewną stabilizację pierwszego obiegu, który podlega znacznym ograniczeniom wynikającym z monopolu państwa, istnienia cenzury, aspiracji pedagogicznych władz, wreszcie ograniczeniom kryzysowym i wynikającym z kryzysu próbami rynkowego traktowania książki. Jak wiadomo książka szalenie podrożała, czytelnictwo gwałtownie spada, reforma gospodarcza nakłada na wydawców nowe rygory. To ma swoje złe i swoje dobre strony. Niedawno wydawca, pan Kurz z Krakowa, miał zabawną rozmowę z Jerzym Ficowskim. Przedtem nie znali się osobiście. Pewnego dnia, przypadkowo, pan Kurz powiada do Ficowskiego: A, to pan jest ten opozycjonista Ficowski. A ja panu wydałem właśnie książkę w 30 tysiącach nakładu.

Na to Ficowski: Skoro to taka łaska, to niech pan na przyszłość tego, broń Boże, nie robi!

A pan Kurz swobodnie: Ależ będę to robił. Przecież ja muszę utrzymać wydawnictwo.

Więc tak to jest, że Ficowski spod znaku KOR-u utrzymuje Wydawnictwo Literackie, żeby miało ono środki na dotacje, na straty rynkowe przy wydawaniu na przykład pana Machejka. Nawet na tym odcinku dostrzegamy pewne pozytywne ekonomiczne katastrofy, która nas politycznie jeszcze trzyma przy życiu. Lepiej nie myśleć co by było, gdyby nie te miliardy zadłużenia.

Ale, rzecz jasna, pierwszy obieg, przy najbardziej liberalnym kursie, będzie miał poważne ograniczenia. Nie idzie nawet o tematy

tabu, jak np. problematyka wschodnia czy kwestia dyktatury proletariatu, bo bez tego rodzaju par excellence politycznej problematyki literatura może istnieć i rozwijać się. Idzie o świadomość ograniczeń, o pewien model myślenia, który stał się dość powszechny w środowiskach twórczych od dziesięciu lat. Ludzie wcale nie muszą poruszać spraw drażliwych, ale chcą żyć ze świadomością, że wolno im je poruszać.

I drugi czynnik, niesłuchanie doniosły. To kwestia współpracy z cenzorem. Nawet najbardziej wyrozumiałym i oświeconym cenzorem. Otóż on pozostaje pierwszym naszym czytelnikiem i on decyduje czy nasz utwór może czy nie może trafić do innych rąk. Nie jest rzeczą istotną czy idzie o utwór polityczny, czy o romans od polityki najdalszy. Decyduje świadomość, że pisarz ma współnika i na to współnictwo wyraża zgodę. Książka cenzurowana, nawet jeśli w niej nie usunięto nawet przecinka - pozostaje bądź co bądź wspólnym dziełem autora i cenzora. Kiedyś było to w Polsce oczywiste, dzisiaj ludzie bardzo długo rozważają, czy godzi się jednak rezygnować z własnej podmiotowości. A że rozważają, to rozumiają. Bo pierwszy obieg oferuje kuszące możliwości. Oferuje szerokie dotarcie do czytelnika, niezły papier i druk, obecność pisarza w krytyce oficjalnej, a co za tym idzie - nie ukrywajmy - obecność w świadomości społecznej, szerszą i o wiele bardziej widoczną, niż w obiegu drugim. Można oczywiście powiedzieć, że czytelnik, ten najbardziej czytany, najbardziej świadomy, żywi dość nieufny stosunek do pierwszego obiegu, ponieważ zawsze wietrzy w nim pewne przemilczenia, nade wszystko zaś rezygnację autora z pełnej suwerenności twórczej. To prawda, ale nawet najbardziej krytyczny, nieufny czytelnik spragniony jest po prostu dobrej książki, która byłaby łatwo, oficjalnie dostępna. I ten взгляд autor także ma na uwadze, gdy podejmuje pewne decyzje.

W obecnej sytuacji, w rysującej się ostatnio perspektywie polityki pewnego otwarcia, pewnej liberalizacji - widzę szansę dla pierwszego obiegu nade wszystko. I nie trzeba z tego powodu rozdzierać szat, nie trzeba nikogo potępiać. Za sto lat, a może już za dziesięć lat, wcale nie będzie ważne jakie perypetie przechodził autor i co o nim sądzono, gdy książkę swoją wydawał. Ważna będzie tylko sama książka, jeśli oczywiście pozostanie w obiegu czytelnicznym jako dzieło trwałe, wzbogacające naszą świadomość i wrażliwość. Nie byłbym zatem zwolennikiem kontynuowania czy zgoła pogłębiania podziałów pomiędzy ludźmi w tej mierze. Pierwszy obieg wydaje mi się cenny i bardzo potrzebny. I tylko obawiam się jednego. Żeby mianowicie rozkwit tego pierwszego obiegu nie doprowadził po pewnym czasie do obumarcia drugiego obiegu. Bo bez drugiego - ten pierwszy bardzo szybko wróci w stare koliny niczym nie zagrożonego monopolu. A to stanowi największe niebezpieczeństwo dla życia umysłowego.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

Kompromitacja systemu - szkolnictwo wiejskie.

Badania nad oświatą prowadzone na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wykazywały, że na wsi przeciętnie około 20%, a w niektórych regionach do 40% uczniów nie kończyło szkoły podstawowej. Absolwenci zaś wiejskich szkół podstawowych wykazywali głębokie niedobory w elementarnych umiejętnościach szkolnych: wielu z nich było tak zwanymi funkcjonalnymi analfabetami, tj. nie potrafili czytać ze zrozumieniem prostych tekstów, a ich wiedza matematyczna sięgała jedynie 30% wiadomości zawartych w programie szkolnym. Odpowiedzią władzy na katastrofalny stan szkolnictwa wiejskiego było wówczas wprowadzenie tak zwanych "punktów za pochodzenie", tj. systemu sztucznego podnoszenia ocen uzyskiwanych przy egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie. Rozwiązaniem to, na wskroś fasadowe, przyniosło wiele szkód i jest przykładem nieuczciwego postępowania wobec młodzieży wiejskiej.

Źle, coraz gorzej

W latach 1972-1978 podjęto reformę struktury sieci szkolnej na wsi, traktowaną jako element ogólnopolskiej reformy szkolnictwa. Reforma ta - przeprowadzona bez przygotowania środków materialnych i kadrowych, niespójna ze strukturą agrarną i osiedleńczą wsi - pogłębiła upośledzenie szkolnictwa wiejskiego. W imię tzw. "zbiorności" zlikwidowano wówczas wiele placówek szkolnych, powodując chodzenie małych dzieci do odległych szkół, bardziej niż poprzednie przepełnionych, o zdeorganizowanej pracy, gdzie przybyszów z małych szkół izolowano w specjalnych "słabszych" klasach. W efekcie ze wsi zniknęło ponad siedem tysięcy izb szkolnych, z których wiele niedawno jeszcze wnosili sami rolnicy pod szumnym hasłem "Tysiąc szkół na Tysiąclecie". Zniknęły również inne, wchodzące w obręb szkoły instytucje - księgozbiory szkolne, tereny rekreacyjne i sportowe, a także nauczyciele, których więź z rodzicami uczniów osłabia lub zerwała się całkowicie.

Przy ogromnych stratach organizacyjnych, psychicznych, wychowawczych i kulturowych, jakie wynikły z reformy, nie przyniosła ona pożytecznych rezultatów w sferze czysto dydaktycznej. Nadal utrzymuje się dwuletnie opóźnienie dzieci wiejskich na progu szkoły podstawowej, głębokie niedobory w opanowaniu umiejętności szkolnych i kompetencji kulturowych przy końcu szkoły, dyskwalifikujące młodzież wiejską na drogach szkolnictwa średniego i wyższego. Wprowadzenie nowych programów nauczania przyczyniło się nawet do dalszego obniżenia poziomu kształcenia, ponieważ ani kadra nauczycielska, ani uczniowie nie są w stanie

Tekst jest fragmentem większego opracowania. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

pokonać trudności nowego programu, ani tym bardziej rodzice nie potrafią udzielić dzieciom w tym względzie pomocy.

Dominującym problemem lat osiemdziesiątych stało się dalsze obniżenie poziomu kadry nauczycielskiej. Niedobory kadrowe spowodowane zostały przejściem na wcześniejszą emeryturę wielu wykwalifikowanych nauczycieli, odpływem najwyższej kwalifikowanych kadr do miasta i zmniejszeniem wymiaru godzin pracy /uprawnienie to wprowadziła Karta Nauczyciela/ przy równoczesnym wejściu w wiek szkolny wyżu demograficznego. W 1984 roku na wcześniejszą emeryturę odeszło 16 tys. wykwalifikowanych nauczycieli; a w roku 1985 zamiar taki zgłosiło około 20 tys. nauczycieli. Na zwolnione miejsca napływają nauczyciele bez żadnych kwalifikacji, kształceni jedynie na krótkich kursach lub w prowincjonalnych ośrodkach akademickich nie mających odpowiedniej kadry. Znane są wypadki zatrudniania w szkolnictwie wiejskim żołnierzy po zasadniczej służbie wojskowej.

W szkolnictwie wiejskim występuje największy rozdźwięk między zakładaną /przez programy nauczania/ a realizowaną funkcją oświatową szkoły. Obok niskiego poziomu kadry nauczającej - i innych wymienionych już przyczyn - jest to spowodowane złym zaopatrzeniem w podręczniki, pomoce naukowe, sprzęt audiowizualny, lektury - zjawisko to najbardziej dotyka szkoły wiejskie. Dodać do tego należy wiele innych, specyficznych wiejskich zjawisk, jak niski poziom kontroli oraz dyscypliny pracy /fakt nieodbywania się lub skracania - np. do 15 minut - godzin lekcyjnych, wychodzenie nauczycieli w czasie lekcji i pozostawianie dzieci samych/, a ponadto niewyrównany poziom umysłowy uczniów /brak szkół specjalnych na wsi/ utrudniający pracę z całym zespołem. Niewystarczający warsztat informacyjny i metodyczny szkoły wiejskiej powoduje, że w niskim stopniu docierają tu innowacje programowe - na przykład reforma zestawów lektur z języka polskiego przeprowadzona w latach osiemdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych, pozostaje jedynie na papierze, a w szkołach wiejskich przerabia się lektury z lat pięćdziesiątych, gdyż tylko one są dostępne w bibliotece szkolnej. Badania prowadzone w bibliotekach wiejskich wykazują, że obowiązuje wskaźnik zaopatrzenia uczniów w lektury /1 egz. na dwóch uczniów w klasach młodych/ lekceważony jest do tego stopnia, iż niezwykle są przypadki, że jeden egzemplarz przypada na dwie szkoły.

Indoktrynacja

Przy znacznej niewydolności w realizacji zadań oświatowych szkoła wiejska jest częścią globalnego systemu indoktrynacyjnego jako stanowi oświata i funkcję tę dosyć sprawnie realizuje. Wbrew potocznemu przekonaniu nie opiera się ona bynajmniej na przesłankach racjonalnych, lecz na przesłankach magicznych. Można by go nazwać jakimś karykaturalnym surogatem wychowania religijnego, w którym pojęcia religijne zastępowane są pojęciami politycznym. /Jest to rozróżnienie dosyć istotne, ponieważ po pierwsze - rozumowanie racjonalne, jeśli jest rzetelnie prowadzone nie stanowi konkurencji dla myślenia religijnego; po drugie zaś, rozumowanie racjonalne nie w pełni może być stosowane do przekonywania dziecka, któremu właściwe jest raczej myślenie magiczne/.

Fundamentem systemu indoktrynacyjnego stosowanego w niższych klasach szkolnych jest swoista dydaktyka wdzięczności.

W takiej argumentacji zawierają się główne cechy pożądanego modelu człowieka: postawa uniżoności, posłuszeństwa i lęku, traktowanie pracy z jednej strony jako przymusu, z drugiej jako instrumentu korzyści materialnych, które wszakże nie przychodzą bezpośrednio, lecz są rezultatem d a r u, a więc efektem zewnętrznej woli i decyzji, nadto zaś postawa merkantylna, utożsamiająca d o b r o - z dobrami materialnymi.

Na tę ogólną kanwę z biegiem czasu nauki naboższe są dalsze szczegóły: postacie przywódców państwowych, sylwetka Lenina, osoba milicjanta czy żołnierza, odpowiednio dobrane utwory literackie czy fakty historyczne. Dzieci zapoznają się z hasłami egalitaryzmu i tak zwanej sprawiedliwości rewolucyjnej, które często interpretują jako upoważnienie do zawisici klasowej i branie sobie tego, co się pragnie mieć, a co posiadają inni.

Teoretycznie założenia ideowo-wychowawcze szkoły są jednolite dla wsi i miasta, jednakże jest tak tylko pozornie. Po pierwsze bowiem dziecko wiejskie w stosunku do miejskiego otrzymuje ze świata znacznie mniej sygnałów, które mogłyby tę wizję korygować, a jest to wynikiem ogólnej blokady informacyjnej jaką otoczona jest wieś polska. Po drugie - im gorzej przygotowany i wykształcony jest nauczyciel, tym bardziej bezmyślnym i biernym medium staje się on dla takiego przekazu. Młody zaś nauczyciel wiejski jest na ogół już wychowany i kształtowany przez analogiczne doświadczenia szkolne. Po trzecie zaś, w tradycji rodziny wiejskiej leży pozaznanowie, a w każdym razie niepodważanie treści przekazywanych przez szkołę i poczucie własnej w tym względzie głębokiej niekompetencji. Toteż - choć przynależać trzeba, że część "akcji szturmowych" typu propagandowego bywa w szkołach wiejskich ignorowana lub realizowana tylko w sprawozdaniach - nie niweluje to jej funkcji indoktrynacyjnych.

Demoralizacja

Szkoła stanowi dla dziecka środowisko społeczne, w którym przebywa ono przez wiele godzin swojego życia. Tu dokonuje ono podstawowych obserwacji społecznych, z nich wyciąga wnioski, czerpie wzory i uogólnienia. Badania prowadzone w tym względzie - aczkolwiek szczupłe - wskazują, iż szkoła wiejska staje się dla wielu dzieci źródłem uzurpcji i leków. Nie pozostają one bez wpływu na kształtowanie się ich przysiężnych postaw życiowych. Szkoła, z założenia mająca pełnić funkcje kulturotwórcze, ze względu na panujące w niej stosunki międzyklasowe staje się często czynnikiem demoralizacji ucznia, szkołą grubiaństwa i niesprawiedliwości, poniżenia i brutalności, przemocy, cwaniactwa, kumoterstwa, przekupstwa, łapownictwa i zakłamania. Płyną one ze stylu pracy wiejskiego nauczyciela, bezwiednie przyjmowanego przez młodzież podejmującą pracę w szkole i całkowicie nieprzygotowaną do pokonywania trudności wychowawczych innymi środkami jak pięścią, wywiskiem, karą, a przy tym - przypomnijmy - sfrustrowaną brakiem elementarnych warunków efektywnego nauczania.

Pogłębia się dwoistość, a nawet sprzeczność, między głoszonym przez szkołę ideałem człowieka - przekazywanym innymi przez literaturę i historię - a faktycznymi wzorami żywymi, jakie w tej szkole występują i faktycznymi zachowaniami, do jakich dzieci są zmuszane. Sylwetki prezentowane dzieciom przez szkołę - postacie takie jak Kościuszko, Lenin, Waryński, Świerczewski, bohaterowie II wojny światowej, Staś Tarkowski z "W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza czy Nemeček z "Chłopców z Placu Broni" Molnara/niezależnie od tego czy kryją się za nimi autentyczne, literackie czy też zgola sfałszowane bytloxy/ konstruowane są z cech takich jak nonkonformizm, ideowość, bohaterstwo, wytrwałość, sprawiedliwość, solidarność, odwaga cywilna. Tymczasem wszystkie te cechy charakteru są u dzieci bezwzględnie tępane w rzeczywistym życiu szkolnym. Najprostsze cnoty: uczciwość, prawdomówność, ufność, poczucie więzi koleżeńskiej praktykowane w szkole, stawiają dziecko w pozycji niekorzystnej, narażając je na szkany i niepowodzenia. Powoduje to nie tylko szerzenie się postaw konformistycznych i dwójmyślenie, ale wręcz deprecjację i kompromitację wszelkich wartościowych zachowań w świadomości dzieci. Oczywiście,

opinia nauczycielska przypisuje taki stan rzeczy wpływem środowiska domowego i bezradności szkoły, lecz nie jest to wyjaśnienie prawdziwe, gdyż to właśnie atmosfera szkolna tworzy takie poglądy i postawy. /Np. zmuszanie dyżurnych do donoszenia na kolegów podczas nieobecności nauczyciela na lekcji powoduje, że dzieci już w "zerówce" potrafią brać pieniądze lub rzeczowe łapówki od kolegów w zamian za niezapisywanie ich nazwisk, oczywiście nie zdając sobie sprawy, że to co robią jest łapownictwem/. Uzyskiwanie lepszych stopni czy promocji do następnej klasy za cenę prezentów wręczanych nauczycielom również jest zjawiskiem znanym zarówno rodzicom jak i dzieciom, a tylko władze oświatowe ignorują je i wydają się go nie dostrzegać.

Dodajmy ponadto, że współczesne formy kształcenia nauczycieli w Polsce, nawet uniwersyteckie, a co dopiero te późniejsze, nie obejmują właściwie zagadnień etyki zawodowej. Oficjalnie rozumie się przez nią obecnie jedynie lojalność wobec państwowego pracodawcy. Nie ma natomiast w programach miejsca na takie problemy, jak poszanowanie w uczniu osoby ludzkiej, tym bardziej obowiązujące, że jest on istotą słabą i od nauczyciela zależną, jak respektowanie jego godności osobistej, przekonania, a nawet zainteresowań. Wyrabia się natomiast w nauczycielu przekonanie o niekompetencji "wychowawczej" rodziców, o konieczności przewyciężania złych wpływów środowiska domowego itp. Młody nauczyciel przystępuje na ogół do pracy z poczuciem wyższości, a nawet i pogardy w stosunku do uczniów i rodziców, nie potrafi współpracować z tymi ostatnimi. Zjawiska opisane powyżej występują również w szkole miejskiej, lecz tam zagrożenia są na ogół przeciwdziałaniem ze strony rodziców i większą rolą ich opinii, zwłaszcza jeśli są wśród nich osoby o mocniejszej pozycji społecznej.

Barriere awansu

Najbardziej wyrazistym wskaźnikiem dyskryminacji środowiska chłopskiego jest dostęp młodzieży wiejskiej do dalszych szczebli wykształcenia. Problem "barier awansu przez wykształcenie" poruszany był w licznych pracach publikowanych na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jednakże nie towarzyszyły temu żadne realne posunięcia mogące służyć jego rozwiązaniu. W wyniku niewydolności wiejskiej szkoły podstawowej, młodzież wiejska, jeśli w ogóle kształci się dalej, wypełnia najniższej zorganizowane typy szkół, przyuczające do najcięższych, najniższej płatnych i najniższej kwalifikowanych zawodów, a co najważniejsze - nie dających uprawnień do dalszego kształcenia. Są to tak zwane "słope ulice polskiego szkolnictwa" - ZSZ, OZP lub tak zwane przyuczanie do zawodu w wojsku.

Dla uzdolnionych i bardziej dynamicznych dzieci wiejskich droga do awansu przez wykształcenie jest bardzo wąska i trudna, utrzymuje się ona w modelu sprzed lat siedemdziesiątych, czy zgola jeszcze dawniejszym i - dla chłopców - prowadzi głównie przez seminaria duchowne oraz uczelnie wojskowe i policyjne, dla dziewcząt zaś - przez nisko zorganizowane uczelnie nauczycielskie. Wyjąwszy pierwszy typ uczelni, którego funkcjonowanie regulowane jest odrębnymi zasadami, wszystkie pozostałe typy wymienionych szkół wyższych łączy niski poziom intelektualny i wychowawczy, przy wysokim poziomie upolitycznienia. Zie przygotowana w sensie humanistycznym, matematycznym, przyrodniczym, oderwana od wpływów środowiska rodzinnego, młodzież wiejska staje się tam łatwą ofiarą indoktrynacji. Wpajane uczniom na każdym kroku przekonanie, że "wszystko" - tj. awans, wykształcenie, pieniądze, pracę - zawdzięczają państwu i muszą się z tego mu wypłacić, tworzy z tych uczelni prawdziwe szkoły janczarów.

Dodać należy, iż nieliczne jednostki pochodzenia chłopskiego studiujące na uniwersytetach, borykają się z tragicznymi wręcz problemami nieprzystosowania i często studiów nie kończą. W obu środo-

wioskach - zarówno miejskim jak i wiejskim, pokutują wzajemne niechęci i uprzedzenia i z goryczą przyznać trzeba, iż poważną rolę w ich utrwalaniu odgrywają właśnie szkoły. Dlatego też dziecko chłopskie, które opuściło swe środowisko rodzinne, w każdym niemal kontakcie społecznym doznaje nieufności i pogardy, zmieszanej często z zawzięcią, gdyż powszechną wiarą cieszą się mity o jego bogactwie, ukrytych oszczędnościach czy dolarach. Rzadko znajduje ono pomocną rękę w swoim otoczeniu. Poszukując jakiegokolwiek siły, na której mógłoby się oprzeć, trafia niejednokrotnie do politycznych organizacji młodzieżowych. One mogą mu zapewnić immunitet, osłaniać jego niedouczone, akceptować nieudolność i brak ogłady, żądając w zamian ślepego posłuszeństwa i bezmyślnej wiary w głoszone slogany, co więcej, pozwalają zrekompensować doznane krzywdy, gdyż otwierają przed nim różne możliwości odwetu społecznego.

Ostatnie pięćdziesiąt lat, poczynając od ogłoszenia stanu wojennego, przyczyniło się do utrwalenia tych wrogości i podziałów. W świadomości młodzieży miejskiej, wykonawca restrykcji policyjnych, szeregowy żołnierz, milicjant, zomowiec - częstokroć rówieśnik - utożsamiał się mimowolnie z osobą tak zwanego "wiochmena", czyli chłopca pochodzącego ze wsi. Tragiczne pęknięcie, jakie podzieliło polskie społeczeństwo, zrealizowało się również i na tym poziomie, nabierając cech błędnego koła.

Paradoks wiejskiej oświaty

Przechodząc od przeglądu najważniejszych efektów charakteryzujących sytuację edukacyjną na wsi do kategorii wniosków ogólnych, należy wrócić do uogólnienia wyjściowego, określanego przez socjologów wychowania jako "paradoks wiejskiej oświaty". Polega on na tym, że w sytuacji głębokiej dysfunkcjonalności szkoły wiejskiej jest ona jednocześnie instytucją najlepiej przystosowującą się do pewnego ukrytego zapotrzebowania, które da się wyprowadzić z zasady organizującej system. Słaba funkcjonalnie szkoła wiejska nie może wspomagać rozwoju wsi i rozwoju całego systemu społecznego, jednocześnie jednak dobrze pełni ukrytą funkcję deklasacji chłopstwa, utrwalając u podległego kulturowe, wspomagając selektywną migrację i rozwarstwienie wsi /m.in. przez tworzenie mirażu łatwego życia poza wsią i rolnictwem/, pogłębiając negatywne zjawiska demograficzne oraz niezdolność do osiągnięcia przez młodzież chłopską - w jej masie - samowiedomości politycznej i społeczno-kulturowej.

Nie kształtując rzeczywistej zdolności do czynnego życia obywatelskiego, nie dając młodzieży podstaw intelektualnych, szkoła wiejska jest instrumentem kształtującym bierną zgodę na zastaną rzeczywistość.

Tak więc pozostając w sprzeczności z konstytucyjnymi zasadami ustroju - takimi jak egalitaryzm, współudział szerokiego rzesz obywatelskich w kształtowaniu życia społecznego, powszechny dostęp do wiedzy i kultury - podtrzymuje ona jednocześnie jego zasady ukryte: podział na rządzących i rządzonych, drastyczne nierówności społeczne, dążenie do etatyzacji wszystkich form życia i aktywności ludzkiej. Stan szkolnictwa wiejskiego traktować można zatem jako jeden ze składników planowo, choć nie deklaratorywnie przygotowywanej sytuacji, w której osłabienie klasy chłopskiej osiągnie taki poziom, że nie będzie ona w stanie stawić oporu procesom upaństwowienia własności rolnej i likwidacji samodzielnych gospodarstw chłopskich.

Upowszechniając wulgarnie pojętą ideologię awansu i równości społecznej, szkoła stała się instytucją kształtującą ujednolicenie postaw i wzorów osobowych, uniformizm myślenia, niezdolność do myślenia alternatywnego, postawy nieufności wobec tego co "inne", "ob-

ce". Natomiast w świadomości masowej stworzyła oczekiwanie na równy, jednakowy dla wszystkich standard materialny - co zamiast dążenia do sukcesu w pracy i działaniu społecznie pożytecznym przyniosło zawiść i rywalizacyjny pościg za dobrami i symbolami statusu, bez względu na środki i sposoby ich osiągnięcia. Szkoła jest miejscem treningu w rywalizacji w obrębie "horyzontalnej" społeczności. Jest instytucją przekazującą zasadę egalitaryzmu z jej spaceniami, a zarazem instrumentem stabilności, ograniczania ruchliwości społecznej i naznaczania jednostek zdalnych do awansu. Oświata jest też terenem i narzędziem odtwarzania istniejących nierówności społecznych.

Z powyższych konstatacji wynika, iż szkolnictwo wiejskie w obecnym swym kształcie stanowi integralną część systemu sprawowania władzy i polityki społecznej w Polsce. Nie należy zatem oczekiwać, iż ulegnie ona jakiegokolwiek zmianie na lepsze pod wpływem decyzji odgórnych. Przeciwnie, również i obecnie w infrastrukturę szkolnictwa na wsi wbudowuje się elementy długotrwałej niewydolności /m.in. na przykład nauczycieli bez kwalifikacji, brak izb szkolnych i mieszkań dla nauczycieli/.

Ostatnie lata przyniosły także znaczne nasilenie działań indoktrynacyjnych i presji politycznej na nauczycielstwo ze strony nadzoru oświatowego. W ośrodkach prowincjonalnych rośnie także nacisk na likwidację wszystkich przejawów religijności nie tylko na terenie instytucji szkolnych /fakty te są powszechnie znane/, lecz także w życiu prywatnym nauczycieli, którzy w najlepszym przypadku zmuszani są do odbywania praktyk religijnych w ukryciu. Wzmógł się indoktrynacja nauczycieli odbywa się poprzez obowiązkowe kursy dokształcające, ostatnio zaś planowane jest także wprowadzenie obowiązkowego i kontrolowanego korzystania z rejonowych bibliotek pedagogicznych połączonych z czytelnictwem wybranych wykazów lekturowych dla nauczycieli, którzy nie podlegają obowiązkowi dokształcania.

W takiej sytuacji zmiany na lepsze mogą nastąpić jedynie na skutek presji społecznej i społecznego działania. Drogi tego działania są zasadniczo dwie: pierwsza to naciski, żądania i wymagania stosowane przez środowisko wobec szkoły; druga zaś to alternatywne formy wychowania i oświaty tworzone i prowadzone poza systemem szkolnym. Każda z tych form może jednak zaistnieć dopiero po spełnieniu pewnych elementarnych warunków: doprowadzeniu do powszechnej świadomości społecznej wiedzy o stanie szkolnictwa wiejskiego i uświadomieniu pełnych tego stanu konsekwencji, nadto zaś po osiągnięciu pewnego poziomu samoorganizacji społecznej umożliwiającego zbiorowe działanie.

Ostatni okres - mimo wyraźnych przejawów kryzysu - może zarazem budzić pewne nadzieje na rozwój świadomości społecznej wobec załamania się licznych mitów systemu, dotychczas ją paraliżujących. Środowiska wiejskie są pod tym względem bardzo zróżnicowane. Inaczej przedstawia się sytuacja w regionach o silnej tożsamości kulturowej i utrwalonych tradycjach solidarnego współdziałania, inaczej zaś w wsiach "wykorzenionych" przez silne procesy industrialne lub przesiedlenia powojenne.

Przerwać złą milczenie

Konieczna jest przede wszystkim więc działalność informacyjna, przerwanie "złej milczenia". Proces dokumentowania, ujawniania, upowszechniania danych dotyczących sytuacji wiejskiej szkoły drogą publikacji oficjalnych i nieoficjalnych, docierających do szerokich kręgów społecznych nauczycieli, rodziców, działaczy wiejskich, środowisk inteligentnych, odtwarzający atmosferę kompromitacji, a nawet skandalu wokół tego problemu, mogłyby wytworzyć presję na władze oświatowe i państwowe i stać się przynajmniej namiastką tego, co w

rzeczywistości jest niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania szkolnictwa - a mianowicie realnej kontroli społecznej. Akcja ta musiałaby uświadomić społeczeństwu sprzeczność między konstytucyjnym prawem "równych szans wykształcenia" każdego dziecka a rzeczywistością tego prawa realizacją, wyjaśnić, że obowiązek szkolny dotyczy w pierwszym rzędzie państwa, a potem dopiero ucznia.

Wszelka działalność krytyczna wobec szkoły budzi zazwyczaj lęki i opory rodziców, obawiających się słusznie, że konsekwencje konfliktu ze szkołą ponosić może dziecko. Jednakże wówczas, gdy środowisko rodzicielskie stać na działania solidarne, a zwłaszcza, jeśli zachowana zostaje więź z gronem nauczycielskim, działania uzyskują pewne szanse powodzenia. Tam na przykład, gdzie środowisko zgodnie i stanowczo umiało bronić nauczycieli odsuwanych i prześladowanych za odmiennoscą poglądów, odnosiło niekiedy sukcesy większe na wsi niż w mieście, gdzie atomizacja i rozproszenie rodziców są bardziej zaawansowane.

Inną przeszkodą w inicjatywach społecznych jest przechwytywanie haseł pomocy szkole przez instytucje nieautentyczne i niewiarygodne społecznie, a następnie kompromitacja tych haseł przez działania fałszywe i pozorne, a nawet oszukawcze - np. ściąganie datków pieniężnych, które następnie wykorzystywane są na inne cele i nigdy nie podlegają rozliczeniom społecznym. Dość istotne jest w tym przypadku, by pomoc finansowa czy rzeczowa ofiarowywana szkole przeznaczona była na cele konkretne, a jej wykorzystanie ściśle kontrolowane przez środowisko. Pomoc taka powinna przede wszystkim obejmować wyposażenie materialne i socjalne szkoły /księgozbiory, pomoce szkolne, sprzęt sportowy, sanitarny, kuchenny/, a nie przyjmować formy składek na bliżej nieokreślone "komitety" i "fundusze". Społeczność lokalna powinna także domagać się prawa współstanowienia o sprawach szkoły i udziału w najważniejszych decyzjach oświatowych - także i programowych /m.in. domagać się wprowadzenia do programu nauczania wartości związanych z klasą chłopską, tradycją regionu czy środowiska/.

Wszystkie te działania "legalistyczne" mogą mieć jednakże zakres bardzo ograniczony, gdyż rzeczywista poprawa oświaty wymagała by głębszych zmian systemowych.

Dlatego też istotny jest drugi nurt działalności środowiskowej - kultywowanie form oświaty alternatywnej, nawiązujących do wypraktykowanej tradycji chłopskich organizacji samokształceniowych, obejmujących swym zasięgiem dzieci i młodzież. Działalność ta - przynajmniej trzeba - jest na wsi szczególnie trudna, z uwagi na daleko posuniętą degradację całej infrastruktury kulturalnej wsi, placówek takich jak biblioteki czy domy kultury, organizacji społeczno-oświatowych, stanowiących dla niej naturalną bazę materialną i personalną. Istotne nośniki samokształcenia współczesnego: kaseta magnetofonowa, książka, film kasetowy - są na wsi znacznie słabiej dostępne. Wielkie nadzieje budzić by tu mogła rozwijająca się działalność kulturalno-oświatowa Kościoła, który - nie tylko jako wykonawca, ale przede wszystkim jako inicjator własnej aktywności środowiska, jako doradca i pośrednik - odegrać może w procesie budzenia świadomości wsi istotną rolę.

Komitet Organizacyjny Fundacji Rolniczej.

Raport z rozmów
ekspertów kościelnych i rządowych oraz najważniejsze uzgod-
nienia w sprawie powołania i działania Fundacji Rolniczej

Pomysł powołania instytucji pomocy rolnikom w Polsce powstał w listopadzie 1981 roku. 4 czerwca 1982 r. poruszyli ją w rozmowie Prymas Polski i Przewodniczący Episkopatu zachodnioniemieckiego, który przebywał z wizytą w Polsce. 5 czerwca 1982 roku w Gnieźnie przedstawiona została biskupom polskim idea pomocy o trwałych skutkach ekonomicznych. Także w czerwcu tego roku przedstawiono ją w rozmowie z K. Barcikowskim - uzyskując zgodę władz na rozpoczęcie prac przygotowawczych, i zapewnienie, że inicjatywa jest interesująca. W związku z tym, prof. J. Górecki oraz ks. A. Orszulik przeprowadzili w lipcu sondaż w Bonn i Brukseli, który przyniósł potwierdzenie zainteresowania ideą i deklaracją wsparcia po powstaniu instytucji.

14 września 1982 r. Prymas Polski wystosował list do Premiera PRL w sprawie pomocy dla rolników. W odpowiedzi z 16 października Premier określił swe wątpliwości natury technicznej, potwierdzając wolę doprowadzenia do utworzenia instytucji pomocy. W końcu listopada 1982 ustanowiono grupę ekspertów obu stron do omówienia i rozstrzygnięcia tych problemów. Ich działalność można podzielić na cztery etapy.

Etap I - od 7 grudnia 1982 do czerwca 1983 /4 spotkania/

Po wstępnym rozeznaniu szans pomocy na Zachodzie - rozmowy rozpoczęto, traktując je jako poufne. Strona rządowa przyjęła inicjatywę jako pożyteczną. Strona kościelna oświadczyła, że nie ma warunków politycznych ze strony Zachodu obciążających pomoc i określiła pryncypia: pomoc ma być kierowana dla rolnictwa prywatnego, instytucja ma być autonomiczna. Poinformowano, że Zachód widzi pomoc jako czynnik stabilizacji w Europie Środkowej. Pomoc nie zmienia i nie wyklucza normalnych kontaktów kredytowych. Nie będzie ograniczenia pomocy charytatywnej, kierowanej za pośrednictwem Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski.

Na tym etapie rozmów pojawił się po raz pierwszy pewien impas w rozmowach ze stroną rządową /Styczeń 1983/. Przełamany on został ostatecznie w wyniku osobistej interwencji Prymasa Polski w czasie spotkania 6 czerwca z gen. Jaruzelskim.

Pokłosiem omawianej fazy były następujące ustalenia:

- Struktura organizacyjna instytucji realizującej pomoc ma być niezależna od rządu i Kościoła ale autoryzowana przez Kościół. Ta autoryzacja gwarantuje zainteresowanie donatorów i wiarygodność inicjatywy na wsi. Najlepszą formą organizacyjną byłaby Fundacja;
- Gdyby istniało podejrzenie, że program jest inspirowany politycznie a nie inspirowany przez kościoły - Kościół w Polsce sam go

nie podejmnę /oświadczenie takie złożył abp Stroba na Komisji Wspólnej/;

- Ośrodek decyzyjny co do wykorzystania środków będzie znajdował się w Polsce, w gestii władz Fundacji Rolniczej;
- Ewentualne kredyty podejmować się będzie wyłącznie w porozumieniu z bankami państwowymi;
- Zakłada się pełny wkład Episkopatu i rządu w realizację programów Fundacji;
- Nie wyklucza się możliwości współpracy z przemysłem państwowym;
- Fundacja miałaby uprawnienia do prowadzenia działalności gospodarczej.

W tym czasie, 16-19 marca 1983, odbyło się spotkanie w SEP ekspertów kościelnych z ekspertami zachodnioeuropejskimi. Na Zachodzie istnieją tylko dwa warunki: niezależność Fundacji i skierowanie pomocy wyłącznie dla rolnictwa prywatnego.

Negocjatorzy rządowi byli poinformowani o tych pryncypiach. Tymczasem jednak w wypowiedziach publicznych /min. Zięba/ sugerowano, że "rolnictwo jest jedno", a zatem pomoc powinna obejmować i sektor państwowy. Później jednak z tych sugestii wycofano się.

31 marca nastąpiło przekazanie stronie rządowej pierwszej wersji statutu.

14 kwietnia nastąpiło wznowienie rozmów /po przerwie między styczniem i kwietniem/. Uzgodniono potrzebę uchwalenia ustawy o fundacjach. Zgodzono się, że nie jest możliwy udział przedstawicieli władz w Radzie Fundacji. Stwierdzono, że bez maksymalnej, dobrej współpracy - idea nie zostanie zrealizowana. Ogólnie jednak, jak wspomiano wcześniej, w tej fazie panował zastój. Konieczna się stała interwencja na najwyższym szczeblu.

Na skutek interwencji Ks. Prymasa /w toku rozmowy z gen. Jaruzelskim w dn. 6 czerwca 83/, 27 czerwca 1983 r. Premier w liście do Prymasa Polski wyraża zgodę na powstanie Fundacji, szczegóły techniczne zostawiając grupie ekspertów. 14 lipca Prymas Polski wystosowuje odpowiedź na ten list z zobowiązaniem do powołania Komitetu Organizacyjnego, niezwłocznie po przyjęciu ustawy o fundacjach.

Etap II - od 23 września 1983 do 22 września 1984 /15 spotkań/

Rozmowy wznowiono - ze strony rządowej w zmienionym składzie. Zarejestrowano dużą nerwowość Rządu z powodu wielkiego zainteresowania społeczeństwa dla Fundacji. Strona rządowa chciała utrzymać sprawę w tajemnicy - sama jej jednak nie dotrzymuje. Strona kościelna przekazuje - po raz pierwszy - swój niepokój w związku z wypowiedziami min. min. Urbana i Zięby, odbiegającymi w tonie od ustaleń z wcześniejszych rozmów. Wystąpiła całkowita blokada cenzorska informacji oo stronie kościelnej, przy jednoczesnym monopolu wypowiedzi wypaczających po stronie rządowej. Rysuje się obowiązujący właściwie przez cały okres negocjacji, typ propagandowej walki z ideą Fundacji /minimalizowanie, ośmieszanie/.

Strona rządowa stwierdza wprost, że sytuacja po wizycie Ojca św. uległa zmianie, rząd zyskał na wiarygodności, liczy się na odblokowanie linii kredytowych. W związku z tym ustalono, że Fundacja nie będzie korzystała z kredytów. Zredukowało to automatycznie wyjściową kwotę 2 mld dolarów. Był to niewątpliwie sygnał, że potrzeba istnienia Fundacji schodzi na dalszy plan.

We wrześniu 1983 r. strona kościelna uprzedza, że wysokość sum pomocy zależy od szybkiego zarejestrowania Fundacji.

Zastanawiano się nad możliwością uruchomienia programów w trzech wybranych gminach - z czego str. k. sama następnie ustępuje. Przyjęto zasadę opracowania programów pilotowych. Postanowiono dyskutować ustawy o fundacjach - strona kościelna wyraża niepokój, że od pół roku nie otrzymuje projektu ustawy. Strona rządowa przyznaje, że "prace legislacyjne uległy opóźnieniu", a 18 października, że "prace są na ukończeniu" - co miało się z prawdą. Rząd nie zgłasza na tym etapie żadnych zastrzeżeń co do przeznaczenia nagrody Nobla Lecha Wałęsy na cele Fundacji.

Wielokrotnie wraca problem wpływu strony zachodniej na działalność Fundacji. W listopadzie 1983 wyjaśniono cele i stosunek wspomagających instytucji na Zachodzie do strony polskiej. Wielokrotnie składano deklarację, że Fundacja nie jest obwarowana na Zachodzie politycznie.

11 listopada strona rządowa czyni stronie kościelnej zarzut z faktu sugerowania przez sufragana częstochowskiego, iż rząd jest przeciwny przyjęciu przez Fundację pieniędzy L. Wałęsy.

23 listopada rozpoczyna się dyskusja nad projektem ustawy o fundacjach. Rząd chce pełnej kontroli nad darowiznami i proponuje sformułowania ograniczające autonomię.

27 grudnia strona kościelna zwraca się po raz kolejny o udostępnienie projektu porządzenia Rady Ministrów w sprawie prowadzenia działalności gospodarczej przez fundacje - uzyskując zapewnienie, że wpłynie on za tydzień. Rozporządzenie to nie zostało przyjęte przez Radę Ministrów do grudnia 1985 roku.

10 stycznia 1984 r. - przekazano rządowi kolejną wersję statutu. Pojawia się stwierdzenie, że rząd nie wyobraża sobie możliwości zwolnień z ceł za towary sprowadzane. Strona kościelna zwraca uwagę, że sprawa biegnie za długo, a Zachód chce deklarować swój udział pieniędzy po przyjęciu ustawy i rejestracji Fundacji Rolniczej. Równocześnie jednak Rada Ministrów uchwaliła projekt ustawy o fundacjach, w brzmieniu uzgodnionym ze stroną kościelną i przekazała go Sejmowi.

23 stycznia str. k. po raz kolejny określa pryncypia: autonomia i zwolnienie od ceł i podatków. Rząd proponuje rozpoczęcie działań od kwoty 50 mln dol., sprzeciwia się szerszej informacji o idei, a nawet opublikowaniu komunikatu z rozmów.

6 kwietnia 1984 - Sejm przyjmuje ustawę o fundacjach.

7 maja - str. k. określa kwotę 28 mln dol. na program pilotowy. O taką też kwotę wystąpiono do krajów zachodnich, uzyskując konkretne deklaracje na sumę ok. 28 mln dol. i zapewnienie wpływu dalszych funduszy po zarejestrowaniu Fundacji. W ramach akcji zminimalizowania Fundacji prasa rządowa wykorzystała następnie "sprawę 28 mln" dowodząc "braku pieniędzy" ze strony Zachodu.

Następuje częściowe uzgodnienie treści statutu.

14 maja nastąpiło rozpoczęcie dyskusji nad opodatkowaniem Fundacji, nie osiągnięto jednak porozumienia. Strona kościelna stoi na stanowisku zwolnienia od podatków. Rząd nie przyjmuje do wiadomości specyficznej formuły Fundacji, uważając, że prowadzi ona normalną działalność gospodarczą. Tymczasem całość wpływów złotówkowych ze sprzedaży towarów miała być przeznaczona na pomoc dla wsi przede wszystkim na tak zwane programy społeczne (np. budowa przedszkoli, wzdociągów, domów dla ludzi starych, sanatoriów itp.). Tym samym Fundacja nie dysponowałaby zyskiem do opodatkowania.

Strona rządowa sugeruje by dotacje były wpłacane na konta banków polskich w bankach na Zachodzie. Zgodzono się, że Fundacja będzie korzystała głównie z państwowej sieci handlowej w kraju. Uzyskano zgodę rządu na zapisy i spadki krajowe - z jednym wyjątkiem - prowadzenia zbiorów publicznych.

9 czerwca Prymas Polski powołuje Komitet Organizacyjny Fundacji

Rolniczej pod przewodnictwem prof. Andrzeja Stelmachowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, znanego działacza katolickiego. Pełnomocnikiem Episkopatu Polski d.s. Fundacji zostaje ks. dyr. Alojzy Orszulik SAC z Sekretariatu Episkopatu Polski.

11 czerwca następuje sprzeciw rządu co do możliwości powoływania ciał kontroli społecznej.

24 lipca pojawił się kryzys w negocjacjach na tle postulatu rządu opodatkowania działalności Fundacji. Kościół zwraca uwagę, że Fundacja faktycznie nie ma zysku, bowiem całość wpływów ma być przekazywana wsi a poza tym zamiś opodatkowania odstreczy donatorów, którzy nie zgodzą się zasilać budżetu państwa.

Rząd proponuje zapis w statucie, że Fundacja Rolnicza działac będzie zgodnie z "interesami PRL".

4 września str.k. stwierdza, że nie widać końca dyskusjom statutowym. Przychylnosc Fundacji jest zagrożona. Rząd żada po raz drugi "deklaracji lojalności". Po raz pierwszy wysunięte zostaje ze strony rządu przypuszczenie, że Fundacja będzie wspierać działalność o pozycji w kraju. Str.k. odrzuca zdecydowanie te insynuacje.

20 września - zgoda strony kościelnej na sformułowanie o "polskiej racji stanu". Statut uzgodniono. Przystąpiono do dyskusji nad tekstem aktu erekcyjnego. Tekst ten również uzgodniono. Strona rządowa stwierdza, że na tym kończą się jej pełnomocnictwa i uchyła się od podpisania protokołu uzgodnień spraw szczegółowych /cia, podatki, programy/, bez czego Ks. Prymas nie może skierować statutu do rejestracji. Strona kościelna przypomina, że sprawy te stawiano już w grudniu 1983 roku i wtedy strona rządowa nie twierdziła, że nie ma uprawnień. Wyrażono wątpliwość czy przy takim trybie rozmów Fundacja kiedykolwiek powstanie, bowiem ciągle wypływają te same lub nowe problemy. Rząd stwierdza, że w ciągu 2 tygodni będzie gotowe rozporządzenie Rady Ministrów o działalności gospodarczej fundacji i Fundacja Rolnicza może się zarejestrować jeszcze w roku 1984. W tej sytuacji Prymas Polski wystosowuje list do Premiera PRL w dn.22 września 1984, w którym sygnalizuje potrzebę rozstrzygnięcia problemu zwolnień z podatków i cel. Na list ten do końca negocjacji nie nadesza odpowiedź.

Ustalono spotkanie na 6 października, które rząd odwołuje. Następuje impas w rozmowach do 22 stycznia 1985 r.

Etap III - od 22 stycznia do 8 listopada 1985 /6 spotkań/

Rząd podejmuje renegecjacje uzgodnionego statutu. Proponuje skreślenie zapisu o możliwości szkolenia rolników - przywołując jako argument sprawę krzyży w Miętnem. Strona rządowa proponuje wprowadzić bezpośrednią ingerencję ministra rolnictwa w programy oraz w prace Rady /nadszór nad jej działalnością/. Str. k. uznaje tę nagłą zmianę stanowiska za zaskakującą, ale proponuje /po naradzie/ daleko idące kompromisy. W szczególności zgodzono się na skreślenie działalności szkoleniowej ze statutu. Rząd proponuje dodatkowo ograniczenie programów do dwóch - co zostaje odrzucone. Stwierdzono po raz kolejny przeciąganie się prac nad rozporządzeniem Rady Ministrów - rząd "nie wie" kiedy prace zostaną ukończone.

2 kwietnia - dyskutowano przedłożony projekt rozporządzenia; nie przewiduje on zwolnień podatkowych. Strona kościelna uważa, że rozporządzenie w tej formie jest nie do przyjęcia. Rząd powraca do statutu - pojawiają się, jako "budzące wątpliwości i wywołujące dyskusje", sprawy darowizn krajowych i "wiążącego wpływu ministra rolnictwa na kolejność realizacji programów". Str.kościelna stwierdza, że ciągle powracanie do uzgodnionych już kwestii jest niepoważne.

14 kwietnia ukazuje się artykuł w "Gościu Niedzielnym", będący

m.in. publiczną deklaracją ze strony Komitetu Organizacyjnego, że Fundacja będzie działała zgodnie ze statutem i ma służyć "budowie klimatu porozumienia społecznego" /S.Siwiek - "Przez polską wieś"/.

14 maja zarysowało się zbliżenie stanowisk w sprawie możliwości zastosowania ulg i zwolnień podatkowych. Obiecano przedstawić nową wersję rozporządzenia Rady Ministrów.

13 czerwca - brak nowej wersji rozporządzenia wykonawczego Rady Ministrów. Rząd tłumaczy to "wyjazdem" jednego z ministrów. Po raz pierwszy strona kościelna sygnalizuje, że nie widzi dobrej woli rządu do pozytywnego zakończenia sprawy. Przypomniano, że zwolnienia od ceł i podatków od początku były kwestią pryncypialną i rząd o tym wiedział, a tymczasem strona rządowa jest nieprzygotowana do merytorycznych rozstrzygnięć. Bardzo ostra wymiana zdań na tle informacji prasowej Komitetu o przebiegu rozmów. Rząd chce tajności rozmów. Uzgodniono jednakże, że towary dla rolnictwa sprowadzane przez Fundację zwolnione będą z opłat celnych na mocy ustawy celnej.

Sporządzono protokół rozbieżności i uzgodnień.

Strona kościelna przypomina, że statut został uzgodniony we wrześniu 1984 r., a rząd ciągle go chce renegotjować. Strona rządowa po raz drugi stawia postulat ograniczenia programów do dwóch.

W lipcu udostępniono projekt rozporządzenia Rady Ministrów. Str. K. uznaje, że jest on do przyjęcia, po uwzględnieniu kilku spraw o charakterze formalnym.

Uzgodniono /16 września/ możliwość zwolnień podatkowych według następującej zasady: jeszcze przed rejestracją Fundacji minister finansów złoży deklarację intencji zwolnienia z opodatkowania, zaraz po otrzymaniu z Komitetu Organizacyjnego przykładowych przeliczeń finansowych programów. Jest to kompromis strony kościelnej, który str.rz. przyjmuje.

Str. kościelna uprzedza, że do końca 1985 roku musi podjąć 18 mln dolarów na programy pilotowe. Rząd wprost stawia problem nagrody Nobla Lecha Wałęsy, którą ten przeznaczył w całości na rzecz Fundacji - jako problem polityczny. Str. k. godzi się wziąć na siebie rezygnację z tej kwoty. Odbiła się rozmowa na ten temat z L.Wałęsą a następnie przygotowano list Komitetu Organizacyjnego do ofiarodawcy w tej sprawie. List miał być doręczony po ostatecznych uzgodnieniach przewidywanych w dniu 17 października. Rząd porusza też kwestię ewentualnych zapisów ziemi dokonywanych przez chłopów na rzecz Fundacji; strona kościelna stwierdza, że nie widzi potrzeby przejmowania ziemi.

Powyższe kwestie mają być uzgodnione ostatecznie 17 października 1985 roku. 16 października rząd odwołuje bezterminowo spotkanie.

18 października KOFR zostaje przyjęty przez Prymasa Polski, któremu przedstawiła sprawozdanie o stanie prac i kolejnym impasie. Członkowie Komitetu postawili kwestię celowości dalszych prac. Ksiądz Prymas postanowił rozważyć tę sprawę w terminie późniejszym.

22 października min. Urban stwierdza, że jest "zaskoczony" sformułowaniem komunikatu Komitetu Organizacyjnego w tej sprawie. Zapowiada jednakże, że rozmowy będą kontynuowane, ale mówi też o potrzebie zbadania programów, co może zapowiadać kolejną fazę długich negocjacji.

30 października pośrednik Premiera PRL przekazuje Prymasowi Polski zestaw wątpliwości, które ukazują całkowite niedoinformowanie o faktycznym stanie prac i ustaleń.

8 listopada napływa informacja z Brukseli, że do końca grudnia należy odebrać kwotę 2 mln EQ /ok. 1,7 mln dol. USA/ pod rygorem jej przepadku. Możliwe jest przekazanie tej kwoty na rok w depozyt Caritas Belgijkiej.

Etap IV - od 9 listopada 1985 do 2 września 1986 roku

W okresie tym nie odbyło się żadne spotkanie plenarne stron kościelnej i rządowej.

29 listopada napływa do Komitetu list przewodniczącego grupy rządowej z propozycją odbycia spotkania plenarnego jeszcze w listopadzie. Komitet odpowiedział, że rozmowy takie mogą się odbyć po uśrednim dokładnym ich przygotowaniu tak, by mogły się zakończyć skierowaniem statutu do rejestracji.

2 grudnia Rada Ministrów przyjmuje Rozporządzenie w sprawie działalności gospodarczej fundacji.

10 grudnia prof. Stelmachowski odbywa spotkanie robocze z v-ce min. rolnictwa Grzesiakiem. Minister wysunął szereg zarzutów wobec Komitetu Organizacyjnego i jego członków. Posunął się do stwierdzenia, że Fundacja będzie finansowała duszpasterstwo rolników. Następnie - przedstawił propozycje kolejnych zmian statutowych w kierunku zapewnienia ministerstwu głosu decydującego w sprawach Fundacji. Wręczył tekst statutu proponowanego przez rząd datowanego z ... 14 maja 1985 r.

15 grudnia ukazuje się w "Przeglądzie Katolickim" artykuł red. Siwka z zawartą deklaracją, że Fundacja nie zamierza prowadzić politycznej działalności opozycyjnej, jak również sygnałem, że bez dobrej woli władz Fundacja zakończy się fiaskiem.

W nrze 51/85 "Pisma Okólnego Episkopatu Polski" ukazuje się wybór listów chłopów do Fundacji obrazujący ile nadziei wiąże wieś z tą formą pomocy Kościoła.

16 stycznia 1986 prof. Stelmachowski odbywa kolejną rozmowę z v-ce min. Grzesiakiem. Doręczona zostaje stronie rządowej pismo precyzujące stanowisko strony kościelnej. Min. Grzesiak stwierdził, że odpowiedź zostanie doręczona na piśmie "w niedługim czasie", tak by można było przystąpić do rozmów plenarnych. Dodał, że sprawy zwolnień podatkowych nie stanowią problemu, natomiast istnieje problem zakresu nadzoru Ministra Rolnictwa nad Fundacją. Prof. Stelmachowski stwierdził, że sprawa autonomii Fundacji jest kwestią zasadniczą. Odpowiedź pisemna na złożone pismo nigdy nie nadeszła.

23 stycznia min. Urban na konferencji prasowej wysuwa zastrzeżenia personalne wobec niektórych członków Komitetu, nie wymieniając ich z nazwiska. Jest to pierwsza, publiczna ingerencja strony rządowej w skład delegacji kościelnej, powołanej i pozostającej w dyspozycji Prymasa Polski.

4 lutego strona rządowa, bez umówionej odpowiedzi na stanowisko strony kościelnej, występuje z propozycją rozmów plenarnych. Strona kościelna przypomina przyjętą procedurę /przygotowywania rozmów/ i stwierdza, że nie widzi możliwości przystąpienia do nieprzygotowanego spotkania.

10 lutego w przedrukowanej w "Trybunie Ludu" wypowiedzi gen. Jaruzelskiego dla "Il Tempo" postawiona zostaje teza, że Fundacja Rolnicza nie ma pieniędzy.

12 lutego min. Urban ocenia, że zdaniem rządu należy odwrócić założenie i najpierw przeprowadzić spotkanie, a potem uzgodnienia.

15 lutego Komitet informuje, że zrezygnował z kwoty 200 tys. dolarów nagrody Nobla Lecha Wałęsy, by nie blokować jej na inne ważne cele społeczne.

20 lutego Prymas Polski przyjmuje Komitet Organizacyjny. W czasie spotkania Ksiądz Kardynał podkreślił dobrą wolę Kościoła w doprowadzeniu do sukcesu inicjatywy.

23 lutego min. Urban sugeruje, że to ostatnie stanowisko strony kościelnej ułatwia dalsze rozmowy. Po raz pierwszy od początku negocjacji prasa kościelna przedrukowuje komunikat z spotkania. Ma to

sugerować istotne przełamanie impasu, ale nie następują po nim dalsze fakty, a już 4 marca min. Urban ogłasza, że nie przewiduje szybkiego zakończenia rozmów.

11 marca min. Urban stwierdza, że rozmowy utrudniają m.in. "niektóre osoby" z Komitetu oraz brak pieniędzy.

15 kwietnia strona kościelna dowiaduje się, iż strona rządowa ... zmienia ekipę negocjacyjną Komitetu Organizacyjnego. W tym dniu wiceminister rolnictwa zwraca się pisemnie do jednego z członków Komitetu z propozycją odbycia spotkania plenarnego. W odpowiedzi 26 kwietnia przewodniczący strony kościelnej prof. Stelmachowski listownie potwierdza wolę kontynuowania rozmów po uprzednim ich przygotowaniu. Na list ten nie ma odpowiedzi, natomiast 6 czerwca pismo od wiceministra otrzymuje ks. Orszulik. List ten nawiązuje do pisma skierowanego do jednego z członków Komitetu, osoba przewodniczącego strony kościelnej na rozmowy jest pominięta. W odpowiedzi ks. A. Orszulik potwierdza wolę rozmów po ich przygotowaniu i po uzgodnieniu terminu spotkania przez współprzewodniczących negocjacji: v-ce min. Grzebiaka i prof. Stelmachowskiego.

Po raz kolejny bezpośredniej interwencji podejmują się u władz państwowych - władze kościelne. W wyniku rozmów na najwyższych szczeblach 19 czerwca dochodzi do spotkania roboczego w Ministerstwie Finansów, w sprawach zwolnień podatkowych. Ministerstwo zgadza się na zwolnienie z podatku dochodowego na okres 3 lat. Nie wyraża zgody na zwolnienie z podatku obrotowego.

2 lipca ukazuje się w "Rzeczpospolitej" wypowiedź Z. Michałka, sekretarza KC PZPR - sygnalizująca, iż problemem do uzgodnienia są kwestie programów Fundacji.

4 lipca na konferencji prasowej po X Zjeździe PZPR generał Jaruzelski ogłasza, że program Fundacji winien być "organicznie skorelowany" z programem rządu.

2 września 1986 r. Prymas Polski przyjmuje Komitet Organizacyjny, który stwierdza całkowity impas w rozmowach. Postulaty strony rządowej ograniczające autonomię Fundacji /"organiczne skorelowanie" i głos decydujący Ministra Rolnictwa co do programów/ są dyktatem uniemożliwiającym pojęcie działań. W tej sytuacji z ubolewaniem stwierdzono, że koncepcji Fundacji nie udało się zrealizować.

29 września na posiedzeniu sejmu poseł R. Bender stawia wniosek o podanie się do dymisji Ministra Rolnictwa. W odpowiedzi min. Zięba stwierdza, że wniosek jest "niedemokratyczny".

Proponowane programy

Statutowym celem Fundacji Rolniczej miało być "wspomaganie rozwoju rolniczych gospodarstw rodzinnych oraz rzemiosła na zasadzie pomocy dla samopomocy".

Fundacja miała stanowić przejaw społecznej działalności Kościoła, realizowana w życiu codziennym wskazań zawartych w dokumentach Kościoła. Wyrażać się to miało troską o rozwój rolnictwa indywidualnego i rzemiosła. Równocześnie partnerska współpraca między społeczeństwem a rządem na polu gospodarczym przyczynić się miała do politycznej stabilizacji kraju.

Realizacja proponowanych przez Fundację programów działania powinna wpłynąć na zwiększenie efektywności gospodarowania i przez poprawę wyposażenia technicznego wpłynąć na wzrost produkcji rolnej.

Zatem działalność Fundacji miała przyczynić się do: poprawy żywienia narodu; poprawy warunków pracy i życia na wsi; podniesienia kultury rolnej; postępów nauki i oświaty rolniczej.

Wybór kierunków działania Fundacji musiał się zatem opierać nie tylko na uzasadnieniach czysto ekonomicznych, ale również na prze-

sżankach ogólnospołecznych.

Realizacja tak szeroko zakreślonych zadań społecznych, społecznych i ekonomicznych wymagała dużej skali pomocy w programie globalnym 5-ciu lat /nie wliczając 18 miesięcy trwania programu pilotowego/. Program globalny przewidywał zatem dostarczanie w kolejnych latach środków produkcji o wartości mającej udział w zaopatrzeniu produkcyjnym rolników indywidualnych. Program ten miał być poprzedzony wdrożeniem programu pilotowego, pozwalającego na wstępną ocenę skuteczności działania Fundacji i weryfikację poszczególnych programów technicznych.

Organizatorzy Fundacji określili koszt 18 miesięcy programu pilotowego na 28 mln dolarów. Deklaracje Kościołów i rządów na Zachodzie - deklaracje złożone już u wstępu przygotowań - sięgnęły kwoty 28 mln dol. w pierwszym roku programu pilotowego. Po rejestracji Fundacji i w każdym roku jej działania miały następować dalsze deklaracje. Potrzeby Fundacji na pierwszy rok programów globalnych złożone u donatorów opiewały na kwotę 170 mln dol. - następnie kwota ta miała jeszcze rosnąć w ciągu pozostałych lat czterech.

Źródłem finansowania pomocy miał być dotacje uzyskiwane od Kościoła katolickiego a także ze źródeł prywatnych i publicznych w krajach zachodniej Europy, Ameryki i Azji. Przewidywano sukcesywną realizację pomocy w ciągu co najmniej 5 lat. W toku przygotowań zainteresowanie Fundacją i pomocą dla polskiej wsi wyraziło 18 krajów świata.

Towary dostarczane rolnikom i rzemieślnikom w ramach pomocy miały być im sprzedawane. W realizacji programu stosowane byłyby instrumenty ekonomiczne. Fundacja chciała bowiem unikać rozdzielnictwa środków dysponowanych przez nią. Nie miała to bowiem być instytucja charytatywna dublująca na terenie wsi działalność Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski.

Kwoty zlotówkowe uzyskane ze sprzedaży towarów dostarczanych w ramach pomocy miały być przeznaczone na wsparcie dotacjami inicjatyw społecznych wsi, głównie w zakresie unowocześnienia infrastruktury wsi oraz na wsparcie inicjatyw społecznych /budowa przedszkoli, ośrodków zdrowia, domów starego rolnika itp./.

Przewidywano trzy główne kierunki gospodarczego działania Fundacji:

Kierunek pierwszy dotyczył wsparcia rozwoju niektórych usług dla rolnictwa. Te rodzaje działalności podjąć mieli sami rolnicy oraz rzemieślnicy.

Drugi kierunek obejmował niektóre zagadnienia produkcji rolniczej, takie jak pomoc dla producentów mleka, przetwórcie owoców i warzyw.

Trzeci kierunek - dostawy na rynek wybranych towarów i sprzętu do produkcji rolniczej.

Fundacja zamierzała także wspierać działalność szkoleniową rolników, a zatem przyczynić się do podnoszenia kultury rolnej na wsi. Ten zamiar, aktualny do 1985 r., wobec sprzeciwu rządu musiał być zaniechany.

Przewidywano, że w początkowym okresie Fundacja zrealizuje "programy pilotowe". Koszt programów pilotowych został określony na około 28 mln dol. USA.

Miały one na celu:

- uwiarygodnienie akcji pomocy i działania Fundacji w opinii ofiarodawców, społeczeństwa polskiego a także czynników rządowych,
- zdobycie doświadczenia i sprawdzenie organizacji działania Fundacji,
- sprawdzenie wstępne efektywności technicznej i ekonomicznej podejmowanych programów.

Programy miały być realizowane w wybranych regionach i wsiach, w których spodziewać się można było osiągnięcia bezpośrednich celów tego przedsięwzięcia. Po nich nastąpić miała realizacja programów własciwych, które zwiększałyby skalę i zakres działania stopniowo na obszar całego kraju.

Przewidywano realizację następujących programów pilotowych i głównych:

1. Program MLEKO obejmował miał dostawę sprzętu: około 275 tysięcy dojarek, 470 tys. chłodziarek dla indywidualnych producentów mleka, a także wyposażenie 686 punktów skupu /zlewni/ i uzupełniająca wyposażenie 49 zakładów mleczarskich - tych, które zapotrzebowanie w pierwszym rzędzie szpitale, szkoły, przedszkola i żłobki. W programie pilotowym przewidywano wyposażenie 5 zlewni oraz dostawę 400 dojarek i 600 chłodziarek.
2. Program PRZETWORNIŁE miał pomóc w zwiększeniu przerobu owoców i warzyw o 500 małych przetwórniami, pracujących przede wszystkim na potrzeby społeczności wiejskiej, o łącznym przerobie 0,8 mln ton. W programie pilotowym przewidywano 9 przetwórniami.
3. Program WODA miał poprawić stan zaopatrzenia wsi w odpowiednią jakościowo wodę - przez budowę 1000 instalacji wodociągowych i kanalizacyjnych, indywidualnych jak i zespołowych w 1000 wsiach oraz 500 warsztatów usługowych. W programie pilotowym przewidywano 180 instalacji indywidualnych, 3 zespołowe i 15 warsztatów. Realizacja programu wpłynąć mogła na wzrost produkcji zwierzęcej, zmniejszenie o około 20% zużycia paszy oraz uciążliwości pracy rolników. Program miał być realizowany głównie za ziótówki, częściowo komplementarny do programu MLEKO.

Programy usługowe:

4. Program USŁUGI POŁOWE. Obecnie istnieje dość rozbudowana sieć usług świadczona przez Kółka Rolnicze, która jednak nie zaspokaja istniejących potrzeb. W tej sytuacji proponowano prywatnym rolnikom zakupienie zestawów maszyn, które pozwalałyby na odpłatne świadczenie usług połowych. Ta forma usług sprawdzona w niektórych województwach okazała się najbardziej efektywna. Fundacja miała wspomóc zorganizowanie sieci punktów prowadzonych przez rolników, które będąc wyposażone w odpowiedni sprzęt, działałyby jako rzemieślnicze warsztaty usług połowych. Program przewidywał organizację 700 takich punktów, z tego 100 w programie pilotowym.
5. Program OPONY przewidywał stworzenie sieci 70 rzemieślniczych warsztatów naprawy, 15 warsztatów regeneracji opon, jak również 3 wysoko wydajne zakłady protektorowania opon rolniczych, prowadzonych przez Fundację. W programie pilotowym przewidywano 10 warsztatów naprawy i 3 regeneracji, prowadzonych przez rzemieślników.
6. Program WARSZTATY NAPRAWCZE miał na celu zwiększenie sieci usług rzemieślniczych na wsi, przez dostawę sprzętu dla 2000 warsztatów kowalskich, ślusarskich, obróbki mechanicznej i warsztatów naprawy maszyn i ciągników. W programie pilotowym przewidywano 18 warsztatów.
7. Program BUDOWNICTWO przewidywał pomoc dla indywidualnego budownictwa wiejskiego przez lepsze wyposażenie około 1500 rzemieślników w sprzęt i urządzenia do produkcji materiałów, jak i do prac budowlanych. Równocześnie przewidywano możliwość wspomagania każdej inicjatywy rzemiosła wiejskiego, która mogła doprowadzić do zwiększenia tempa tego budownictwa. W programie pilotowym przewidywano zaopatrzenie w sprzęt 18 warsztatów rzemieślniczych i zorganizowanie 1 cegielni.
8. Program DOSTAWY KYNKOWE objąć miał dostawę niezbędnych dla indywidualnych rolników środków produkcji, sprzętu i wyposażenia rozprawdzanych na terenie kraju i sprzedawanych za gotówkę. Dzięki

takiej sprzedaży Fundacja, niezależnie od jej podstawowego celu, którym była poprawa gospodarki wiejskiej, uzyskać miała fundusze złotówkowe na udzielenie kredytów, dotacje przedsięwzięć infrastrukturalnych a także na cele socjalne i charytatywne.

9. Program MASYNY I CIĄGNIKI przewidywał kooperację również z sektorem państwowym. Wytwórnia ciągników URSUS jest wyposażona w linie do produkcji ciągników Massey Ferguson, które są nie wykorzystane do produkcji ciągników. Brak jest bowiem elementów importowanych. Dotyczy to również pewnych maszyn produkcyjnych. Wydawała się celowa współpraca z URSUSEM i ewentualnie z innymi fabrykami maszyn rolniczych w celu uzyskania od nich ponadplanowych dostaw. Koszt produkowanych w kraju ciągników i maszyn wynosi około 60% ceny sprzętu importowanego z zagranicy. Współpraca ta byłaby opłacalna i dla producentów i dla Fundacji. W zamian za dostarczone do Ursusa części, których fabryce brak dla rozwinięcia produkcji - Fundacja otrzymywałaby gotowe traktory i inny sprzęt do rozprwadzania na własny rachunek.
10. Program CHEMIA. Również i ten program przewidywał współpracę z przemysłem państwowym. Przeznaczenie pewnej kwoty na wsparcie przemysłu chemicznego spowodować mogło poprawę zaopatrzenia rolnictwa w niezbędne środki ochrony roślin, środki weterynaryjne, dezynfekcyjne a także pewne komponenty pasz i preparaty do konserwacji pasz. Program ten przewidywał również bezpośrednie wprowadzenie brakujących środków z zagranicy, przekazywanie ich państwowym wytwórniom i rozliczanie się gotowymi wyrobami. Program ten szacowany był w pilotowej części na 1 mln dolarów.

Kontakty międzynarodowe Komitetu Organizacyjnego Fundacji Rolniczej

Nie uwzględniono tu wielu wyjazdowych i miejscowych kontaktów o charakterze roboczym, jakie miały miejsce zarówno z instytucjami kościelnymi, jak i rządowymi, społecznymi, ambasadami czy ludźmi biznesu, w takich krajach jak: Holandia, Dania, Szwajcaria, Hiszpania, Luksemburg, Portugalia, Finlandia.

Przykładowo zatem podajemy zakres i tematykę prac, które były prowadzone w okresie organizacyjnym Fundacji Rolniczej.

RFN: 9-13.09.1983

Wyjazd ks. A. Orszulika i prof. Hamana na rozmowy z przedstawicielami Kościoła w RFN. Przedstawiono stan przygotowań do powołania Fundacji z ostrożnym optymizmem, iż sprawa zostanie wkrótce załatwiona. Rozmawiano na temat projektów pilotowych i przygotowania ich do realizacji.

Belgia-USA-Kanada-Szwajcaria: 6-26.02.1984

Skład delegacji: ks. A. Orszulik i prof. A. Stelmachowski. W czasie podróży przeprowadzono rozmowy w sekretariacie europejskiej Konferencji Biskupów w Brukseli; w Departamencie Stanu, Komisjach Izby Reprezentantów i Senatu, w Konferencji Biskupów USA, z Nuncjuszem Apostolskim, w Fundacji Rockefellera, Kongresie Polonii, z przemysłowcami USA; w Konferencji Episkopatu Kanady, Kongresie Polonii, Parliamencie, w ministerstwie rolnictwa rządu federalnego, w ministerstwie spraw zagranicznych; z sekretarzami Niemieckiej i Europejskiej Konferencji Biskupów przebywającymi w Genewie.

Delegacja wyjechała na zaproszenie kard. J. Króla z osobistym upoważnieniem Prymasa Polski do rozmów. Przekazano projekty programów globalnych i pilotowych oraz rządowego projektu ustawy o fundacjach,

która miała wejść pod obrady Sejmu. Wystąpiono o sumę 62 mln dol. rocznie, przez okres 5 lat, do Episkopatu USA, jak również określono kwotę przypadającą na okres pilotowy. Kongres USA głosował będzie na rzecz pomocy rokrocznie, a nie jednorazowo na cały 5-letni okres głównych programów. Rząd USA popiera całą ideę.

Rząd kanadyjski jest rozczarowany skutkami pomocy kierowanej dotychczas przez rządy, dlatego też inicjatywa Fundacji spotka się z przychylnością. Kościoły w USA, Kanadzie, krajach europejskich podtrzymują chęć wspomżenia polskiego rolnictwa. Uzgodniono wstępny preliminarz wpiat na okres pilotowy. Uzyskano również zapewnienie, że Polonia w Ameryce włączy się w akcję zbierania funduszy.

Uzgodniono daleko idącą współpracę Fundacji Rockefellera i Rolniczej w sprawach pomocy dla rolnictwa w Polsce.

RFN, Belgia: 15-20.05.1984

Wyjazd roboczy ks. A.Orszulika na rozmowy w Sekretariacie Niemieckiej Konferencji Biskupów, w instytucjach rządowych oraz w Sekretariacie Konferencji Biskupów krajów EWG i komisjach EWG w Brukseli. Rozmówcy zwracali uwagę, że powstanie Fundacji odebrane byłoby bardzo przychylnie na Zachodzie i pomogłoby również w ogólnej poprawie stosunków Polski i Zachodu.

Uzgodniono problem powołania na Zachodzie instytucji wspomagających Fundację w Polsce. Dyskutowano kwotę 28 mln dol. na program pilotowy. Postępowanie budżetowe w EWG zostało już w tej sprawie rozpoczęte. Kwoty na programy globalne będą przyznawane w trakcie działania Fundacji.

RFN, Belgia, USA, Kanada: 17.06 - 15.07.1984

Wyjazd przedstawicieli Komitetu Organizacyjnego na rozmowy z donatorami w sprawach finansowych, organizacyjnych i technicznych, w składzie: ks. A.Orszulik, prof.prof.A.Stelmachowski, A.Sołtyński, W.Trzeciakowski. Przeprowadzono rozmowy w Sekretariacie Konferencji Biskupów Europejskich, Sekretariacie Niemieckiej i Belgijskiej Konferencji Biskupów, z przedstawicielami rządów RFN, Belgii, władz EWG, organizacji społecznych.

Ze źródeł kościelnych w pierwszym roku działania Fundacji wpłynęła kwota 3 mln dol.

Postanowiono utworzyć biuro przy EWG zajmujące się organizacją funduszy na rzecz Fundacji.

W Ameryce rozmowy toczyły się zarówno z przedstawicielami Kościoła katolickiego jak i władz USA i Kanady. W czasie audiencji u kard. J.Króla uzyskano zapewnienie, że Kościół w USA zwiększy już przyznaną kwotę 3 mln dol.

Przeprowadzono rozmowy w Departamencie Stanu oraz w Białym Domu. Stanowisko Departamentu co do kwoty 28 mln dol. na program pilotowy jest przychylnie. Część przypadająca na rząd USA - 10 mln dolarów - będzie do podjęcia. Będzie również złożona "deklaracja intencji" w sprawie kwot na program globalny.

Odbyło się spotkanie z D.Rockefellerem, na którym rozmawiano o możliwej współpracy dwóch Fundacji na terenie Polski.

W czasie rozmów w Kanadzie uzyskano deklarację udziału Kościoła kanadyjskiego w wysokości 1 mln dol.

W.Brytania: 3-15.08.1984

Rozmowy w Ministerstwie spraw zagranicznych i Polskiej Misji Katolickiej prowadził prof. A.Sołtyński. Uzyskano potwierdzenie zainteresowania W.Brytanii dla idei Fundacji - w ramach EWG.

USA: 12 - 15.11.1984

Na zaproszenie Konferencji Biskupów Amerykańskich przebywała w USA delegacja Episkopatu Polski: kard. F.Macharski, abp J.Stroba,

ks. A. Orszulik. Omówiono m.in. szczegóły techniczne powołania kościelnej korporacji dla obsługi pomocy na terenie USA.

Warszawa: 14.12.84

Rząd Argentyny zwrócił się poprzez swego Ambasadora w Warszawie z prośbą o dokumentację Fundacji. Odybła się w związku z tym rozmowa ks. A. Orszulika i prof. A. Stelmachowskiego z Ambasadorem. Argentyna widzi możliwość wsparcia Fundacji nie w formie dotacji pieniężnych ale dostaw towarów. Uzgodniono, że po zarejestrowaniu Fundacji zostanie przedstawione zapotrzebowanie.

Z podobną sugestią w tym czasie wystąpiła ambasada Brazylii.

Australia, Japonia, RFN, Belgia, Francja: 27.01-3.03.1985

Na zaproszenie Kościołów katolickich przebywała w tych krajach delegacja w składzie: ks. A. Orszulik i prof. A. Stelmachowski.

W Australii i Japonii przeprowadzono rozmowy z przewodniczącymi Konferencji Episkopatów i biskupami w tych krajach, z przedstawicielami rządów, organizacji społecznych, a w Australii - Polonii. Uzyskano zapewnienie o przyłączeniu się tych krajów do akcji pomocy dla wsi w Polsce. Już w maju nadeszła z Australii wiadomość o podjętej na posiedzeniu Episkopatu Australii intencji przyłączenia się do wspomagania Fundacji. Biskupi zwrócili się w tej sprawie również do rządu Australii.

W powrotnej drodze przeprowadzono rozmowy w sekretariatach konferencji biskupów w Bonn i Paryżu oraz w siedzibie EWG.

Belgia 23.04-1.05.1985

W Brukseli przebywali na rozmowach z przedstawicielami EWG: profesorowie - A. Sołtyński i W. Trzeciakowski.

Uzyskano deklarację poparcia w przypadku utworzenia Fundacji pomocy dla rolników indywidualnych jako instytucji autonomicznej partnerką współpracującą z rządem. W pierwszym głosowaniu nad funduszem dla Fundacji z EWG nie uzyskano sukcesu /zabrakło 5 głosów/ w wyniku tarć międzypartyjnych w Parlamencie europejskim nie związanych zupełnie z samą Fundacją. Kwota ok. 4 mln. dol. została już włączona do projektu budżetu na rok 1986 i zostanie z pewnością w następnych głosowaniach zatwierdzona. Tak też się stało.

Norwegia, Szwecja: 27.05-10.06.1985

Z misją sondażowo-informacyjną przebywali w tych krajach ks. A. Orszulik i prof. A. Stelmachowski. Przeprowadzono rozmowy w instytucjach Kościoła katolickiego, związkach rolników, instytucjach rządowych. Oczekiwano włączenia się rządu norweskiego w programy globalne - tymczasem okazało się, iż strona norweska pragnie włączyć się już na etapie pilotowym. W Norwegii powstał już komitet społeczny stawiający sobie za cel pomoc rolnictwu w Polsce, w formie zakupu ruchomych warsztatów naprawczych. Postanowiono zorganizować wysiłek sprzętu rolniczego na rzecz Fundacji tzw. "statkiem pokoju". Wartość wysiłki 2 mln dol. Komitet oczekuje na sygnał z Polski, że Fundacja została zaakceptowana przez rząd.

Wizyta w Szwecji miała charakter "dodatkowy", lecz również okazało się, iż istnieje zainteresowanie ideą Fundacji. Pomoc rządu szwedzkiego będzie przebiegała kanałem pośrednim - poprzez związek rolników, które zorganizują wysiłek maszyn rolniczych. Uzgodniono przedstawienie konkretnej listy towarowej.

Austria: 23-40.06.1985

Na zaproszenie przewodniczącego Konferencji Episkopatu Austrii przebywali w Wiedniu: ks. A. Orszulik i prof. A. Stelmachowski. Wizyta miała miejsce z inicjatywy kard. F. Koeniga. Poza rozmowami w Konferencji Episkopatu - odbyły się spotkania w ministerstwie spraw zagranicznych, instytucjach publicznych, związkach zawodowych, Izbie

Handlowej.

Uzyskano zapewnienie o włączeniu się Kościoła i rządu Austrii w program pomocy - po rejestracji Fundacji, już w fazie wstępnej. Kościół w Austrii przeznaczył na pierwszy rok działalności Fundacji 1 mln szylingów.

Kanada i USA: 21-30.06.1985

Celem tej podróży prof. W.Trzeciakowskiego było uzyskanie poparcia Polonii dla akcji finansowania Fundacji, zweryfikowanie realności dotacji Kościoła kanadyjskiego i amerykańskiego oraz uruchomienie funduszy rządowych.

Uzyskano całkowite poparcie dla idei wraz z obietnicą zorganizowania kolekty w Kanadzie oraz potwierdzenia kwoty 3 mln dol. z Kościoła w USA. Rząd kanadyjski potwierdził swój udział w finansowaniu po zatwierdzeniu Fundacji przez rząd w Polsce.

W USA potwierdzono realność kwoty 10 mln dolarów.

Włochy: 2-4.07.1985

Przebywał we Włoszech ks. A.Orszulik, który przeprowadził rozmowy w stowarzyszeniach kościelnych, rządowych, polonijnych - wyjaśniając szczegóły techniczne działań po zatwierdzeniu Fundacji. Przewodniczący poza ramami EWG.

W następstwie tych rozmów udał się do Włoch prof. J.Dietl dla omówienia szczegółów technicznych współpracy.

USA: 29.09 - 13.10.1985

Pobyt informacyjny dr. H.Stolzman, sekretarza KOFR. Rozmowy robocze w instytucjach kościelnych, rządowych, polonijnych - wyjaśniające szczegóły techniczne działań po zatwierdzeniu Fundacji. Przeprowadzono kilka wykładów nt.Fundacji w gronie specjalistów rolnictwa.

Austria: 1-7.12.1985

Na zaproszenie Austriackiej Izby Handlowej, z inicjatywy Rady Handlowego Ambasady Austrii w Warszawie, przebywał w Wiedniu w-ce przewodniczący KOFR prof. A.Soiłyński. Odwiedził on ns terenie Austrii firmy produkujące sprzęt dla rolnictwa, które zainteresowane byłyby przez Fundację w cenie o 25% niższej niż obowiązująca na rynku austriackim - niezależnie od zwykłych ulg podatkowych. W czasie pobytu w Austrii potwierdzony został również udział Kościoła oraz rządu /pod warunkiem, że Fundacja wesprze większość krajów Europy Zachodniej/ w finansowaniu tych zakupów.

Warszawa: 3-8.12.1985

Przebywali w Polsce wysłannicy Konferencji Biskupów Amerykańskich: W.Caron i D.Dessingue w celu omówienia kwestii prawnych tworzącej się w USA instytucji wspomagającej działanie Fundacji.

Warszawa: 18.03.1986

W siedzibie Komitetu złożyła wizytę radca ambasady ChRL, żywo interesując się ideą Fundacji i prosząc o pełną dokumentację na ten temat.

Warszawa: 25.04.1986

Do Sekretariatu Episkopatu Polski przybył ambasador Holandii, który zdementował w rozmowie z bp.J.Dąbrowskim doniesienie rządu polskiego, jakoby EWG zablokowała sumy przeznaczone dla Fundacji.

Za zgodność: Ks. Alojzy Orszulik SAC - pełnomocnik Episkopatu Polski ds. Fundacji Rolniczej, Prof. Andrzej Stelmachowski - przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Fundacji Rolniczej.

LUDEIE

JAN JOZEF LIPSKI

Profesor.

W KOR-ze mówiliśmy o Nim po prostu Profesor, choć nie był jedynym członkiem Komitetu noszącym ten tytuł. Profesor to zarazem Mistrz i Nauczyciel. Był dla nas jednym i drugim, szczególnie dla młodszych, ale - w jakimś stopniu - również dla swych trochę młodszych kolegów.

Przed wszystkim jednak był Przyjacielem, na którym można było polegać, na którego życzliwość, lojalność, pomoc, radę - można było zawsze liczyć. Doznawało się tego w różnych sytuacjach, przede wszystkim jednak pamiętał zawsze o siedzących w więzieniach; niesie nie im pomocy uważał za podstawowy obowiązek.

Profesor był nie tylko człowiekiem myśli, lecz w tym samym może stopniu człowiekiem czynu. Jako kilkunastoletni chłopiec związał się z ideologią niepodległościowego socjalizmu i żywił długo nadzieję, że jego wiedza i doświadczenie będą przydatne Polsce również w nowych warunkach. Należał do tych, którzy chcieli pracować dla kraju mimo ogarniających go często wątpliwości, czy można i należy robić to pod takim, jaki był i jest rządem.

I spotykały go nieustanne rozczarowania. Jego, który w czasie okupacji kierował tajną Szkołą Główną Handlową, pozbawiono w czasach stalinowskich katedry. Po Październiku, jako wiceprzewodniczący Rady Ekonomicznej, wniósł istotny wkład w projekt reformy gospodarczej, która nigdy nie ujrzała światła dziennego. Wielokrotnie podejmował się niewdzięcznej roli tego, który ostrzega przed katastrofami; między innymi w środku ery gieskowskiej euforii, w liście otwartym do ówczesnego I sekretarza PZPR, wskazując na nadciągający kryzys. Daremnie.

To była jego ciernista droga do KOR-u. Gdy przekonał się o bezużyteczności ofiarowywania władzy swej konstruktywnej, lecz nonkonformistycznej, niezależnej współpracy, gdy zobaczył, po wydarzeniach radomskich i ursuskich, nowe bezprawia i nowe ludzkie cierpienia - znalazł się w gronie kilkunastu twórców Komitetu Chrony Robotników w sposób naturalny i konsekwentny, na nowym polu konstruktywnej pracy dla ludzi prześladowanych, dla Polski.

Od początku odgrywał w naszym gronie rolę ograniczoną. Gdy trwały jeszcze wstępne wahania i wątpliwości, gdy obawiano się, że jedynym skutkiem wystąpienia będą aresztowania - Profesor przesądził o decyzji mówiąc, że to będzie i tak sukces o wielkim znaczeniu, jeśli gromada intelektualistów pokaże, że stać ich na solidarne dzielenie więzienia wraz z robotnikami. A wiedzieliśmy przecież, że mówi tak ktoś, kto umie myśleć nie tylko kategoriami ideologicznymi, lecz i pragmatycznymi.

Profesor, wraz z innymi współzałożycielami KORu należącymi do starszego pokolenia, uczył nas wszystkich, i tych o jedno pokolenie młodszych, i o dwa pokolenia, czym jest demokracja w grupie, czym

Tekst przemówienia, wygłoszonego nad grobem profesora Edwarda Lipińskiego, 17 lipca 1986 r. Tytuł pochodzi od redakcji.

sztuka kompromisu, polegającego nie na zdradzaniu zasad, lecz na ich realizacji w szerszym, bogatszym wymiarze. Bo Profesor był zarazem człowiekiem pryncypiów ideowych i człowiekiem kompromisu. Gotów był zawsze do porozumienia, jeśli to słowo nie znaczyło zdrady. Ale nie każdy szukał takiego porozumienia z Nim.

Profesor był odważny i w myśleniu, i w głoszeniu tego, co myślał, i w czynach. Nie zawsze była to odwaga wyłącznie cywilna. Ludwik Krzywicki pisze w swych pamiętnikach, że spotkał Profesora w wielkim, prostym hallu Szkoły Głównej Handlowej w dniu oczekiwanego wtargnięcia bojówek endecko-cenerowskich. Zapytany, co tu robi - odpowiedział: "Przecież ktoś musi stawić im czoła". Stawił czoła. Został pobity. Taki właśnie był - choćby samotnie, gdy trzeba.

Miałem zaszczyt i radość brać wraz z Nim udział przez 30 lat w wielu pracach i poczynaniach, od Klubu Krzywego Koła, po czas ostatni, gdy jeszcze na początku tego roku składał swój podpis pod listem do warszawskiego Kongresu Intelektualistów. Ileż spraw, dyskusji, chwil trudnych i radosnych po drodze... Ileż to już czasu minęło od dnia, gdy po ogłoszeniu przez Niego na I Kongresie NSZZ Solidarność samorozwiązania się KSS KOR, i po Jego przemówieniu - ogromna hala Oliwii, wypełniona setkami delegatów i publicznością - długie minuty oklaskiwała Go stojąc.

Niedawno żegnaliśmy na innym cmentarzu ś.p. doktora Józefa Rybickiego, komendanta warszawskiego Kedywu AK w czasie okupacji i również współtwórcę KORu. Odchodzi ci najstarsi nasi przyjaciele, nieśadługo i nas, o pokolenie młodszych, nie stanie. Ale już wtedy, w roku 1976, gdy KOR zakładaliśmy, najmłodszego z nas dzieliło od Profesora 60 lat życia. Potem przyszli i, do służby pro publico bono, przychodzi następni. Przynajmniej sobie, że w tej sztafecie pokoleń zrobimy wszystko, by godnie wypełnić testament tych naszych przyjaciół, którzy już odeszli, współzałożycieli i członków KORu: Adama Szczyplińskiego, Wacława Szawadzkiego, Ludwika Cohna, Józefa Rybickiego, Edwarda Lipińskiego by pracować dla przybliżenia momentu, w którym Polska będzie - jak o tym marzyli - wolna, demokratyczna, niepodległa.

Jan Józef Lipski

„Zważyli mnie i znaleźli zbyt lekkim”

Z prof. Edwardem Lipińskim rozmawia H. Komorowska

Prof.: ...Oczekiwałem Pani z niechęcią. Jestem zamordowany i stary, tak jak bym miał 92 lata i 9 miesięcy. Z przykrością będę z Panią rozmawiał.

H.K.: Smutno mi wobec tego. Może jednak nie będzie tak źle? A 1888 rok jest rzeczywiście datą pańskich urodzin.

Prof.: Tak. Urodziłem się w październiku tego roku.

H.K.: Ale mimo to proszę mi powiedzieć, jak to się dzieje, że czas jest tak łaskaw dla Pana? Byłam przecież studentką Pana Profesora. Co prawda, wstyd się przyznać, kiedy to było... I Pan nic się nie zmienił od tamtych lat. Ten sam głos, to samo spojrzenie, ta sama ironia w oczach i poczucie humoru. To zupełnie nieprawdopodobne..

Prof.: Ktoś się mnie już kiedyś zapytał, jak Pan to robi? Powiedziałem, że żyłem obficie... Ale także dziedziczność. Moja matka umarła mając 92 lata. Co prawda ojciec umarł mając 37 lat - na jakąś szkodliwą chorobę. Nie było wtedy antybiotyków i zmarł.

H.K.: Ta obfitość życia przejawiała się w Pańskiej niesłychanie bogatej działalności politycznej, gospodarczej, naukowej, dydaktycznej, a poza tym w wielu namiętnościach życia, np. w umiłowaniu piękna, w posiadaniu pięknych rzeczy. Widzę tak znakomite zbiory - choćby ten rysunek Degasa, miniatura księcia Józefa Poniatowskiego, Malczewski... A ten portret przed nami, taki znany, to jest Julia Potocka pani Vigee-Lebrun?

Prof.: Sapietyna z Potockich, córka Szczęsnego Potockiego, tzw. "Tańcząca z szalem".

H.K.: To jest oryginał?

Prof.: Jak najbardziej oryginalny oryginał.

H.K.: A gdzie Pan ten najoryginalniejszy oryginał zdobył?

Prof.: Z kimś, kto chciał się pozbyć tego obrazu, zamieniłem się na inne rzeczy. On ktoś, wielki zbieracz, bał się, że będzie wojna i jak on to schowa. Później jego syn, który też był zbiera-

Rozmowa z prof. Edwardem Lipińskim odbyła się na antenie PR 21 czerwca 1981 r. w Programie II. Opublikował ją również miesięcznik "Więź" w numerze 10/1981, który nie został rozpowszechniony z powodu wprowadzenia stanu wojennego. Tekst rozmowy podajemy za tym numerem "Więzi".

raczem, dawał mi grube pieniądze w dolarach za ten obraz, a ja nie chciałem sprzedać.

H.K.: Panie Profesorze, wypowiedział Pan słowo - wojna. Co Pan robił latem w 1945 roku?

Prof.: Byłem już w Warszawie. W kwietniu przyjechałem.

H.K.: W tej chwili sobie przypomniałam, że chyba był Pan wezwany przez Hilarego Minca, aby utworzyć Instytut Gospodarstwa, bo chyba jeszcze nie Bank Gospodarstwa Krajowego?

Prof.: Bank Gospodarstwa dostałem w 1946.

H.K.: A w 1945 został Pan dyrektorem finansów w Ministerstwie Handlu i Przemysłu.

Prof.: U Minca, tak. Ale to niedługo trwało. Przekonałem, się że jest to zupełnie niepotrzebna robota i podałem się do dymisji, która została natychmiast przyjęta.

H.K.: ...Potem zorganizował Pan Instytut Gospodarstwa Narodowego.

Prof.: I też zrezygnowałem, ponieważ nie było żadnych szans, aby cośkolwiek ogłaszać. Wszystko było tajemnicą. Dwóch moich współpracowników w tym Instytucie, dwóch profesorów, ekonomistów, siedziało w więzieniu przez parę lat za to, że jakieś liczby ogłosili.

H.K.: A w 1946 został Pan prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego. I pozostał Pan na tym stanowisku do 1948...

Prof.: Do końca 1948 roku. Podobała mi się ta praca, ale salecono mi podanie się do dymisji.

H.K.: Jednocześnie była Szkoła Główna Handlowa w Warszawie. Został Pan jej prorektorem, a zarazem rektorem filii Łódzkiej.

Prof.: I tam też musiałem się podać do dymisji, ponieważ byłem jakoś niewygodny. Podobny wypadek miałem w roku 1937 lub 38. Byłem również prorektorem. Wystąpiłem w obronie bitych studentów, Żydów. Owcześnie rektor, endeck, nie życzył sobie ze mną pracować.

H.K.: Zawsze enfant terrible ekonomii polskiej?

Prof.: Hm... Nie tylko ekonomii...

H.K.: A później wykłady na Uniwersytecie Warszawskim...

Prof.: Ale straciłem je w 1952 roku. Pozbawiono mnie katedry i stanowiska dziekana. Wróciłem do wykładów dopiero w 1956 roku, po październiku. Była to kara za parę publicznych wypowiedzi.

H.K.: To chyba było nieco później, bo w 1952 utworzony został Wydział Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego i Pan był pierwszym dziekanem, a jednocześnie wykładowcą.

Prof.: W 1955 dopiero? A ja myślałem, że dłużej cierpiałem za Polskę. Okazuje się, że stosunkowo krótko.

H.K.: I wtedy Pan nie wykladał, ale tłumaczył III tom "Kapitału" Marksa. Przetłumaczył Pan ten III tom, a także "Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej". Potem napisał Pan też książkę - "Karol Marks i zagadnienia współczesności". A zatem nic, co o Marksie i marksizmie, nie jest Panu obce. Jednak Marks, kiedy mówiło się o marksistach, powiedział: Quameli a moi, je ne suis pas marxiste, czyli "Co do mnie, nie jestem marksistą". A Pan, Panie Profesorze?

Prof.: Ja w tym samym znaczeniu, co Marks.

H.K.: I nic więcej Pan nie powie na ten temat?

Prof.: Marks wywarł na mnie wielki wpływ. To był genialny człowiek, genialny myśliciel, ale prawie nic z tego, co on przewidywał, nie spełniło się. Mimo to, jakoś jestem marksistą. Urzekła mnie utopia marksowska o uniwersalnie rozwiniętym każdym człowieku.

H.K.: W tej wydanej w 1969 roku książce, o której wspomniałam - "Karol Marks i zagadnienia współczesności" - wywodził Pan, że ekonomia jest nauką powiązaną z wieloma innymi naukami humanistycznymi - z socjologią, psychologią, historią, historią kultury, polityką z pedagogiką społeczną itd. W jakiej wobec tego mierze teoria Marksa może być pomocna w zrozumieniu dzisiejszej rzeczywistości?

Prof.: Nie wiem, czy tak można powiedzieć, że teoria Marksa pomaga w zrozumieniu współczesności. Marks bowiem był zdania, iż istnieją prawa historii, prawa rozwoju historycznego i że świat z pewną koniecznością zmienia się i zmierza do socjalizmu. Nie wierzę w rewolucję jako twórczynię nowej formacji społeczno-gospodarczej. Socjalizmu nie można zadekretować, ani go "wprowadzać". Przemoc, gwałt są w historii niekiedy konieczne, aby np. usunąć przywileje feudalne, jak w rewolucji francuskiej. Ale żadna wielka formacja społeczna nie była dziełem rewolucji, prócz Rewolucji w 1917 r., która stworzyła epokę socjalizmu radzieckiego. Zresztą to zależy od tego, co rozumieć przez socjalizm. Bo jeżeli przez socjalizm rozumie się lepszą gospodarkę, sprawniejszą, pozbawioną kryzysów, całkowicie rozumną gospodarkę i całkowicie racjonalną, dającą większy strumień bogactwa niż gospodarka kapitalistyczna, to sama idea takiej gospodarki może być uważana za bardzo interesującą. I nawet piękną. Ale jak to zrobić, aby stworzyć system gospodarczy, który jest wolny od wad, który jest całkowicie kreatywny, który powoduje olbrzymi przyrost sił wytwórczych i tworzy nieustannie nadmiar bogactwa, obfitość, z której wszyscy na równi korzystają? Mam wrażenie, że człowiek nie jest zdolny do stworzenia racjonalnych, całkowicie rozumnych, kierowanych przez rozum i przez naukę systemów społecznych i systemu gospodarczych. Nie umie tego zrobić, ponieważ życie nie da się w sposób naukowy zorganizować, kierować, regulować. Sam proces ekonomiczny tym się odznacza, że to jest również proces, który musi być nie tylko procesem efektywnym, ale musi być procesem kreatywnym, twórczym. W wiekach średnich, w okresie rzemiosła średniowiecznego, ten kreatywny element polegał na tym, że rzemieślnik tworzył rzeczy piękne, nawet armaty były bogato rzeźbione, wszystko co wytwarzał było piękne. Piękna architektura, piękne urządzenia domowe, piękne przedmioty.

H.K.: Właśnie Pan napisał kiedyś, Panie Profesorze, że "zadaniem socjalizmu jest demokratyzacja piękna"...

Prof.: Tak. Tylko że powrócić do wieków średnich nie można i

z trudnością można powiedzieć, że wszystko, co wytwarzamy, powinno być piękne, rzeźbione...

H.K.: Powinno być użyteczne i piękne.

Prof.: Natomiast inną sprawą jest to, że powinniśmy żyć w otoczeniu piękna, mieć do niego dostęp i mieć wytworzone kwalifikacje do tego żeby wchłaniać piękno. To jest rola wychowania w kierunku piękna. Mówiłem wtedy takie rzeczy - choć nie wiadomo, czy to prawda - że arystokracja była jedyną klasą społeczną w historii ludzkiej, która uczyła się życia i umiała z niego korzystać. Wiedziała jak żyć uniwersalnie - życiem codziennym, życiem osobistym, życiem sztuki, nauki, życiem sportu, wojny - uniwersalnym życiem. Ta klasa - jedyna - wytworzyła piękne pałace do mieszkania. Znała sztukę życia. Naśladowała to wielka burżuazja; nie wiem jednak czy z tym samym smakiem. Raczej nie. Z tych obserwacji i w tych kategoriach wysnuwam wniosek, że socjalizm powinien oznaczać zdemokratyzowanie arystokratycznego sposobu życia. Ale to oczywiście też jest utopia. Jak wszystko, co dotyczy socjalizmu. Tylko że ta utopia jest człowiekowi potrzebna. Należy poprawiać świat. Jakkolwiek nie bardzo wiem, jak to czynić, ponieważ świat jest mało poprawialny. On się zresztą sam poprawia. Jest niewątpliwym postępem w porównaniu z dawnymi epokami, świat się jakoś poprawia, ale trudno jest być zwolennikiem idei nieograniczonego postępu i wiary w naukę. To są naiwne postawy życiowe: owa wiara w nieograniczony postęp i wiara w naukę jako wszechstronną siłę, która umożliwi nam rozumne zorganizowanie otaczającego nas życia. To się nam nigdy nie uda, ponieważ człowiek zawsze pozostanie człowiekiem czyli zwierzęciem, czyli będzie miał instynkt władzy, agresji, zawiści, wrogości i wiele innych. I nie da się życia ująć w normy naukowe - na szczęście. Gdyby się udało ująć wszystko w normy "naukowe", byłaby to jedna wielka termitiera.

H.K.: To już Saint-Simon pisał o tym, że społeczeństwa dzielą się na...

Prof.: On dzielił ustroje społeczne na konfliktowe i harmonijne, dosłownie - krytyczne i organiczne. I marzył o tym, aby urząd społeczny był "organiczny", rządzony przez wybranych ludzi, przez tych, którzy wiedzą jak rządzić, mają wolę rządzenia. Platon i Saint-Simon to promotorzy totalitarnego systemu społecznego, w którym władcy wiedzą jak rządzić i mają prawo zmuszać innych do słuchania. Jeśli ktoś rządzi innymi, to może rządzić tylko drogą przymusu.

H.K.: Czy to jest dziś możliwe?

Prof.: Możliwe jest. Ale my się przeciwko temu właśnie buntujemy. Chcemy się sami rządzić, sami, we wszystkich dziedzinach życia. I bronimy się przed tym, aby nami rządzili doświadczeni mędrcy. Bronimy się przed tym, aby nami rządziły wybrane grupy, którym powierzono władzę nad nami, aby nam narzucały "jedność myślenia". Neramijny urząd nie jest możliwy. Każde społeczeństwo, tak jak znamy to z przeszłości, jest społeczeństwem w pewien sposób konfliktowym. To nawet jest zgodne z marksizmem. Sprzeczności są bowiem źródłem postępu, źródłem rozwoju. Właśnie sprzeczności. Oczywiście, nie jestem anarzystą i doskonale rozumiem rolę i funkcję państwa, nawet, powiedzmy silnego państwa.

H.K.: Ale największym wrogiem postępu jest biurokracja i tolerowanie zasady, że nikt nie ma prawa do podejmowania decyzji samemu...

Prof.: Biurokracja wynika bezpośrednio z tezy, że społeczeństwo nie umie się samo rządzić. Ale są ludzie, którzy umieją nim władać, a umieją właśnie przy pomocy biurokracji i przymusu.

H.K.: Tak, lecz przerost biurokracji jest szkodliwy dla społeczeństwa. Hamuje życie, tłumi je. Obezwładnia społeczeństwo. I dotyczy to każdej dziedziny życia: nauki, gospodarki, kultury.

Prof.: Oczywiście, że dotyczy każdej dziedziny życia. I jeśli chodzi o gospodarkę, to koncepcja, że przedsiębiorstwa gospodarzą według z góry opracowanego i narzuconego im planu, prowadzi do zwyrodnienia ekonomicznego, do marnotrawstwa, do ubożenia sił wytwórczych, do permanentnego braku wszystkiego, co jest ludziom potrzebne. Inicjatywa, twórczość, kreatywność, pomysłowość, przedsiębiorczość, muszą być rozproszone na miliony autonomicznych jednostek, które same postrzegają, obserwują, co jest innym potrzebne. I produkują to, co jest potrzebne. Podstawową wadą naszego systemu jest to, że nie rozumie się, czym jest przedsiębiorstwo i jak ono działa.

H.K.: Już niemal przed dziesięciu laty pisał Pan, że "talent stał się siłą wytwórczą", a więc dobór kadr to podstawa działania, bo właśnie ludzki talent, wiedza, inicjatywa - wspomóżone nowoczesnością, a także wolą, umiejętnymi decyzjami i upoważnieniami do działania i do podejmowania tych decyzji - mogą zdziałać cuda.

Prof.: Dwie rzeczy są podstawą gospodarki: talent i planowanie. U nas panuje przekonanie, że musi być jednoosobowe kierownictwo. Zresztą to jednoosobowe kierownictwo było pozbowione wszelkiej możliwości samodzielnego działania, ponieważ było ograniczone przez plan. Otóż fabryką ma zarządzać jeden człowiek, który bierze za nią pełną odpowiedzialność, który ma siłę do tego, aby wymusić od załogi pracowitość, wydajność, efektywność itd. Lenin mówił, że dyrektor powinien mieć dyktatorską władzę, aby uzyskać wydajną pracę przy pomocy systemu Taylora, premii, wyróżnień. Ale w dzisiejszym wielkim przedsiębiorstwie - nie w małym - nie ma jednego tylko zarządzającego. Jeden jest dyrektor, to prawda, lecz jest też szereg specjalistów. Np. wielkie firmy amerykańskie. Na ich czele stoi prezes. Jest dwóch wice-prezesów. Potem rada dyrektorów. Następnie cały szereg autonomicznie działających działów. Wydziały te są kierowane przez wysoko wykwalifikowanych specjalistów np. od marketingu, przetwarzania danych, od przyszłych technologii, od organizacji pracy, od poszukiwania zagranicznych rynków zbytu. Jest to sztab wysoko wykwalifikowanych sił, które są siłami zarządzającymi. Dyrektor nie może się znać na tym wszystkim. Powierza te sprawy specjalistom. Sam nie mógłby kierować. Bez współdziałania tych wielu wyspecjalizowanych i utalentowanych ludzi byłby całkowicie bezsilny. W systemie kapitalistycznym coraz mniej znaczą prywatny, indywidualny właściciel. Zarządzanie jest kolegiałne.

H.K.: Oparte na prognozach.

Prof.: Na prognozach, na badaniu rynku, na badaniu możliwości, na przewidywaniach przyszłości. Każde takie działanie jest związane z kreatywnością ludzką, a także jest dokładnie planowane. General Motors ma wielki instytut planowania. Tam wszystko jest zaplanowane. Roczna produkcja, ilość samochodów, ich rodzaje, gdzie będą sprzedawane. Tylko że plany nie są narzucane przez jakieś centrum. Wynikają z badania rzeczywistości, z badania możliwości rynkowych, z badania możliwości wywierania wpływu na rynek np. przez propagandę, przez

reklamę. Wszystko to jest brane pod uwagę w planowaniu. W takim wielkim przedsiębiorstwie są zainwestowane tak olbrzymie sumy kapitału, że to wszystko nie może być oparte na przypadku.

H.K.: I to jest racjonalne i twórcze gospodarowanie.

Prof.: Tak. To właśnie jest racjonalne i twórcze. Takie planowanie jest koniecznością. Socjalizm miał polegać na demokracji, na wolności większej niż w kapitalizmie i miał polegać na tym, że gospodarka miała być stała niż kapitalistyczna. Otóż lepszej gospodarki istniejącej socjalizm dotychczas nie wynalazł. Wynalazł marnotrawny system gospodarki, prowadzący do permanentnych, systematycznych braków wszystkiego. System zarządzania fabryką przy pomocy dyrektywnych wskaźników spowodował daleko idące marnotrawstwo. Niedawno czytałem wypowiedź dyrektora fabryki odlewów. Powiada: "Panie, ja muszę oszukiwać. Muszę, ponieważ oceniamy mnie tonami wyprodukowanych odlewów. Produkują odlewy ciężkie, dużo cięższe, niż powinny być. Nie produkując lekkich odlewów, uniemożliwiam zaspokojenie potrzeb i niszczę stal. Niszczę - zmuszony przez ten system wskaźników, który mi nakazuje trzymanie się ich, bo ja tylko w ten sposób mogę wykonać plan. Pracuję dla planu, a nie dla zaspokojenia potrzeb".

H.K.: Gdyż jest rozliczany według zużycia surowców.

Prof.: Tak. Ten system gospodarczy jest groteskowy, bo opracowany przy biurku, sztucznie, przez urzędników. A systemy społeczno-gospodarcze muszą wyrastać z historii, ze sprzeczności, z życia, z potrzeb, z techniki, twórczości ludzkiej, a nie ze sztucznie opracowywanych, wymyślonych planów. Z tego co mówię nie wynika, że jestem przeciwnikiem planowania. Myślę nawet, że jest możliwe i konieczne pewne centralne planowanie, gdy chodzi o rozwój gospodarczy kraju nie uprzemysłowionego, naturalnie pod warunkiem, że ten plan będzie się opierał na rzeczywistych badaniach rzeczywistej rzeczywistości, a nie na fetyszach i pseudoteoriach, tak jak to dotychczas było. Na pseudoteoriach, że ważniejszy jest przemysł ciężki, a nie przemysł lekki, że nieważne rolnictwo, a ważny przemysł, że ważne są wielkie przedsiębiorstwa, a nieważny jest drobny przemysł i rzemiosło i że należy je niszczyć. Błędna jest też teoria, że ceny mogą być sztuczne, planowe, że nie muszą odpowiadać rzeczywistym społecznym kosztom produkcji i nie muszą zgadzać się z popytem i podażą. Błędem było wprowadzenie pieniądza wewnętrznego, niwymienialnego. Dlatego twierdząc: socjalizm jest społeczna własnością środków produkcji, jeżeli chodzi o wielkie zakłady /może nawet częściowo i średnie/. Natomiast kształtowanie się cen w socjalistycznym ustroju musi być takie samo, jak w kapitalistycznym, to znaczy musi się zgadzać ze społecznymi kosztami produkcji i z popytem i z podażą. Zarządzanie fabrykami musi być takie samo, jak w kapitalizmie. Konkurencja musi być taka sama, bo jeśli nie ma konkurencji, to socjalistyczny monopol wyzyskuje i lekceważy konsumenta. Motywy, którymi się kierują robotnicy czy dyrekcja zakładu w socjalizmie nie są wcale odmienne od kapitalistycznych. Odmienne są słowa.

H.K.: Nastawienie na zysk...

Prof.: Nastawienie na sprzedaż, na zaspokojenie potrzeb konsumenta, oczywiście na sprzedaż z zyskiem, bo bez zysku nie ma gospodarki. Nie wynaleziono socjalistycznego systemu gospodarczego, a to co wynaleziono jest potworkiem moralnym, społecznym i ekonomicznym.

H.K.: Tylko warunki pracy mogą być inne, lepsze.

Prof.: Warunki pracy mogą być lepsze, ale my nie możemy dać lepszych warunków pracy niż w rozwiniętym kapitalizmie. Nie mamy z czego. My dopiero stopniowo i powoli, dziesiątkami lat, będziemy mogli w miarę ekonomicznego rozwoju dawać robotnikom czy społeczeństwu to, co daje im rozwinięty kapitalizm. Tylko w miarę. Nie możemy jeszcze dawać takich samych zarobków, takich mieszkań, takich obfitości dóbr. Gdy mówię o budowie socjalizmu, to co to oznacza? Przede wszystkim jest to budowa gospodarki. Jeśli dajemy ośmlogodzinny dzień roboczy, wolne soboty, to nie dajemy nic socjalistycznego, ponieważ to już jest. Jeśli nawet wprowadzamy humanizację pracy, to też nie jest to nic socjalistycznego, ponieważ już kapitaliści wprowadzają pewną humanizację pracy. Są zmuszeni do tego, żeby pracę humanizować, gdyż robotnik nie chce pracować w złych warunkach. Zmienia pracę, stosuje absencję itd. Więc co to znaczy budowa socjalizmu? Kapitalizm jest nastawiony na konsumpcję. Socjalizm ma podnosić jakość życia, autonomię człowieka, jego samorządność, zakres jego wolności, niezależność, równość. Nie możemy planowo zbudować nowego człowieka. Jeżeli próbujemy, to mamy to, co stało się w Kambodży.

H.K.: No tak, świat się zmienia w naszym stuleciu niezwykle szybko, ale gdyby porównać dzień dzisiejszy z latami pańskiej wczesnej młodości, czyli z pierwszym dziesiętkiem lat dwudziestego wieku, to okazałoby się, że najmniej zmienił się właśnie człowiek wobec tego, co zmieniło się wokół niego.

Prof.: Jasne, ale człowiek też się zmienia. Zmienia się stopniowo, powoli, ale na pewno nie planowo. Zmienia się też świadomość społeczna. Np. dlaczego powstał kapitalizm? Bo zmieniła się też świadomość społeczna w XVII-XVIII wieku. Powstała nowa świadomość polegająca na tym, że za główny motor działania człowieka - i to za jedynie pożyteczny motor, pożyteczny dla wszystkich - uznano interes osobisty. Takiej świadomości w wiekach średnich nie było. Dążenie do bogactwa było ganione, potępiane. Bogactwo było uważane tylko za środek pomocy dla ubogich, ale człowiek sam, sam dla siebie, nie mógł się bogacić, ponieważ to było niemoralne. Zmieniła się świadomość społeczna. I owa zmiana świadomości społecznej spowodowała to, że - na skutek całkowitego przypadku historycznego - powstała rewolucja przemysłowa w końcu XVIII wieku, rozwinął się wielkofabryczny kapitalizm, nowa technika oparta na nauce. Czy powstanie socjalizm i socjalistyczne społeczeństwo? Być może powstanie. Zmieni się być może świadomość społeczna. Mówi się np. teraz, że: nie m i e ć jest najważniejszą rzeczą, ale b y ć. Mówi się, że nie nauka, ale religia, medytacje są wartością największą. Ludzie chcą mieć więcej życia prywatnego, żądają więcej piękna. Zanika etos pracy. Do czego to doprowadzi, tego nie wiem. Zmiana świadomości polega na tym, że człowiek chce być samodzielnym, samodzielny, niezależny od woli innego człowieka. Dzieci chcą być samodzielne, kobiety chcą być samodzielne, robotnicy chcą być samodzielni. Wszyscy chcą mieć samorząd, nie chcą być rządzani z góry. I to jest pewnie rodzeniem się nowej świadomości społecznej. Rodzi się nowa technika, oparta na mikroprocesorach. Człowiek w pracy wypiera robot. Żywy jest ciągle dziewiętnastowieczny fetysz - wiara w rozum, postęp i naukę. A to sam człowiek kształtuje swój los. Zapewne, sam człowiek. Ale jak ma to być w tym woli i planu. Choć są wypadki, że człowiek narzuca historii swoje wyobrażenie o rozumnym, naukowym kształcie historii. Narzucając swoje o tym wyobrażenie, może łatwo zniszczyć realne siły rozwojowe i zniekształcić sam rozwój, wyzwalając olbrzymią masę zła, które wynika z błędów rozumu ludzkiego i "nauki". Człowiek mimo to nie jest bezsilny, ale może czynić tylko to, co już sama historia przygotowała. Jakże jednak łatwo mylić się w tym, co się wydaje stworzone

przez historię jako realns założenia zmian.

H.K.: Mówił Pan o przemianach w świadomości, o samorządności. A jak Pan widzi praktycznie możliwość działania związków zawodowych w sprawach gospodarczych?

Prof.: Idea współudziału klasy robotników, załogi, w zarządzaniu nie jest nowa i bynajmniej nie jest wynaleziona przez robotników albo socjalistów. W Niemczech jest ustawa "Mitbestimmung", czyli ustawa o współudziale związków zawodowych, robotników w zarządzaniu wielkimi fabrykami. Wydajność pracy spada, absencja wzrasta, o-choć do wykonywania pracy zmienia się, ethos pracy maleje, zanika. Dlatego szuka się nowych sposobów, by zwiększyć tę wydajność pracy, zmniejszyć absencję, fluktuację. Humanizacja pracy i partycypacja w decyzjach zwiększy zainteresowanie osobiste robotnika wykonywaną pracą. Interesujące są próby nowej organizacji pracy, jak np. w fabryce Volvo. W tej fabryce, gdzie się wytwarza samochody, nie ma taśmy, nie ma wielkich warsztatów. Są małe warsztaty - po 11 do 15 robotników, w której stoi maszynka do parzenia kawy, jest gramofon czy magnetofon, są miękkie fotele. W warsztacie robotnik czy grupa robotników otrzymują pewne zadania do wykonania. Sami wyznaczają sobie tempo pracy, metody jej wykonywania. Nie ma majstra, nie ma zewnętrznej dyscypliny. Jest autodyscyplina. Samym robotnikom powierza się wykonanie pracy, stają się kreatywni, twórcy, ponieważ sami wymyślają metodę pracy, są za nią odpowiedzialni, wciągnięci w nią, zainteresowani. To jest pewnego rodzaju humanizacja pracy. Jest to humanizacja pracy połączona z pewnego rodzaju bezpośrednią demokracją. Robotnicy sami decydują o swojej pracy przez delegatów, np. Rady Robotnicze.

H.K.: Ale wtedy jest konieczna wysoka świadomość i odpowiedzialność samych robotników, a także zaufanie do nich dyrekcji.

Prof.: Tak. Robotnicy są odpowiedzialni ponieważ daje im się tę odpowiedzialność. Im powierza się pracę, a oni skłonni są do tego, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za nią. Ich to interesuje. Człowiek ma potrzebę samorealizacji oraz skłonność do uczciwego wykonywania zadań, które wziął na siebie doborowo. Robotnicy są skłonni do wzięcia odpowiedzialności, do podjęcia zadań i wykonania ich możliwie dobrze.

H.K.: To jest wykonywanie samej pracy. Demokratyzacja samej pracy. Humanizacja jej procesu. Ale jest jeszcze sprawa decyzji w zarządzaniu fabryką, zakładem przemysłowym.

Prof.: Tak. Sprawa decyzji dotyczących nie tylko organizacji pracy, płacy i warunków pracy, ale badań rynków zagranicznych, przyszłej technologii, rynków zbytu w ogóle i wielu takich dziedzin, które są potrzebne dla kierowania wielkim przedsiębiorstwem. A wielkim przedsiębiorstwem mogą kierować tylko specjaliści. Wykształceni, wyrobieni, często utalentowani. W zarządzaniu zatem istnieją pewne granice dla współudziału załogi. Np. weźmy taką decyzję jak ta, że fabryka postanowiła zbudować inną fabrykę za granicą. Do tego potrzebne są specyficzne badania: w jakim kraju, gdzie się to opłaca, jakie są przewidywania jej rozwoju itp. Jest więc szereg decyzji, które nie nadają się do podejmowania drogą demokratyczną. Nie mogą być podjęte większością głosów, wynikają z analizy, z badania, z obserwacji, z wynalazczości myślowej, odkrywczości. Albo inna sprawa. Czy to załoga ma wyznaczyć, ile z zysków zakładu ma iść na potrzeby załogi, a ile ma być poświęcone na przyszłe inwestycje i ile na ogólnie

społeczne zadania: kulturę, naukę, administrację? Czy takie decyzje nie staną się niebezpieczne, gdy będą powierzone właśnie załodze? Wydaje mi się, że istnieją tu pewne problemy, które powinny być rozwiązane. Jakkolwiek nie jestem całkowicie przekonany, czy to, co mówię, jest właśnie prawidłowym ich postawieniem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

H.K.: Panie Profesorze, podobnie jak w każdym człowieku tak i w społeczeństwie jako całości tkwią, żyją nie zmobilizowane moce, energie, potencjalne siły duchowe i uzdolnienia. Budzą się one w warunkach sprzyjających. Tak było właśnie zaraz po wojnie w 1945 roku. W latach 1956-1957. Potem uległo to stłumieniu w latach siedemdziesiątych i energia poszła w złym kierunku. Jak dziś wyzwoić dobre siły z ludzi zmęczonych, zniechęconych i zawiedzionych? Jak sprawić, aby nastąpiło to przyspieszenie, o którym mówiliśmy, w formowaniu się nowych postaw, nowej świadomości, nowych hierarchii wartości? Bo te ostatnie lata wyrządziły tyle szkód moralnych, że należy raczej mówić o odbudowie, a nie o rozwoju. Cofnęliśmy się przecież...

Prof.: Tak. Te lata przyniosły wiele szkód moralnych, zniszczyły morale pracy, zniszczyły pozytywne postawy ludzkie. Stworzyły źródła "wzobogacające się kosztem społecznym". Po pierwsze, jest potrzebna demokracja - samorząd, włączenie społeczeństwa w proces życia społecznego, gospodarczego i politycznego, to znaczy aktywne współdziałanie ludzi. Decyzje w zarządzaniu.

H.K.: Ale współzarządzanie musi być rozumne. Ograniczone. Takie, jak Pan Profesor mówił przed chwilą.

Prof.: Tak. To w dziedzinie gospodarki. Ale jeśli chodzi o polityczne życie, to musi być demokracja, tzn. muszą panować demokratyczne formy życia. To wciąga ludzi. Uczą się wtedy współżycia, współzarządzania i rządzenia. Uczą się, ponieważ nie umieją tego. Jakkolwiek to nie jest taka trudna nauka. Ale wróćmy do gospodarki - musi być zmieniony system ekonomiczny, system bodźców, motywów, a to bardzo trudna rzecz. Także system kadr potrzebnych do wykonywania pracy. Po reformie zadania dyrektora będą inne niż przed reformą. Nie tylko dyrektora, ale i dyrekcji, wszystkich tych, którzy biorą udział w zarządzaniu. Wymaga to innych ludzi. Przeglądałem niedawno dane statystyczne, z których wynikało, że bardzo duży procent dyrektorów naszych fabryk posiada tylko podstawowe wykształcenie albo wcale go nie posiada.

H.K.: I nie posiada owego talentu, o którym Pan mówił.

Prof.: Oczywiście, zarządzanie wymaga nie tylko wykształcenia fachowego, ale również doboru utalentowanych ludzi, co jest niezbędne do twórczego zarządzania.

H.K.: Mówił Pan kiedyś, że taki talent jest potrzebny na każdym stanowisku. Od najwyższego do najniższego. Potrzebna jest też kreatywność, czyli chęć do innowacji, do działania, pomysłowość.

Prof. Na pewno tak jest. Praca gospodarcza opiera się na tym. Pojęcie kreatywności należy rozszerzyć. Nie tylko malarz jest kreatywny, czy muzyk, czy pisarz. Nie tylko. Robotnik jest także kreatywny, ślusarz lub hydraulik, który przychodzi naprawić zepsutą łazienkę, musi zaobserwować co się stało, postawić diagnozę, a potem coś zrobić. To są wszystko czyny kreatywne w jakimś stopniu.

H.K.: Wymagające myślenia.

Prof.: Myślenia, obserwacji i wyciągania wniosków z tej obserwacji.

H.K.: I decyzji.

Prof.: I decyzji oczywiście. Czytałem niedawno amerykańską książkę o świadomości ludzkiej. Marlew: "Psychology of Being". Jest tam mowa o konieczności rozszerzenia pojęcia zjawiska kreatywności ludzkiej. Bardzo mi się to podobało, bo akurat się zgadza z moimi teoriami ekonomicznymi.

H.K.: Panie Profesorze, to wszystko jest potrzebne, ale - powtarzam - jak wyzwolić owe dobre siły z ludzi zmęczonych, zniechęconych, zawiedzionych...

Prof.: Baa... Proszę Pani, kiedy Pani tu przyszła, to ja byłem całkowicie zmęczony i niechętny do czegokolwiek. Ale przyszło do mnie zadanie i zmobilizowało mnie. Zadania przyjdą, warunki zmobilizują i zażądatają od człowieka działania, postawią wyzwanie.

H.K.: A więc dzisiaj jest już taka chwila. Od paru miesięcy trwa taki czas. Siły są. Tylko jak je ukierunkować?

Prof.: Na pewno są, ale na pewno częściowo ich nie ma. Nie wiem, czy są np. dostateczne siły na menadżerów. O ile wiem, kształcenie menadżerów nie jest najlepsze.

H.K.: A poza tym ludzie unikają odpowiedzialności.

Prof.: Niestety. Szkoły ekonomiczne kształcą raczej urzędników, a nie menadżerów. Tylko przy Warszawskim Uniwersytecie jest Wydział Zarządzania. Nie ma jednak ani jednej takiej szkoły, jak np. harvard'ska School of Business Administration. Takich szkół w Ameryce jest wiele i to na bardzo wysokim poziomie, tam zapotrzebowanie na menadżerów jest ogromne. Zresztą jak Pani weźmie jakiegokolwiek pismo - nie tylko amerykańskie, ale zachodnie - szczególnie niedzielne numery dzienników, znajdzie Pani tam kilka stron ogłoszeń instytucji poszukujących specjalistów w najbardziej nieznanym mi zawodach, które powstały niedawno. Nowe całkowicie zawody menadżerów. Nigdy w Polsce w żadnym dzienniku nie czytałem takiego ogłoszenia.

H.K.: Stolarzy się szuka, ślusarzy, piekarzy... Panie Profesorze, ale przecież człowiek jest istotą pragnącą, dążącą. Nadzieja i tęsknota są motorem naszego działania, a wizje wspaniałych osiągnięć, niestety często utopijne, mobilizują, wzbogacają twórców owych wizji i utopii, a potem ich zwolenników. Czego więc dziś powinniśmy pragnąć i ku czemu dążyć?

Prof.: Wie Pani, to nie jest pytanie, na które ja mogę odpowiedzieć.

H.K.: Nawet jako człowiek doświadczony?

Prof.: Niewątpliwie w Polsce zaszły tak wielkie korzystne zmiany, że są podstawy dla odnowy. Najtrudniejsza jest jednak sprawa ekonomiczna, granicząca z katastrofą ekonomiczną. Nie mógłbym odpowiedzieć na Pani pytanie, jak ja widzę możliwości wyjścia z katastrofy, gdyż są zbyt wielkie szkody dla wydobywania się z niej, np. istniejące tzw. "wąskie przejścia", niedorozwój wielu zaniedbanych w prze-

szłości gałęzi przemysłu, zaniedbanych na skutek fałszywych teorii ekonomicznych i pseudosocjalizmu. Rolnictwo zniszczone i zaniedbane, transport, produkcja elektryczności, handel, usługi, rzemiosło, drobny przemysł. Zniszczone całkowicie na skutek bzdurnych, groteskowych teorii pseudosocjalistycznych i pseudoeconomicznych.

H.K.: Pan występował jako ekspert w Radzie Ekonomicznej przed laty, potem występował Pan w roli nieproszonego doradcy...

Prof.: Byłem nie tylko ekspertem. Byłem i wiceprezesem Rady Ekonomicznej.

H.K.: To można mówić w takim razie i o tym, że już w trzydziestych latach był Pan Prezesem Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków Polskich, a od pierwszych lat po wojnie Prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, potem w Zarządzie Głównym - Prezesem, poza tym jest Pan członkiem Polskiej Akademii Nauk. Ale jako ekspert, a później ten nieproszony doradca piszący listy do Edwarda Gierka, na które nie otrzymywał Pan odpowiedzi, na co by Pan dziś zwracał największą uwagę, aby wyjść z naszego chaosu ekonomicznego i co jeszcze z tych dawnych czasów, tych dawnych lat w Radzie Ekonomicznej, pozostało do dziś istotne?

Prof.: To, co mówiłem, jest właśnie zwracaniem uwagi na te ważne rzeczy.

H.K.: A jakie by Pan przesłanie dał dzisiejszym i przyszłym ekonomistom?

Prof.: Po pierwsze, aby znali naukę ekonomiczną. Po drugie, żeby znali proces gospodarczy i rozumieli go, ponieważ te wszystkie błędy ekonomiczne, które powstają, wynikają z niezrozumienia istoty procesu ekonomicznego. Wszystkie te teorie, że można planować gospodarkę w ten sposób, w jaki dotąd planowano, wynikały z całkowitego niezrozumienia rzeczywistego procesu ekonomicznego.

H.K.: A więc potrzebny dobór kadr, specjalistów, ludzi kreatywnych, myślących twórczo i racjonalnie.

Prof.: Oczywiście. To wszystko trzeba wiedzieć, wszystko rozumieć.

H.K.: To, co już Platon mówił o rozumie...

Prof.: Platon dla mnie jest wrogiem, ponieważ to jest jeden z twórców totalitarnego systemu politycznego. To on właśnie nie opierał się na żywych siłach całego społeczeństwa, ale powierzał zarządzanie społeczeństwem jak mrówkami wybranym osobom, przymusem oczywiście. Platon jest "wrogiem" dla mnie, Saint-Simon jest "wrogiem" dla mnie.

H.K.: A kto przyjacielem?

Prof.: Marks jest przyjacielem. Ale Marks dość utopijnie przedstawiał sobie przyszłą gospodarkę, jako planowo zarządzaną przez bezpośrednich producentów. Myślał, że dyrektor zakładu to tylko jakby dyrygent orkiestry. A to więcej niż dyrygent. Marks stworzył jednak niezwykle ciekawe pojęcie "duchowych sił produkcji": Geistige Potenzen der Wirtschaft. Duchowe siły, to jest właśnie przedsiębiorczość,

wynalazczość, zdolność organizacji. Klasa robotnicza, pisał Marks, została pozbawiona duchowych sił produkcji i praca stała się częścią maszyny. Marks dzielił życie ludzkie na dwie sfery: sferę konieczności i sferę wolności. Praca dla zdobycia środków do życia należy do sfery konieczności, czas wolny od pracy tworzy sferę wolności. Rozwój techniki i produktywności pracy rozszerza stale sferę wolności - autonomii człowieka. Życia prywatnego, twórczości, samorealizacji, intymności, miłości, polityki. Socjalizm oznacza właśnie rozszerzenie, pogłębienie sfery wolności.

H.K.: A czy Pan, Panie Profesorze, zostawił kontynuatorów swojej myśli naukowej, swoich uczniów? Czy wszędzie te ziarna przez Pana zasiane?

Prof.: Nie, chyba nie zostawiłem. Chociaż mam niektórych uczniów bardzo uzdolnionych. Ale nie chcę o tym mówić, bo ja nie stworzyłem szkoły ekonomicznej. Pewnie nie umiałem. Po wojnie już w 1946 roku pozbawiono mnie prawa uczenia ekonomii politycznej, a pozwolono mi tylko wykładać historię nauk ekonomicznych. Uważano bowiem, że moja teoria jest groźna dla systemu socjalistycznego.

H.K.: A nie jest groźna?

Prof.: Moim zdaniem nie. Wręcz przeciwnie.

H.K.: Panie Profesorze, czym Pan się kierował ustalając swoją drogę życiową, bo tyle dziedzin działalności Pan łączył. PPS-Lewica sprzed I wojny światowej już, potem PPS, potem PZPR, to właśnie działalność polityczna.

Prof.: Jako PZPR-owiec nie działałem wcale. Nie byłem czynnym politykiem.

H.K.: Potem był Pan Prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, przewodniczył Pan Radzie Ekonomicznej - to działalność praktyczno-gospodarcza. Studiował Pan w latach 1909-1913 w Lipsku i Żurychu. Potem był Pan pracownikiem bankowym, nauczycielem w gimnazjum. Później w GUS-ie Pan pracował. A w 1923 roku miał Pan wykłady w Wyższej Szkole Handlowej. Od trzydziestych lat kierował Pan Katedrą Ekonomii Politycznej. To działalność dydaktyczna. Potem organizacja tzw. Miejskiej Szkoły Handlowej, co w istocie było tajną Szkołą Główną Handlową w Warszawie. Po Powstaniu w Częstochowie założył Pan I rok studiów. W kwietniu 1945 roku przeszedł Pan już do Warszawy na stanowisko zaoferowane przez Hilarego Minca w Ministerstwie Handlu i Przemysłu - to była praktyczno-gospodarcza działalność. Czy to było dążenie do osiągnięcia pełni życia, czy konsekwencja prac ekonomicznych?

Prof.: Wypadek czy przypadek decyduje o losie człowieka. Byłoby przesadą powiedzieć, że w życiu planowo wybierałem te lub inne formy działania. One po prostu przychodziły.

H.K.: Ale czym się Pan kierował ustalając swoją drogę życia?

Prof.: Niczym się nie kierowałem. Przychodziło to wszystko do mnie. Nie miałem żadnego planu życiowego. To wszystko rodziło się z jakichś warunków, z przypadków. To, że zostałem ekonomistą, a nie czymś innym, to też jest czysty przypadek. To, że zostałem socjalistą, to też jest przypadek. Jako uczeń w 1906 roku dostałem do ręki książeczkę Lassala - "Nauka i robotnicy" i to sprawiło, że zostałem socjalistą.

H.K.: Osiemnaście lat miał Pan wtedy. I od tego się zaczęło?

Prof.: Od tego się zaczęło. Ale wcześniej, gdy miałem czternaście lat byłem już członkiem tajnej organizacji Narodowego Związku Robotniczego.

H.K.: Czy to były tradycje rodzinne, czy wpływ przyjaciół?

Prof.: To było dziełem przypadku i wrodzonych skłonności. Pojechałem do szkoły do Tomaszowa i... Nie, już przed szkołą w miejscu, gdzie się urodziłem, byłem w organizacji chłopców. Mieliśmy rewolwery nawet.

H.K.: To był początek XX wieku?

Prof.: 1903 rok. Od 1903 roku byłem członkiem tajnej organizacji.

H.K.: I tak Panu zostało...

Prof.: ...W 1904 roku robiłem pierwszą manifestację publiczną.

H.K.: Jaką?

Prof.: Po sumie zrobiliśmy pochód, chodziliśmy po mieście i śpiewaliśmy.

H.K.: Co?

Prof.: Wszystkie pieśni. "Boże coś Polskę" i "Czerwony Sztandar".

H.K. Bardzo ładne połączenie. Może miał Pan już przecucie przyszłości?

Prof.: Nie, ale "Czerwony Sztandar" zawsze śpiewaliśmy. I to jest jedyna pieśń, którą mógłbym jeszcze zaśpiewać.

H.K.: Proszę... Bardzo proszę...

Prof.: Kiedy niestety nie umiem już śpiewać...

H.K.: Szkoda... Panie Profesorze, a jak Pan patrzy na swoje życie? Wspaniałe było, czy też chciałby Pan wiele w nim zmienić? Chciałby Pan je tak samo przeżyć drugi raz?...

Prof.: Wie Pani... Oczywiście że bym chciał, bo to jest bardzo interesująca rzecz - życie. Najbardziej interesująca...

H.K.: A w życiu co jest najbardziej interesujące?

Prof.: W życiu jest wiele bardzo interesujących rzeczy. Wspominam np. okres międzywojenny jako prawdziwą bajkę... To była pełnia życia, ów międzywojenny okres. Czas największych możliwości. Choć zawsze zbyt mało pracowałem.

H.K.: Ale jest Pan nadal ciągle czynny...

Prof.: Teraz? Usiłuję być czynny, bo to jest potrzebne człowie-

kowi. Usiłuję "brać udział", ale nie pracuję już naukowo...

H.K.: Wyszła przecież ostatnio książka zbiorowa, różne artykuły.

Prof.: Tak, lecz artykuły nie są pracą naukową.

H.K.: Co to za książka i co to za artykuły?

Prof.: Jej tytuł: "Walka Polaków o wolność". Wyszła przed dwoma tygodniami. Wydawnictwo Hoffmann und Campe w RFN. Jest to praca zbiorowa, która zawiera przede wszystkim prace niemieckie, chociaż niektórzy Niemcy mają polskie nazwiska - śląskie, np. Klaus Bednarz, Henrich Machowski. Wstęp napisał Dedeceus. Wielu autorów niemieckich i paru polskich: Micewski, Rakowski, Kożakowski, Lipiński. Ci Niemcy to socjologowie, którzy zajmują się sprawami Polski, historycy.

H.K.: Pan Profesor powiedział, że mało Pan pisał, ale bibliografia, to ponad 300 prac naukowych. Przede wszystkim studia z historii polskiej myśli ekonomicznej do XVIII wieku.

Prof.: Główne książki to produkt powojenny. Ponieważ nie pozwolono mi wykładać ekonomii tylko historię, zająłem się historią. Głównie historia polskiej myśli ekonomicznej w dawnej Polsce. Praca nad tym była dla mnie źródłem wielu przyjemności, stwarzała pole dla odkryć naukowych.

H.K.: Właśnie dał Pan m.in. nowe ujęcie istoty polskiego merkantylizmu.

Prof.: "Nowe" ujęcie merkantylizmu w Polsce, nie we Francji. Nowe postacie odkryłem. Istnieje np. książka "Dyskurs o pomnożeniu miast w Polsce". Anonimowa. Odkryłem, że autorem był Opaliński - ten od satyr. Skąd wziął to Opaliński? Zerznął z Włocha Giovanni Botoro. Ten zakaz wykładów ekonomii i przymuszenie mnie do historii były dla mnie źródłem wielu życiowych radości.

H.K.: Wtedy tłumaczył Pan także III tom "Kapitału".

Prof.: Ale to nie była radość, to była ciężka praca. Ponieważ jest to rzecz niebywale trudno napisana. Nie była to - jak wiadomo praca skończona. Były to notatki Marksa. Jest tam kilkanaście stron interesujących, reszta to makulatura.

H.K.: A potem napisał Pan książkę - "Karol Marks i zagadnienia współczesności".

Prof.: Chciałem się sam z sobą porozumieć. Dziś napisałbym tę książkę inaczej.

H.K.: Co jest dzisiaj najważniejsze dla Pana, Panie Profesorze?

Prof.: Dla mnie osobiście?... Nie mam rzeczy najważniejszych... Nie mogę podać czegoś takiego. Najważniejsza rzecz dla mnie - teraz - to, co odczuwam najbardziej, to biologiczne niedoświadczenie. I gdybym mógł je pokonać, odczułbym to jako wielką radość. Może dlatego, że nic dla mnie nie ma lepszego i przyjemniejszego od pracy. Robię mnóstwo rzeczy, żeby uniknąć pracy. Bo nie mogę systematycznie pracować. Starość mnie podgrza.

H.K.: A co było kiedyś najważniejsze?

Prof.: Kiedyś nie było jednej rzeczy najważniejszej, tylko wszystko było ważne.

H.K.: Życie. To już Pan Profesor powiedział. Ale co w tym życiu było ważne? Praca, podróże, miłość?...

Prof.: Podróże? Nie. To nie była rzecz najciekawsza. Miłość była rzeczą ważną. Zawsze niebezpieczną. Miałem wybitną zdolność, żeby robić sobie mnóstwo przykrości w miłości. Są tacy ludzie, którzy stwarzają sobie sztuczne przykrości, sztuczne trudności. Całkowicie wymyślone. Ja do nich należałem. O ile zresztą pamiętam. To przecież było bardzo dawno...

H.K.: A kochał Pan bardzo?

Prof.: Zabawna rzecz miłość. Bardzo interesująca i bardzo silna.

H.K.: Dużo Pan przeżył owych miłości?

Prof.: Sporo, ale nie będę liczył...

H.K.: Ja tak wyciągam z Pana, Panie Profesorze, takie rzeczy tajemne i Pan trochę odpowiada...

Prof.: ...Ale ja nigdy nie byłem całkowicie zadowolony ze swego życia. Chociaż mnie to wszystko "szalenie" interesowało. Zawsze jednak miałem pretensje do siebie, że powinienem z czegoś wyjść, coś przezwyciężyć, coś zmienić...

H.K.: Wszystkiego za mało?

Prof.: Wcale nie chodziło o "za mało". Tylko że inaczej. Coś innego. Nie to. Byłem zawsze krytyczny wobec siebie. Gdy coś mi się nie udawało, cytowałem Biblię: "Zważyli mnie i znaleźli zbyt lekkim". Nie dali mi tego lub innego. Miałem ochotę, a nie dali. "Zważyli mnie i znaleźli zbyt lekkim".

TADEUSZ TASKI

Polityka w oczach dysydenta.

"Nie jestem politykiem... Świat gry politycznej zawsze odpychał mnie bezwzględnością swych reguł - w tym świecie czuję się zagubiony i bezsilny" - tą deklaracją Adam Michnik w swojej ostatniej książce "Takie czasy... rzecz o kompromisie" usprawiedliwia jej osobisty i emocjonalny styl.^{x/} Mimo tych zastrzeżeń autora, które zresztą znaczna część czytelników uzna za kokieteryę, jest to książka ściśle polityczna, poświęcona rozważaniom na temat możliwego kompromisu w Polsce między komunistycznym rządem i szeroko rozumianą opozycją oraz refleksjom nad działaniami Solidarności w minionych latach.

Książka jest ważna z uwagi na osobę autora, warta przeczytania, gładko napisana, miejscami fascynująca, ale chaotyczna i niedobra. Czytając ją miałem wrażenie, że są to nieuporządkowane notatki zawierające inteligentne spostrzeżenia i ciekawe, lecz nieuzasadnione sądy. Autor rozwija wiele spraw drobnych i nieistotnych, a sprawy najważniejsze porusza mimochodem jednym zdaniem lub pojedynczym słowem. W wielu miejscach nasuwają się oczywiste pytania, które pozostają bez odpowiedzi. Jest to jednak materiał do napisania książki wybitnej, co zostało pewno uniemożliwione przez miejsce, gdzie ją autor pisał - więzienną celę.

Kompromis polityczny w Polsce, nad możliwością którego zastanawia się Michnik, byłby w dużym stopniu wzorowany na Porozumieniach Sierpniowych. Autor porównuje Porozumienie Gdańskie do Umowy Helsińskiej. Jego zdaniem w obu przypadkach porozumienia polegały na spisaniu zasad, które już wcześniej były praktykowane. Jest to niewątpliwie jeżeli chodzi o Helsinki, gdzie spisano stosowane od wielu lat zasady współistnienia państw europejskich, lecz znacznie mniej trafne, jeżeli chodzi o opis Porozumień Sierpniowych. Trudno bowiem porównywać praktykowaną przed Sierpniem tolerancję wobec nielicznej opozycji traktowanej przez władze jak folklor kulturalny podobny do hippisów lub punktów z tolerancją wobec masowych organizacji społecznych deklarowaną w Sierpniu 1980. Dla mnie Porozumienie Gdańskie stanowiło ramy prawne, które można było różnie interpretować w praktyce społecznej, a Solidarność zrealizowała jedną z możliwych interpretacji, niekoniecznie tę najbardziej dla nas korzystną.

Michnik zestawia też porozumienia z roku 1980 z podpisanym w roku 1950 porozumieniem między państwem a Kościołem, krytykując je dość

x/ Adam Michnik - "Takie czasy... rzecz o kompromisie". Książka uzyskała nagrodę Kultury Niezależnej, a wydana została równoległe przez ANEKS w Londynie i NOWĄ w Warszawie. Londyńskie wydanie różni się od warszawskiego niechlujną korektą i zastąpieniem w całej książce, zgodnie z emigracyjną manierą, słowa "radziecki" przez "sowiecki". Numerację stron podaje zgodnie z wydaniem londyńskim.

stanowczo. Na kanwie tych rozważań podkreśla bardzo silnie cztery konieczne warunki wszelkiego przyszłego porozumienia. Dwa z nich dotyczą postawy działaczy opozycji demokratycznej. Nie mogą oni zawierać porozumienia z komunistycznymi władzami ze strachu przed represjami, nie mogą żywić złudnej nadziei, że ustępstwami powstrzymają represje, nie mogą wreszcie zapominać, że komuniści każde takie porozumienie uważają za tymczasowe, a ostatecznym celem jest dla nich likwidacja przeciwnika.

Dwa inne warunki, jak się wydaje kluczowe dla autora, bo wraca do nich w całej książce, to zasada podmiotowości, która nie może podlegać negocjacom i całkowite odrzucenie komunistycznego języka politycznego, którego używanie w porozumieniach politycznych Michnik wyklucza.

Pierwszy z nich, zasada podmiotowości, to uznanie pluralizmu politycznego i społecznego, który polega nie tylko na prawie do wyrażania własnych opinii, ale i na możliwości wspólnych zorganizowanych działań. Jak to podkreśla Michnik - porozumiewać się ze sobą mogą tylko zorganizowane siły społeczne. Nie można kwestionować samego prawa do zrzeszania się, chociaż autor dopuszcza, o ile dobrze rozumiem jego niezbyt jasne sformułowania, możliwość dyskusji na temat sposobów realizacji tej zasady w ramach niezależnych związków zawodowych, samorządnych stowarzyszeń lub innych organizacji.

Jest to sprawa obecnie w Polsce decydująca. Uznania tej zasady władze stale odmawiają, jak tego dowiodły reakcje na podniesienie przez Kościół sprawy stowarzyszeń jesienią 1986. Kolejny raz ujawniło się to przy tworzeniu Społecznej Rady Konsultacyjnej. Zapraszano do niej indywidualnie osoby prywatne, chociażby nawet działali w oficjalnych stowarzyszeniach, do dialogu z jedyną zorganizowaną stroną - władzą. Rządzący Polską cały czas nie chcą uznać, że poza nimi może być inna, druga strona dialogu, a nie tylko pojedynczy ludzie.

Drugi warunek porozumienia według Michnika to odmowa uznania języka politycznego komunistów. Swoje poglądy ilustruje analiza stalinowskich sformułowań w porozumieniu między państwem i Kościołem z roku 1950 i skrótowym omówieniem sprawy "kierowniczej roli partii" w okresie po Sierpniu 1980. W tej ostatniej sprawie uważa on, że Solidarność powinna była zadeklarować uznanie władzy partii komunistycznej, a następnie wazcząc dyskusję na temat form i granic tej władzy, należało natomiast wykluczyć z porozumień mętne sformułowanie o "kierowniczej roli partii".

To piękna idea, mało jednak praktyczna. Używany w porozumieniach język polityczny też był przedmiotem sporu, usiłowanie narzucenia rozmówcy własnego języka zwiększało ostrość konfliktu. Niektóre slogany oficjalnej propagandy zawierały w zawaolowanej formie takie rozszczenia partii komunistycznej, które ani nie mogły być sformułowane w żadnym cywilizowanym języku politycznym, ani "Solidarność" nigdy nie mogłaby się na nie zgodzić. Dobrym przykładem jest tu sprawa kierowania przez władze formalnie niezależnym sądownictwem. Jest to sprzeczne z konstytucją i władze publiczne nigdy nie mogłyby sformułować swego stanowiska a Solidarność nigdy by go nie zaakceptowała. Mimo to w konkretnej sprawie orzeczenia Sądu Najwyższego o rejestracji Solidarności udało się wynegocjować porozumienie, chociaż było to trochę kłopotliwe dla obu stron.

Mam wrażenia, że Michnik żywi przekonanie, iż niejasne sformułowania i nieprecyzyjne uzgodnienia były źródłem dodatkowych konfliktów, których udałooby się uniknąć, gdyby wszystko sobie do końca wyjaśnić. W istocie było na odwrót, stanowiska były jasne, natomiast brak było uzgodnień lub tylko częściowo porozumienia kłajstrowane były nieprecyzyjnymi określeniami. To trwały element normalnego życia politycznego, w którym nie udaje się nigdy wszystkiego raz na

zawsze uzgodnić. W Porozumieniu Gdańskim nie określono terenu, na którym ma ono obowiązywać, bo w tej sprawie nie osiągnięto porozumienia, co potem udało się Solidarności wyinterpretować w sposób korzystny dla siebie. Podobnie było ze sprawą jednego, ogólnokrajowego i ogólnobranżowego związku zawodowego, którego powstanie nie było sprzeczne z tekstem Porozumienia, chociaż władze państwowe uważały, że taka interpretacja była sprzeczna z ich intencjami.

Swoje rozważania o możliwym porozumieniu snuje Michnik w kontekście konkretnych wydarzeń w Polsce. Z jednej strony obawia się on, że wprowadzenie stanu wojennego wykopało przepaść, która wyklucza wszelkie możliwe porozumienie, przynajmniej z obecną ekipą. Z drugiej strony ma nadzieję, że idea porozumienia powróci, może wraz z dojściem do władzy następnej ekipy politycznej po generale Jaruzelskim. Jest wierny idei Porozumień Sierpniowych i chociaż dopuszcza możliwość różnych "małych kroków" i osiągnięcia małych ograniczonych porozumień, to jak pokazuje zakończenie książki odnosi się do nich z niechęcią.

Starałem się tu wiernie streścić myśl autora, która w książce "Takie czasy..." jest wyrażona w języku emocjonalnym i barwnym. Jest to przyjemne w czytaniu lecz czasami prowadzi do pewnych konfuzji. Na przykład na str. 84 Michnik pisze, że dziś w Solidarności nikt nie wierzy w dialog z obecnymi władzami, a na str. 99 uważa za niezbędne przygotowanie wariantu kompromisu z ekipą Jaruzelskiego.

Poglądy autora nie są jednolitym wykładem, lecz sformułowane na tle różnorodnych rozważań i wielu emocjonalnych polemik. Wyróżniają się tu: precyzyjna i dobrze napisana analiza funkcjonowania aparatu władzy między sierpniem '80 a grudniem '81, dwa dość kontrowersyjne rozdziały poświęcone Kościółowi oraz ocena Solidarności przed i po 13 grudnia. Rozważania o działaniach Związku po wprowadzeniu stanu wojennego są dość blade, nie jest to zresztą żaden poważny zarzut wobec autora, który prawie cały ten czas spędził w więzieniu. Jest tam jedna istotna a rzadko podnoszona sprawa niezbyt zresztą rozwinięta przez Michnika - degeneracja ruchu związkowego wywołana przez konspirację.

Dla mnie osobiście najciekawszymi fragmentami i może najbardziej kontrowersyjnymi były refleksje na temat szesnastu miesięcy legalnego działania Solidarności. Michnik skorzystał tu z przyjętej przez siebie na początku formuły - książka jest osobistym świadectwem, a nie obiektywną analizą - i dokonał perspektywicznego skrótu. Ograniczył się do rozważania działań kierownictwa Związku, a przy ocenie różnic poglądów w Solidarności - do omówienia zachowań "korowców" i "ekspertów".

Spowodowało to poważną deformację obrazu Związku. W obrazie tym zabrakło żywiłowego ruchu mas widocznego szczególnie w pierwszym okresie działania Solidarności, aktywności komisji zakładowych działających w dużym stopniu niezależnie od centralnych struktur Związku, buntu prowincji przeciw Warszawie, który był bardzo widoczny w tym czasie. Podmiotowość mas została w "Takich czasach..." zredukowana do podmiotowości kierownictwa Związku.

Z drugiej strony po kilku miesiącach nastąpił naturalny proces spadku aktywności mas. Równocześnie powoli wyłaniała się nowa grupa działaczy Solidarności, bez doświadczenia społecznego i politycznego, którzy często nie umieli sformułować swoich poglądów i swojego oburzenia moralnego /na zło które ich otaczało/ w języku programu politycznego. Sformułowań dostarczali polityczni intelektualni skupieni wokół Solidarności.

W związkowych wyborach czasami zwyciężali ci, którzy najgłośniej krzyczyli, ci których wypowiedzi były najbardziej radykalne. Często nie zauważono tego, że otrzymywali oni mandat wyborców na wykrzyczenie rządowi całego oburzenia społeczeństwa, a nie na radykal-

ne działania. Często nie zauważono, że wybrano też wielu działaczy umiarkowanych, że radykalizm wypowiedzi był spowodowany niską kulturą polityczną, że radykalizm ten wyrażał niezadowolone i na ogół nie prowadził w konsekwencji do radykalnych działań.

Na jesieni 1981 rosnącej apatii członków Solidarności, co pokazywały wszystkie ankiety, towarzyszyła radykalizacja działaczy Związku sfrustrowanych obraźliwą propagandą i niemożnością załatwienia czegokolwiek z władzami, oraz przekonanych o konieczności szybkiego rozwiązania zasadniczych problemów Polski.

Z tego skomplikowanego obrazu w książce Michnika widoczna jest zdecydowana krytyka niektórych przejawów niezadowolenia, takich jak strajki branżowe, manifestacje uliczne i hasła antyrządzieckie oraz podobnie ostra krytyka "nowych radykałów", radykalnych działaczy Solidarności wyionizowanych z wyborów, skłonnych do skrajnych wypowiedzi, lecz niezdołnych do radykalnych działań z powodu braku doświadczenia politycznego. Krytyczna ocena tego radykalizmu dokonana przez Michnika jest dla mnie dość przekonująca, lecz nie mogę zgodzić się z oceną przyczyn. Autor podtrzymuje nadal zupełnie fałszywy mit o narastającej radykalizacji mas. Nie ma to żadnych podstaw, jak pokazał okres po 13 grudnia, radykalizowali się wtedy wyłącznie działacze Solidarności przekonani, że innej drogi nie ma.

Jego ocena stanu społecznego na jesieni 1981 prowadzi do takiego obrazu postawy kierownictwa Solidarności, który jest dla mnie zupełnie absurdalny. Na str. 44 pisze on: "Uważam, że w tej sytuacji Komisja Krajowa postąpiła słusznie decydując się na konflikt. Dzięki temu dziś, po czterdziestu miesiącach, istnieje Solidarność, a nie jej karykatura kierowana przez policyjną agenturę".

Zupełnie nie rozumiem, o czym pisze autor. Od roku 1981 jest dla mnie oczywiste, że to władze zdecydowały się na użycie siły, a Solidarność została tym całkowicie zaskoczona. Może autorowi chodzi o buńczuczne przemówienia i radykalne uchwały z ostatniego posiedzenia Komisji Krajowej? Moim zdaniem były głupie, ale pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Niemożliwe przecież żeby uważał, że gdyby tych uchwał nie podjęto, to stan wojenny nie zostałby wprowadzony. Możliwe, iż uważa, że wystarczyłoby się zgodzić na wejście do Frontu Porozumienia Narodowego projektowanego przez Jaruzelskiego, by uniknąć stanu wojennego. Dlaczego jednak wejście do fasadowego FPN, bez żadnych zobowiązań, miałoby doprowadzić do przekształcenia Związku w kierowany przez policję? To jedno z ważniejszych miejsc książki i jedno z bardziej niejasnych.

Rozważaniu sensu tych wydarzeń towarzyszy opis poglądów ich bohaterów. Ograniczenie się do "korowców" i "ekspertów" ma taki sens, że grupy te miały poglądy polityczne najbardziej sprecyzowane z uwagi na swoje doświadczenia polityczne, były też najbardziej wpływowe. Jednak taki opis jest nadmierne uproszczony, moim zdaniem. Już same nazwy wprowadzają w błąd, chociaż z oczywiście nie Michnik ich użył pierwszy. Nie wszyscy członkowie KSS "KOR" byli "korowcami" w znaczeniu przyjętym w książce Michnika, czyli ludźmi skupionymi wokół Jacka Kuronia, Andrzeja Gwiazdy i Karola Modzelewskiego. Nie wszyscy też eksperci NSZZ Solidarność byli "ekspertami", czyli ludźmi blisko współpracującymi z Bronisławem Geremekiem i Tadeuszem Mazowieckim.

Pisząc o różnicach poglądów autor stara się je równocześnie konsekwentnie pomniejszyć posuwając się nawet do dość wątpliwego publicystycznie chwytu mieszania ich nazwisk i przedstawiania ówczesnych antagonistów jako wspólnych przedstawicieli jednej postawy. Obraz staje się przez to niezbyt jasny. Michnik podkreśla realizm łączący obie apierające się w Solidarności strony, uznanie przez nie konieczności zachowania sojuszu z ZSRR i uznanie władzy partii komunistycznej w kraju. Przyznaje jednak, że już od początku eksperci chcieli

skoncentrować się na zagospodarowaniu zdobytej wolności, a Jacek Kuron uważał za konieczną walkę o dalsze zmiany polityczne.

Później te różnice pogłębiły się. Następowała radykalizacja "kolorowców", która doprowadziła do tego, że wielu z przyjaciół Adama Michnika uważało za możliwe obalenie partii komunistycznej w Polsce bez prowokowania interwencji radzieckiej /str. 78/. Jak autor pisze, groźba radzieckich czołgów przestawała funkcjonować /str. 35/, chociaż nie rozwija tego tematu. Tylko w jednym miejscu i to przez pewną analogię wspomina o koncepcji Jacka Kuronia pokojowego odsunięcia komunistów od władzy w kilku etapach /str. 43/; miało temu służyć doprowadzenie do rządu fachowców, a następnie doprowadzenie do wolnych wyborów, które w oczywisty sposób zmiotłyby partię komunistyczną z polskiej sceny politycznej.

Michnik pisze, że tych poglądów swoich politycznych przyjaciół nie podzielał. Z obecnej perspektywy trudno je uznać za realistyczne i autor stara się je raczej wytłumaczyć ówczesnym przekonaniem, że innego wyjścia nie ma. W tym rozumieniu to dość zasadniczej sprawy. Autor przy omawianiu konfliktu bydgoskiego bardzo silnie podkreśla olbrzymie znaczenie tych ośmiu miesięcy od marca 81 do grudnia 81, jakie zyskało dzięki Porozumieniu Warszawskiemu. Docenia, jakie to miało, znaczenie dla społeczeństwa. Równocześnie też uważa, że to Komisja Krajowa świadomie zaryzykowała konflikt w grudniu 81, popiera to stanowisko. Dlaczego jednak w tym przypadku zupełnie nie bierze pod uwagę korzyści z dalszego odrzucania konfrontacji?

Drugim istotnym wątkiem będącym wtedy i obecnie przedmiotem niepokoju Michnika jest sprawa funkcjonowania demokracji wewnątrzpartyjnej. Autor podkreśla swoje bardzo poważne obawy z tym związane. Prawdą jest, że przy wyborach w Solidarności było dużo demagogii, były też problemy z tolerancją wobec mniejszości, można się było obawiać, jak to się rozwine w przyszłości. Jednak w danym momencie sprawy nie przyjęły takiego obrotu, który by usprawiedliwił ostrość sformułowania Bogdana Borusewicza z "Konspiry", popartego przez Michnika w "Takich czasach...", o narastaniu nastrojów totalitarnych w Solidarności.

W danym konkretnym momencie krytyka braku demokracji była dość demagogiczna z innego powodu. Faktycznie krytyka ta była skierowana przeciw Wałęsie. Michnik pisząc o jego zachowaniu używa takich słów jak sułtan, feudalny monarcha czy współczesny guru /str. 39 i 43/. Rzeczywiście, Wałęsa ma dość autokratyczny sposób bycia, bardzo charakterystyczny dla wielu robotniczych przywódców całkiem demokratycznych związków zawodowych Zachodniej Europy. Nie ma to nic wspólnego z brakiem demokracji w jakiegokolwiek organizacji. W szczerym sercu chodziło o wybór między dwoma formami władzy demokratycznej w danej organizacji: prezydencką i parlamentarną. Krytycy chcieli skupić maksimum uprawnień do bezpośredniego kierowania Związkiem w kolektywnym kierownictwie - Komisji Krajowej. Z jednej strony była to mało realna utopia. KK była zbyt duża, by efektywnie działać. Z drugiej strony prowadziło to do pewnego przesunięcia wpływów - było w niej wielu zdecydowanych krytyków Wałęsy.

Michnik bardzo krytycznie ocenił swoje wypowiedzi o Wałęsie sprzed 13 grudnia, podobnie zresztą jak inne swoje ówczesne poglądy, jednak jego argumentacja nie jest dla mnie zbyt zadowalająca. Twierdzi on mianowicie, że teraz Wałęsa nie ma faktycznej władzy w Solidarności, jest tylko symbolem i dlatego ówczesna krytyka jest dziś bez sensu /str. 40/. Czyżby więc jego krytyka znów stała się ważna, gdyby warunki wróciły niespodziewanie do sytuacji przedgrudniowej? To oznaczałoby, że to nie autor zmienił poglądy, tylko zmieniła się sytuacja polityczna.

W książce poruszono wiele kontrowersyjnych kwestii, które dzie-

liży wtedy działaczy Solidarności. Michnik uczynił to jednak w bardzo kulturalnym języku, starając się nie dotknąć swoimi wypowiedziami krytykowanych osób. Na ogół autor jest bardzo dyplomatyczny w swoich wypowiedziach, często trzeba się domyślać o co mu chodzi, czasami tylko pośrednio zaznacza dane stanowisko. Raczej jest zbyt wstrzemięźliwy niż dosadny.

W jednym wszakże miejscu spadł wyraźnie poniżej swego normalnego poziomu i przedstawił plotkarską wersję historii w sposób bardzo rażący. Omawiając początki sporu między "ekspertami" i "korowcami", zaraz po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego, opisał wypowiedź "chobrobliwego inteligenta" oznaczonego przez niego inicjałami K.W., który miał poinformować nawzajem obie strony o działaniach drugiej: Mazowiecki podobno chciał założyć partię chadecką, a Kuroń podobno chciał dokonać zamachu stanu w gdańskim MKZ.

Ten fragment razi poczucie dobrego smaku. Autor przedstawił to bowiem jako plotkę pozbawioną większego znaczenia. Jeżeli to nie ma znaczenia, czemu o tym pisać? Przecież wiadomo, że duża część czytelników uzna to za "przeciek" zza kulis wydarzeń. Jeżeli to prawda, to czemu pisać o tym w takiej plotkarskiej konwencji.

Wiadomo przecież, i autor o tym pisze, o rozbieżnościach w trakcie strajku w Stoczni Gdańskiej między Wałęsą i "ekspertami" z jednej strony oraz Gwiazdą i innymi "korowcami" z drugiej. Jest przecież normalne, że różnice poglądów często prowadzą do zmian personalnych, tak też było w Solidarności. W tej chwili pamiętam zmiany przewodniczących MKZ z Wrocławia, Krakowa, Jastrzębia, Lublina i Olaszyna. Było ich więcej.

Z drugiej strony założenie organizacji politycznej jest dość oczywistą konsekwencją otwarcia politycznego wywołanego strajkami z lata 1980 i w ciągu następnego roku wiele osób wychodziło z takimi inicjatywami. W jednej z nich brał także udział Adam Michnik. Nie widzę nic niezwykłego w tym, że ktoś chciałby to zrobić kilka miesięcy wcześniej, chociaż przeczy to wypowiedziom autora o braku koncepcji działania "ekspertów".

Skomentowałem szerzej ten nieszczęsny fragment dlatego, że rozstrzygał się w tym samym czasie inny ważny, a zupełnie pominięty w publicystyce problem: w jakiej formie realizować porozumienia sierpniowe? Powstanie Solidarności było tylko jedną z możliwości, inna to utworzenie wielu związków i równoległe tworzenie organizacji bardziej politycznych. W plotce powtarzanej przez Michnika są tego ślady, jako fakt społeczny taka koncepcja nie zaistniała. Są jednak relacje o sceptycyzmie Wałęsy i ekspertów wobec koncepcji jednego krajowego superzwiązku. Wadą takiej superorganizacji było to, że samo jej istnienie podważało legitymizację dotychczasowej władzy. Komisja Krajowa miała w oczywisty sposób więcej praw do występowania w imieniu społeczeństwa niż niepopularny i niewybrany przez nie rząd. Ta sytuacja czyniła katastrofę nieuniknioną lub przynajmniej bardzo prawdopodobną.

W ogóle jeżeli chodzi o "ekspertów", to Michnik w słowach pełnych szacunku wyraźnie redukuje ich znaczenie do jednej roli - do brych i skutecznych negocjatorów z rządem. Jest to dość zaskakujące, bo właśnie to było głównym przedmiotem zarzutów wobec "ekspertów" w okresie szesnastu miesięcy. Autor podkreśla, że byli mniej radykalni i zdeterminowani niż "korowcy", brakowało im docelowej wizji, nie mieli też wizji antytotalitytarnych przeobrażeń społeczeństwa, uważa nawet, że "eksperci" nie mieli "żadnej wizji podmiotowego społeczeństwa w totalitarnym państwie i żadnego wyobrażenia o mechanizmach upodmiotowienia" /str. 34/, co jest dość dziwne, gdy przypomnę, że mowa jest między innymi o Mazowieckim, którego artykuły przez lata upowszechniały samo pojęcie upodmiotowienia społeczeństwa.

Podobne zarzuty braku wizji, braku jasnego programu reform Michnik formułuje wobec zwolenników reform w partii, których słabość widzi, lecz ich istnienia nie neguje. Takie sformułowania brzmią dość niesprawiedliwie, lecz można je dointerpretować bardziej rzeczowo. Umiarkowani obu stron, zarówno z Solidarności, jak i z partii mieli swoje wizje, może nawet miały one pewną część wspólną. Moim zdaniem było to przekonanie, że po Porozumieniu Gdańskim czeka nas długi, żmudny i trudny okres upowszechniania zarówno w elicie władzy jak i wśród działaczy Solidarności, w całym społeczeństwie, kultury politycznej opartej o umiejętność osiągania kompromisów, nawet bardzo niezadowolających, o pewną decentralizację konfliktów i o niekorzystanie w tych konfliktach z wszystkich dostępnych środków, czyli o unikanie eskalacji.

Proces formowania się takiej kultury życia publicznego musiały być długotrwałe, żadne porozumienia wymuszane strajkami nie mogły go przyspieszyć i oczywiście taka wizja zachowana była głęboko obca zarówno działaczom Solidarności, ukształtowanym przez zwycięskie strajki, jak i aparatowi partyjnemu, ukształtowanemu przez dziesięć lat dotychczasowych rządów. Dla nich wszystkich taka koncepcja była błada i słabo przekonująca.

Solidarność dla Adama Michnika była realizacją korowskiej wizji, antytotalitytarnych przeobrażeń, wymarzonego dzieckiem KSS "KOR". Autor pisze nawet o ojcowskiej dumie "korowców". Wiele osób będzie pewno uważało, że rola i wpływ KSS "KOR" w powstającej Solidarności zostały przecenione przez Michnika. Jednak autor zaangażowany w to osobicie nie pozostaje tak zupełnie bez racji. Nowo powstający ruch związkowy, zbuntowany przeciw rzeczywistości władz komunistycznych, poszukiwał gorączkowo doświadczeń i wzorców działania, na których mógłby się oprzeć. Opozycja przedsierpniowa, a głównie KSS "KOR", była tym podstawowym źródłem doświadczeń politycznych, także dla tych, którzy "korowców" zwalczali w Solidarności z pobudek politycznych. Doświadczenie polityczne "ekspertów" było znacznie mniej interesujące i wydawało się odleglejsze od problemów Związku.

Doświadczenie przedsierpniowej opozycji było doświadczeniem dysydentów, nielicznych grup przeciwstawiających się potężnej władzy. Tak widzieli się też działacze powstającej Solidarności. Dla dysydentów najważniejszymi zasadami, na których się opierali, były:

- moralizm, poddawanie wszystkiego ocenie moralnej i radykalny osąd zła społecznego;
- aktywizm: żeby przetrwać należało stale być aktywnym, za wszelką cenę;
- niezależność od władzy, co wyrażało się w robieniu swego niezależnie od takiej czy innej postawy władz.

Solidarność odziedziczyła te wszystkie cechy. Jednak w wielomilionowej organizacji nie były już one tylko zaletami. Miały swe poważne negatywne konsekwencje.

Państwo jest taką przymusową wspólnotą, do której należą czerwoni i zieloni, złodzieje i prostytutki, ludzie o różnej wrażliwości moralnej i różnych poglądach politycznych. Kompromisy polityczne nie są nigdy kryształowo czyste moralnie. Są zawsze w pewnym stopniu zgodą na zło. Masowy ruch polityczny musi umieć czekać, jeżeli nie może wygrać, musi starać się zmniejszyć konsekwencje własnej klęski, czasami musi umieć pozostać bierny wobec spraw, których załatwić się nie da. Niezależność przed Sierpniem 1980 oznaczała budowanie marginesu społecznego, na którym zrealizuje się niektóre z poważnie łamanych swobód. Margines, który obejmuje większość społeczeństwa przestaje być marginesem, musi się umieć porozumieć z resztą i lepiej mówić o współzależności. Oznaczałoby to poddanie się pewnemu wpływowi władzy w zamian za wpływ na władzę.

Przeciw temu wszystkiemu buntowała się dysydencka, odziedziczona po przedsiębiorniwej opozycji, dusza Solidarności. Mówiąc inaczej, bez doświadczenia społecznego działaczy przedsiębiorniwej opozycji i czytelników jej prasy nie byłoby w ogóle nowego ruchu związkowego. Jednak to doświadczenie na dłuższą metę było nieadekwatne do nowej sytuacji i korzystanie z niego przynosiło także szkody. Doświadczenie polityczne "ekspertów" było inne, zupełnie niezrozumiałe i lekceważone w Solidarności, sprzeczne z doświadczeniem zwycięskich strajków z lata 1980. Dopiero 13 grudnia 1981 gen. Jaruzelski wzbogacił wiedzę działaczy Solidarności o nowe doświadczenia polityczne. Sytuacja zresztą skomplikowała się przez to, że właśnie po grudniu doświadczenie dysydenckie było szczególnie potrzebne i to ono pomogło trwać dalej Solidarności.

Adam Michnik jest dysydentem całym swym sercem. Na początku tego tekstu z pewną dozą ironii zamieściłem jego deklarację o wstręcie do polityki, myślę bowiem, że polityka jest jedyną wielką miłością jego życia. Jednak jest to polityka oceniana przez dysydenta, a świadectwem tego jest cała ta książka. Gdy pisze on o zasadach uprawiania realistycznej polityki, gdy analizuje mechanizmy polityczne zgadzam się z nim łatwo. Jednak gdy wyciąga wnioski polityczne w konkretnych sytuacjach politycznych, z reguły budzi to mój sprzeciw, bo te wnioski wyciąga nie polityk, lecz dysydent.

Ilustruje to dobrze zakończenie książki. Michnik zajmuje się tu możliwością ewolucji sytuacji politycznej w Polsce przez kolejne małe kroki, przez małe porozumienia niewielkich grup z władzami. W teorii Michnik popiera, czy przynajmniej dopuszcza taką koncepcję. W praktyce odnosi się do niej niechętnie: "Jeśli wszakże nam, ludziom 'Solidarności', zaproponują w tym ogrodzie zoologicznym własną klatkę czy osobny wybieg, to odpowiemy ze spokojnym przekonaniem - bawcie się sami."

Jeżeli ten cytat odnieść tylko do poprzedzającego go zdania, to chodzi tu wyłącznie o wchodzenie do Sejmu i podzielał niechętny do tego stosunek autora, chociaż użyłbym bardziej politycznych argumentów. Jeżeli jednak jest to wyraz ogólnej niechęci do zawierania ograniczonych porozumień z władzami to powiem: mamy jedno wspólne podwórko, musimy się bawić razem, chodzi tylko o to, w jaki sposób. W obu przypadkach dowcipna i inteligentna pointa Michnika jest odpowiedzią dysydenta, która nie wyjaśnia do końca jego poglądów i prześlizguje się trochę obok sedna zagadnienia.

Podobnie jak większość rozważań tej książki, które urywają się często w najciekawszych momentach - niedokończone.

Tadeusz Taski

Wrzesień - Grudzień 1986.

SB w dialogu

"Decyzji o zwolnieniu /więźniów politycznych/ towarzyszyła szeroka akcja ujawniania i rozwiązywania nielegalnych grup i struktur bez stosowania represji karnych, którą przeprowadziła Służba Bezpieczeństwa MSW w dniu 11 września. /.../Do rozmów wytypowano większość aktywistów nielegalnych ugrupowań znanych Służbie Bezpieczeństwa. /.../Akcją objęto 281 grup i struktur. Przeprowadzono ponad 3 tysiące rozmów. W ich wyniku przeważnie deklarowano natychmiastową i konsekwentną rezygnację z nielegalnej działalności" /z wywiadu gen. Czesława Kiszczaka dla PAP, 12 IX 1986 r./.

"Z przykrością stwierdzamy, że zapomniano o nas przy likwidacji podziemia", poskarżyła się 21 września "Solidarność Podbeskidzia". "Odpukać, ale i my też się nie załapaliśmy", dodawał "Tygodnik Mazowski" /nr 181/. Można też było przypuszczać, że co najmniej w niektórych przypadkach "ujawnianie i rozwiązywanie" nie będzie w pełni skuteczne; że np. nie powiedzie się próba "destrukcji" Stefana Kisielewskiego. Po upływie czterech miesięcy można już z całą pewnością stwierdzić, że "czarny czwartek" 11 września '86 nie spowodował likwidacji żadnej ważniejszej instytucji podziemnej.

Mimo to nie lekceważyłbym akcji 3 tysięcy rozmów. Ta akcja policyjna stanowiła właściwy, a w atmosferze powszechnej euforii przezapłony, kontekst polityczny amnestii. Jakkolwiek bowiem w poszczególnych przypadkach wyglądały owe rozmowy, elegancko czy brutalnie, zaświadczyły o jednym: w dalszym ciągu władza deleguje SB jako jedynego reprezentanta do rozmów ze społeczeństwem.

Po wszystkich gestach, deklaracjach, "otwarciach" i odpowiedziach z obu stron w ciągu jesieni, SB ponowiła, choć na wiele już mniejszą skalę, akcję "ujawniania i rozwiązywania". W połowie grudnia najbardziej znani działacze opozycyjni zostali wezwani na rozmowy ostrzegawcze i nakłaniania do skorzystania z przepisów ustawy z 17 lipca '86 "o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw". Bez złośliwości: były to jedyne rozmowy z władzą, jakie im się ostatnio zdarzyły...

Amnestia

12 września ub.r. gen. Czesław Kiszczak ogłosił decyzję zwolnienia do 15 września wszystkich "skazanych i aresztowanych za przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu i porządkowi publicznemu" z wyjątkiem tych, na których "ciążą zarzuty o szpiegostwo, sabotaż, terroryzm lub zdradę tajemnicy państwowej". W komunikacie podkreślono funkcję Kiszczaka jako przewodniczącego rządowego Komitetu ds. Przetwarzania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej a nie ministra spraw wewnętrznych, niemniej ani jednego, ani drugiego stanowiska prawo nie wyposaża w moc ogłaszania amnestii.

17 lipca ub.r. Sejm uchwalił ustawę "o szczególnym postępowaniu

wobec sprawców niektórych przestępstw" tak sformułowaną, żeby na jej podstawie można było zwolnić każdego więźnia, ale też każdego w więzieniu zatrzymać. Formalnie decyzję powierzone prokuratorom i sądom, faktycznie jednak podejmowała je przede wszystkim SB, pozostawiając "organom sprawiedliwości" uzasadnienie postanowień.

"Szczególne postępowanie" zastosowano wobec 115 więźniów; m.in. Bogdana Lisa /zwolnionego 31 lipca/ i Adama Michnika /zwolnionego 11 sierpnia/, jednak kryteria wyboru utrzymywano w tajemnicy i np. trzeci skazany w procesie gdańskim Władysław Frasyniuk siedział do 12. września.

Polecenie Kiszczaka zastosowano - wobec większości jeszcze tego samego dnia 12 IX - do 110 osób. Razem amnestią objęto 225 politycznych. Rychło okazało się, że to nie wszyscy. Po demonstracjach grupy Wolność i Pokój zwolniono Wojciecha Jankowskiego /6 X/ i Jarosława Nakielskiego /20 X/, więzionych za odmowę służby wojskowej. Skazanym w "sprawie sierż. Karosa" ks. Sylwestra Zycha i Stanisława Matejczuka wypuszczono 10 X. 20 X zwolniono ostatniego z więźniów z Lubina, oskarżonych o działalność terrorystyczną. Żadnej z tych osób nie doliczono do liczby amnestionowanych /tę podaje się stale taką samą - 225/, nie powoływano się także w uzasadnieniach zwolnień na decyzję z 11 września /np. w sprawie Nakielskiego: "ustały przyczyny uzasadniające zatrzymanie w areszcie"/.

Nadal nie wszyscy więźniowie, uznawani przez opinię publiczną za politycznych, opuścili więzienia. W końcu grudnia pozostawało za kratami około 20 osób tej kategorii /m.in. 9 z Krakowa i 3 z okolic Łodzi - pod zarzutem uprawiania terroryzmu, 2 z Krakowa pod zarzutem sabotażu, 2 z Gdańska za "zdradę tajemnic państwowych", 1 z Puław - za malwersację, ponadto dwóch skazanych za zabójstwo sierż. MO Karosa/ i nieznaną liczbą /bardzo rozbieżne dane z różnych źródeł/ świadków Jehowy więzionych za odmowę służby wojskowej.

Według danych opublikowanych przez władze /które nie posługują się nazwą "amnestia", decyzję z 11 września określają jako "akt humanitarny"/ z ustawy z 17 lipca '86 skorzystało 71,5 tys. osób, 15 tysięcy zwolniono z więzienia. Ujawniło się 575 działaczy podziemia, wobec 278 umorzono śledztwa.

Opinie o amnestii

Wracających z więzień witaliśmy euforycznie. Niemal jednomyślnie zwolnienie więźniów politycznych oceniono jako bardzo ważne wydarzenie. Różnicowanie dotyczyło politycznych następstw tego aktu i potrzeby reakcji ze strony opozycji.

"Decyzja ta spotkała się z wyrazami poparcia ze strony wielu środowisk społecznych w kraju i za granicą; poparcia, zadowolenia. Pragnę dołączyć się również do tych wyrazów poparcia. Ufam, że wprowadzona w życie amnestia stanie się początkiem autentycznego dialogu ze społeczeństwem, do którego tak często wzywa Episkopat Polski, a także osoby, środowiska, którym leży na sercu dobro wspólnej Ojczyzny" - Jan Paweł II.

"Episkopat Polski przyjął z zadowoleniem informację przekazaną w dniu 11 września przez ministra spraw wewnętrznych, że do dnia 15 września br. będą zwolnieni wszyscy więźniowie polityczni. Decyzja ta, postulowana wielokrotnie przez przedstawicieli Kościoła oraz oczekiwana przez szerokie kręgi społeczeństwa, daje szansę zamknięcia bolesnego okresu naszych dziejów. Można żywić nadzieję, że powstaną nowe warunki do kształtowania prawdziwego porozumienia narodowego" - Biuro Prasowe Episkopatu Polski.

"Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ "Solidarność" przyjęła decyzję władz PRL o uwolnieniu więźniów politycznych ze zrozumiałym

zadowoleniem. Z radością witamy na wolności naszych przyjaciół i kolegów. /.../Zwracamy uwagę opinii krajowej i zagranicznej, że w więzieniach PRL pozostaje nadal z przyczyn politycznych kilkadziesiąt osób. /.../Uwolnienie więźniów politycznych oznacza spełnienie jednego z głównych postulatów stawianych przez Związek od grudnia 1981 roku. Samo uwolnienie więźniów nie usuwa jednak przyczyn napięć społecznych i upadku kraju. Nie daje gwarancji korzystnych dla Polski zmian gospodarczych i społecznych".

"To niewątpliwie najdonioślejsze wydarzenie polityczne w naszym kraju w ostatnich paru latach. /.../Tak szeroka amnestia, najszersza w całej powojennej historii Polski - jeśli nie liczyć tej z roku 1956 - stwarza też nową, budzącą nadzieje sytuację społeczną i polityczną. /.../Niezbędne jest stworzenie szerokiej możliwości legalnego działania na różnych polach zawodowych i społecznych wszystkim, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, przekonań ideowych, dotychczasowej drogi życiowej. /.../Byłoby ogromną szkoda, gdyby szanse te, jak to niestety nieraz w naszych dziejach bywało, zostały zaprzeczane" - z artykułu redakcyjnego w "Tygodniku Powszechnym".

"Zwolnienie wszystkich więźniów politycznych musi budzić we wszystkich Polakach uczucie radości. Zwolnienie to nie powinno jednak być traktowane jako akt łaski, za który należy być wdzięcznym władzy. Trzeba natomiast widzieć w nim zwycięstwo wszystkich tych sił, które w kraju i za granicą wywierały naciski w tym kierunku. /.../Przyczyny, które zaprowadziły działaczy podziemia do więzienia nie przestały, jak dotąd, istnieć. Władza nie wystąpiła nawet z żadnym programem reform instytucjonalnych. /.../Aktualne pozostaje domaganie się pluralizmu - w szczególności związkowego. /.../Rzeczą w najwyższym stopniu szkodliwą byłoby wycofanie się z obszarów niezależności, wywalczonych w ciągu minionych dziesięciu lat" - z artykułu redakcyjnego "Kultury".

"W więzieniach PRL w dalszym ciągu przebywają więźniowie polityczni. /.../Tymczasowa Rada NSZZ "S" i inni reprezentanci polskiej opinii, usatysfakcjonowani niepełną amnestią, występują z kolejną inicjatywą porozumienia z komunistami /.../. Oświadczamy, że LDP "N" nadal prowadzi walkę w konspiracji" - Rada Polityczna Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość".

Rada

"Przeszkody utrudniające dialog znajdują się po jednej i po drugiej stronie. Nie rezygnując z tego, co stanowi o realizacji ideałów "Solidarności" jesteśmy skłonni przystąpić do likwidowania tych przeszkód, które w świadomości władz funkcjonują jako bariery wzniesione przez "Solidarność". /.../Uważamy, że przywrócenie pluralizmu związkowego i pluralizmu stowarzyszeń społecznych, umożliwienie zepchniętej w niejawność "Solidarności" działania w zakładach pracy - jest sprawą, której nie można ominąć, jeśli naprawdę chce się poprawy sytuacji kraju. /.../Wielokrotnie powtarzałem, że nie chcemy konspirować. Trzeba wypracować i uzgodnić nowy model działalności, jawnej i legalnej. /.../W tym celu powołuje Tymczasową Radę NSZZ "Solidarność" w składzie: Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Tadeusz Jedynak, Bogdan Lis, Janusz Paubicki, Józef Pinior" - oświadczenie Lecha Wałęsy z 29 IX 1986 r.

"Decyzja uwolnienia więźniów politycznych jest faktem ważnym. Stwarza ona szansę zmiany klimatu społecznego w kraju. /.../Pójść za nią powinny niezwłocznie także rozwiązania w sferze polskiego życia publicznego, które odblokują stosunki między władzą a społeczeństwem. /.../Polska znajduje się w stanie najwyższego zagrożenia gospodarczego i ekologicznego, które prowadzi do cywilizacyjnej degradacji na-

szego kraju, o trwałość państwa, o tożsamość narodową. /.../Dostrzegamy w ogłoszonych przez władzę zapowiadaniach reform instytucjonalnych świadomość faktu, że obecna sytuacja nie daje możliwości głosu wielkim grupom społecznym, że pluralizm polskiego społeczeństwa nie znajduje wyrazu w organizacji życia publicznego, że prawa obywatelskie wymagają obrony. /.../Społeczeństwo powinno uzyskać możliwość mówienia własnym głosem oraz prawo do niezależnego zrzeszania się. Dialog wymaga instytucjonalizacji, ale nie fasadowej. Oznacza to przyjęcie zasady niezależności i reprezentatywności wszelkich ciał społecznych. /.../Propozycje te wynikają z troski o kraj. /.../Są w dziejach narodu takie momenty, kiedy trzeba wykroczyć poza wewnętrzne podziały, wrogości i urazy, bo wymaga tego dobro nadrzędne - z wspólnego oświadczenia Lecha Wałęsy i Tymczasowej Rady NSZZ "Solidarność".

"Rada to kolejna nielegalna struktura. Było ich wiele. Zanikały lub były likwidowane zgodnie z prawem. /.../Tak samo jak nie przywołuje się do życia publicznego czolowych osób sprzed 1980 roku, które doprowadziły Polskę do ekonomicznego i politycznego kryzysu, tak samo nie mają szansa odegrania jeszcze raz swojej złej roli gwiazdy 1981 roku - ci, którzy kryzys pogłębili i nadali mu dramatyczny wymiar. /.../Jeżeli garstka ekstremistów wymusi dziś lub w przyszłości rygorystyczne stosowanie wobec nich prawa, niechaj już nikt - ani PRON, ani Kościół - nie wzywa do nowych aktów humanitaryzmu. /.../Cała odpowiedzialność spadnie na drugą stronę" - oświadczenie rzecznika prasowego rządu min. Jerzego Urbana z 6 X 1986 r.

Próba jawności, próba podziemia

30 września RKW Mazowsza rozpoczęła jawną działalność; na konferencji prasowej Zbigniew Bujak powiedział: "Powołanie Tymczasowej Rady "Solidarności" otwiera dla Związku - do tej pory działającego w specyficzny sposób - przedstawicieli jego władz musieli się ukrywać - nowy etap. Kierownictwo Związku poczyna działać jawnie".

30 września powstała w Koninie Tymczasowa Rada Regionalna. 5 X - w Opolu i w Jeleniej Górze. 7 X zawiązała się Tymczasowa Rada Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. 8 X wznowiło jawną działalność Prezydium Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej. 9 X ukonstytuowała się Tymczasowa Rada Regionu Środkowo-Wschodniego w Lublinie. 12 X - Rada Regionu Świętokrzyskiego. 13 X - TR Ziemi Radomskiej. 16 X - TR "Solidarności" w Pile. 19 X - w Gorzowie Wielkopolskim. 22 X - Wielkopolska Rada "Solidarności" /która wchłonęła TR zawiązaną tydzień wcześniej w Pile/. Ogłosiły o powstaniu /lub o wznowieniu działalności w składzie "przedgrudniowym"/ komisje zakładowe m.in. Huty im. Lenina w Krakowie i Portu Gdańskiego...

Ewentualność ujawnienia zaczęły rozważać także niektóre struktury podziemne dysponujące sprzętem i majątkiem związkowym.

12 października odbyło się posiedzenie TKK z udziałem Lecha Wałęsy oraz przechodzącymi do jawnego życia dotychczasowymi członkami TKK Janem Andrzejem Górnym i Markiem Muszyńskim. "Omówiono obecną sytuację w kraju i związaną z tym sytuację Związku. Zgodnie ustalono, że ostatnie wydarzenia nie dają podstawy do zasadniczej zmiany niejawnej formuły działania Związku, który okazała się jedynie możliwa i skuteczna w warunkach powstałych po 13 grudnia i mimo pewnych przeszkążeń trwających nadal. /.../Stwierdzono, że fala ostatnich wydarzeń politycznych w Polsce wywołuje wiele zamieszania i nieporozumień wśród członków i sympatyków NSZZ "S". /.../Bieżącą działalnością Związku kieruje TKK /.../. TKK realizuje swoje zadania w ścisłej współpracy i porozumieniu z Przewodniczącym NSZZ "S" Lechem Wałęsą. /.../ Kierownictwo organizacji regionalnych NSZZ "S" spoczywa w rękach Re-

gionalnych Komisji Wykonawczych/.../. Podstawowymi ogniwami NSZZ "S" są struktury zakładowe kierowane przez Tajne Komisje Zakładowe /.../. W obecnej sytuacji należy raz jeszcze z całą mocą podkreślić konieczność zachowania tajnej struktury działania/.../. W ostatnim okresie mamy do czynienia z próbami rozszerzenia formuły działania Związku poprzez jawne wystąpienia grup działaczy NSZZ "S"/.../. TRK podkreśla konieczność zachowania wymogów bezpieczeństwa i ochrony podziemnego potencjału ludzkiego i bazy materialnej, która decyduje o rzeczywistej sile i znaczeniu naszego Związku".

/Enigmatyczne sformułowanie o zamieszaniu i nieporozumieniach w szeregach uzupełnijmy o jedną choćby uwagę. Tak jak oświadczenie Przewodniczącego Związku i oświadczenie wspólne Przewodniczącego i Tymczasowej Rady "S" ani słowem nie wspomniało o TRK, oświadczenie TRK z 12 X ani słowem nie wspomniało o zaistnieniu Tymczasowej Rady Związku i Rad regionalnych. Z kolei ze wszystkich stron posypały się wyjaśnienia, co znaczą kolejne oświadczenia rozmaitych grup "tajnych, widnych i dwupiętlowych". Biblia zaś powiada: po owocach poznać.../.

Otwarcie

10 października ub.r. dziesięć osób: Grzegorz Białkowski, Stefan Bratkowski, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stompa, Klemens Szaniawski, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turwicz, Lech Wałęsa i Andrzej Wielowieyski ogłosiło oświadczenie. "Istnieją w Polsce zasadnicze różnice poglądów, odmienne wartości kształtują nasze postawy, wytyczają cele w skali społecznej. /.../Faktem jest także, że najbliższym i najpilniejszym zadaniem stojącym przed Polakami jest skuteczne ożywienie naszej gospodarki. W przeciwnym razie przegramy wszyscy, rządzący i rządzeni, my dzisiaj i pokolenia, które przyjdą po nas. /.../Aktywizacja społeczeństwa wymaga uruchomienia przekonujących mechanizmów politycznych, ekonomicznych i psychologicznych. /.../Wymaga też warunków dla rozwijania gospodarczych inicjatyw oraz skutecznych mechanizmów społecznej kontroli życia gospodarczego. Te problemy musimy rozwiązywać bez względu na doświadczenia przeszłości. Z zakłętego kręgu kryzysu gospodarczego nie wyjdziemy jednak na przekór światu zewnętrznemu, bez sąsiadów i bez najbardziej uprzemysłowionych krajów Zachodu. Nasza gospodarka, by ruszyć z miejsca potrzebuje impulsów nie tylko wewnętrznych ale również zewnętrznych. /.../Ważną rolę może tu odegrać prezydent Stanów Zjednoczonych, likwidując ostatnie sankcje gospodarcze. /.../Wyrażamy przekonanie, że jest czas po temu." Cenzura przez tydzień wstrzymywała druk oświadczenia w "Tygodniku Powszechnym". Prof. Grzegorz Białkowski, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, został zaproszony na rozmowę do Józefa Czurka, który zażądał wycofania podpisu pod oświadczeniem pod groźbą... wstrzymania dotacji na inwestycje konieczne dla UW; prof. Białkowski poprosił redakcję "Tygodnika Powszechnego" o niezamieszczanie jego podpisu pod oświadczeniem. Min. Jerzy Urban: "Oświadczenie Wałęsy i ośmiu /sic!/ innych osób oceniam jako kolejny przejaw dyspozycyjności wobec rządu Stanów Zjednoczonych. /.../Jest to opozycyjność pojmowana jako dyspozycyjność". "Wałęsa i inni haniebnie zdradzają interesy Polski", dodał w imieniu rządu PRL jego minister propagandy.

W latach 1978-80 ukazywało się w drugim obiegu pismo "Res Publica". Po Sierpniu miało jakoby otrzymać zezwolenie na oficjalną publikację. Po Grudniu w kilku cyklach władze rozpatrywały sprawę tego periodyku, wreszcie wczesną jesienią Marcin Król /którego pertraktacje o zalegalizowanie "Res Publici" spotykały się z krytyką w środowiskach opozycyjnych/ otrzymał tzw. "decyzję polityczną" zezwalającą na legalne wydawanie pisma. "Res Publica" wciąż się jednak nie

ukazuje, jakoby z powodu braku papieru i drukarni.

Grupa osób /wśród których m.in. znajdował się członek Prymasowskiej Rady Społecznej Mirosław Dzielski, głoszący liberalne koncepcje ekonomiczne/ podjęła w Krakowie starania o rejestrację "Towarzystwa Przemysłowego", zrzeszenia prywatnych przedsiębiorców przemysłowych. Rejestracji odmówiono. Min. Urban zaś odmówił projektowanemu "Towarzystwu Przemysłowemu" przydatności, zaś jego inicjatorom - konstruktywnej postawy. "Głos obywatela, który krytykuje, przedstawia wnioski, występuje z inicjatywą, wówczas ma wartość pozytywną i będzie przez władze wysłuchany, gdy potwierdza go konstruktywna postawa mówiącego". Kto jest powołany do rozstrzygnięcia czy postawa obywatela jest konstruktywna czy nie, minister nie powiedział.

"Dekryminalizacja"

Zwana także, równie wdzięcznie "depenalizacją". 24 X 86 Sejm uchwalił /bez wcześniejszego namysłu; posiłowie projekt ustawy otrzymali w materiałach dostarczonych tuż przed rozpoczęciem posiedzenia/ wprowadzenie do kodeksu wykroczeń nowego artykułu 52 a. Na mocy tej ustawy kolegium ds. wykroczeń powierzono prawo karania aresztem do 3 miesięcy lub grzywną do 50 tysięcy zł., a także orzekania przepadku na rzecz Skarbu Państwa użytych narzędzi /jak np. samochodów, ale być może także np. mieszkań/, za takie czyny, jak: wydawanie i rozpowszechnianie "bibuły", organizowanie strajków i demonstracji, zakładanie organizacji i stowarzyszeń. Dotychczas o postępkach takich mówił art. 280 kodeksu karnego. A otóż i oszczędność: Sejm "uzupełnił" kodeks wykroczeń, ale nie wykreślił art. 280 z kodeksu karnego. I teraz ten sam czyn może być kwalifikowany jako wykroczenie, ale także jako przestępstwo, może być karany aresztem do trzech miesięcy, albo więzieniem od 3 miesięcy do 5 lat. Decyzja w tej mierze przypada funkcjonariuszom MO, ponieważ i w jednym i w drugim przypadku /to znaczy i przed kolegium i przed sądem/ mogą na mocy przepisów o postępowaniu przyspieszonym występować w roli oskarżycieli.

Nie jest to z pewnością zwykle przecroczenie. Oto bowiem cztery dni przed posiedzeniem Sejmu, 20 października, Rada Państwa uznała za celowe utrzymanie w mocy ustawy "o szczególnej odpowiedzialności karnej" z dn. 10 V 1985 r.

Amnestia była oceniana jako pierwszy przejaw powrotu do praworządności, do respektowania europejskiej kultury prawnej itp. W miejsce po amnestii pracownicy organów ścigania otrzymali zwiększone uprawnienia w PRL-owskich "organach sprawiedliwości". Nie poskapiło im zresztą również dobrodziejstwa aktu humanitarnego. Umorzone zostało postępowanie śledcze w sprawie pobicia przez "nieznanych sprawców" w Krakowie ks. Tadeusza Zaleskiego i obywatela francuskiego Frederika Castainga. 9 X we Wrocławiu zdarzył się nieszcześliwy wypadek drogowy, śmierć poniosła p. Krystyna Słomka /matka działacza KPN/, przejechana przez ptk SB Zbigniewa Żygadłę. Sprawca /pijany/ nie został aresztowany. 15 IX w Warszawie pijany osobnik zastrzelił z powodu sprzeczki 27 letniego mężczyznę, ścigających go milicjantów ostrzeliwał; jak podano w komunikacie, zbrodniarzem okazał się starszy kapral MO Wojciech B. /zapewne prokurator - ze względów humanitarnych - nie zgodził się na podanie do publicznej wiadomości personaliów/.

Zgodnie z nowym duchem, humanitarnie, schwytanych kolporterów "bibuły" stawiano przed kolegią. W ciągu niespełna dwóch miesięcy orzeczono w kilku przypadkach przepadek samochodów, w kilkudziesięciu - grzywny od 30 do 50 tysięcy zł.

Praworządność

10 grudnia ub. r. Lech Wałęsa wydał dokument, głoszący m.in.: "Stwierdzam palącą konieczność podjęcia przez Związek problematyki praworządności. Uważam, że problematyka ta powinna obejmować zarówno działalność studyjną, jak i praktyczną opiekę prawną i interwencyjną w stosunku do działaczy i sympatyków Związku. Dlatego też polecam Zbigniewowi Romaszewskiemu zorganizowanie Komisji ds. Interwencji i Praworządności, która podejmie omawianą problematykę w skali krajowej".

W tym samym czasie grono działaczy Związku /Alina Pierkowska i Janina Wehrstein z Gdańska, Tadeusz Jedynak z Katowic, Jerzy Stępień z Kielc, Krzysztof Dobrecki z Konina, Zbigniew Fijał z Krakowa, Józef Sreniowski z Łodzi, Anna Urbanowicz ze Skierniewic, Krystyna Sienkiewicz z Torunia, Mieczysław Tarnawski z Ważbrzycha, Zbigniew Romaszewski, Ewa Tomaszewska i Witold Biesiekierski z Warszawy oraz Antoni Lenkiewicz z Wrocławia/ wydało "Deklarację działalności interwencyjnej". "W ostatnich latach arbitralne decyzje władzy powodowały destrukcję systemu prawnego. Ogranicza to zakres jednoznacznych gwarancji niezbywalnych i nienaruszalnych praw obywatelskich. Sytuacja ta stawia przed nami pierwszorzędne zadania. 1. Ocenę istniejącego stanu uregulowań prawnych/.../. 2. Społeczną kontrolę nad stosowaniem prawa przez organy administracji państwowej i wymiaru sprawiedliwości. 3. Zapewnienie opieki prawnej ludziom, którzy padli ofiarą represji lub bezduszności ze strony władz/.../. Za najpilniejsze zadania uważamy: 1. Uwolnienie pozostałych więźniów politycznych; 2. Sprawę represji karno-administracyjnych; 3. Sprawę uprawnień pracowniczych".

Również w grudniu grupa b.więźniów politycznych wystosowała do gen. Jaruzelskiego apel o zwolnienie pozostałych za kratami więźniów politycznych.

Dyplomacja

17 listopada 1986 r. upływał termin wycofania się Polski z Międzynarodowej Organizacji Pracy, zapowiedzianego przez rząd PRL w 1984 roku /konstytucja MOP przewiduje dwuletni okres likwidacyjny/. Sprawa przynależności Polski do MOP jest niejasna. Rząd wystosował bowiem /przed upływem terminu wycofania członkostwa/ list do MOP z propozycją przedłużenia okresu występowania z organizacji jeszcze o rok; konstytucja MOP takiego rozwiązania nie uwzględniła, ale jak się zdaje, biuro organizacji będzie tolerować tę nieformalność. Jest więc jak w buddyjskim syllogizmie: Polska jest i nie jest członkiem MOP, rząd chce i nie chce wystąpić z organizacji, MOP jest i nie jest antypolski, polski "odrodzony ruch związkowy" ma i nie ma przedstawicielstwa w najnowszej międzynarodowej organizacji.

W tym samym czasie, w połowie listopada, "Solidarność" została afiliowana do Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych oraz do Światowej Konfederacji Pracy. Obie te międzynarodowe centrale związkowe mają status doradczy w MOP, tak więc "Solidarność" będzie mogła, za pośrednictwem MKWZZ i SKP, wносить sprawy polskie na forum MOP nawet wówczas, gdyby rząd PRL zdecydował się jednak wycofać członkostwo w organizacji.

Te zawiłości formalno-prawno-międzynarodowe nie przeszkadzają "Solidarności" rozwijać współpracę z organizacjami związkowymi za granicą. W październiku trzy włoskie centrale związkowe: komunistyczna CGIL, chrześcijańska CISL i socjaldemokratyczna UIL wydały wspólne oświadczenie solidarności z "Solidarnością", zaś reprezentacja CFDT regionu paryskiego /socjalistyczna centrala związkowa we Francji/ od-

była spotkanie z przedstawicielami RKW Mazowsze...

Mamy jednak do odnotowania fakt nie całkiem zrozumiały. Oto nowojorski "Nowy Dziennik" z 11 XI opublikował oświadczenie sygnowane 4 października przez TKK. "W imieniu NSZZ "Solidarność" o pomoc z zagranicy występuje TKK. /.../Donacje dla NSZZ "S" powinny być przekazywane do dyspozycji ogólnokrajowego kierownictwa "S". /.../TKK prosi donatorów o powstrzymanie się - w miarę możliwości - od precyzowania sugestii alokacyjnych dotyczących poszczególnych donacji. /.../Donacje zagraniczne powinny być przekazywane do Biura Koordynacyjnego NSZZ "S" za granicą z siedzibą w Brukseli. Biuro to jest odpowiedzialne za przekazywanie pomocy zagranicznej do kraju/.../. Przekazywanie do kraju gotówki i sprzętu dla struktur NSZZ "S" w ramach bezpośrednich umów /.../ powinno się odbywać w porozumieniu z Biurem Koordynacyjnym w Brukseli. TKK prosi zarządy MKWZZ, SKP oraz AFL-CIO i innych krajowych central związkowych o niedopuszczenie do starań o poważne fundusze bądź organizowanie dużych zbiorów pieniędzy na "S" przez osoby lub organizacje nie mające upoważnienia TKK, albo Biura w Brukseli. Jakikolwiek dotychczas istniejące upoważnienia "S" przez organizatorów takiej pomocy". Oświadczenie to nie zostało opublikowane w kraju; "PWA" przedrukował tekst z "Nowego Dziennika". Jest ono sprzeczne z innym oświadczeniem TKK z 12 października: "NSZZ "S" składa się - jak stanowi statut - z autonomicznych organizacji regionalnych". Nie bierze pod uwagę kilkuletniej praktyki ustanawiania zagranicznych przedstawicielstw struktur podziemnych, wydawnictw, których TKK ani Biuro w Brukseli nie ma prawa ani powodu rozwiązywać i dezawuować.

Wolność i pokój

Próbę jawności, którą "Solidarność" na szerszą skalę podjęła po wrześnieowej amnestii /bowiem nie trzeba zapominać o wcześniejszych inicjatywach tego typu/, Ruch Wolność i Pokój przechodzi - skutecznie - od samego początku. Coraz częstsze są przypadki powstrzymywania się od represji przez władze wojskowe za bezwzględnie dotychczas karane: odmowę przysięgi wojskowej, odmowę czynnej służby zasadniczej, odmowę przyjęcia wojskowych dokumentów rejestracyjnych.

22 września '86 "WiP" ogłosił swe stanowisko wobec problemów związanych z odmową służby wojskowej /"należy dążyć do stworzenia możliwości opracowania służby wojskowej bez szkolenia militarnego"/ i odmową złożenia przysięgi w obecnym brzmieniu /"należy ograniczyć jej treść do zobowiązań wobec Ojczyzny"; "należy umożliwić osobom odmawiającym złożenia przysięgi dokończenie służby, ewentualnie w wydzielonych jednostkach lub formacjach"/. Powołany został Fundusz Ruchu Wolność i Pokój. Przewodniczącym Rady Funduszu został Jan Józef Lipski, członkami Marek Adamkiewicz /Szczecin/, Konstanty Młodowicz /Kraków/ Konstanty Radziwiłł i Jacek Szymanderski /Warszawa/, Tomasz Wacko /Wrocław/.

Ruch zorganizował kilka demonstracji pod hasłami pacyfistycznymi, np. 3 X w Warszawie przed domami handlowymi "Centrum", 6 XII w Gdańsku przed halą Olivii podczas imprezy "Ro/c/k dla pokoju"; uczestnicy tych demonstracji zostali ukarani grzywnami. W listopadzie SB udaremniła marsz do Machowej, miejsca pochowania rozstrzelanego przez wojsko niemieckie w 1944 r. Ottona Schimka.

Ruch Wolność i Pokój głosi też hasła ekologiczne. 28 XI we Wrocławiu "WiP" demonstrował przeciwko zniszczeniom środowiska powodowanym przez hutę "Siechnice"; ponowna demonstracja 11 XII została odwo-

iana i wyznaczona na styczeń 1987 r. Uczestnicy Ruchu byli represjonowani, mimo że szkodliwa działalność huty "Siechnica" została potwierdzona ekspertyzami naukowymi PAN.

Jak będzie - okaże w działaniu

Przez co najmniej kilka miesięcy mówiło się o powołaniu ciała konsultacyjnego nowego typu; władza zapowiedziała mianowicie stworzenie miejsca oficjalnych wypowiedzi opozycjonistom - konstruktywnym, rzecz jasna i umiarkowanym, ale jednak opozycjonistom. Mówiło się nadzwyczaj tajemniczo, przygotowania - jeśli się rzeczywiście odbywały, to z niezwykłą dyskrecją.

Z całej tej długiej historii warte odnotowania są dwie daty. 15 listopada kwestia uczestniczenia w projektowanej radzie konsultacyjnej stała się przedmiotem dyskusji nadzwyczajnego walnego zebrania członków Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Po raz pierwszy publicznie przedstawiono przebieg pertraktacji przedstawicieli władz z kandydatami na doradców. Sprawozdanie przedłożył Andrzej Wielowieyski, jeden z czterech działaczy KIK-ów /pozostali: Stanisław Stomma, Andrzej Święcicki i Jerzy Turowicz/ uczestniczący w rozmowach z reprezentującymi gen. Jaruzelskiego Kazimierzem Barcińskim, Stanisławem Ciośkiem, Kazimierzem Secomskim i Edysławem Sadowskim. Stanowisko władz sprowadzało się do kilku zasadniczych warunków. Rada nie będzie wyposażona w żadne formalne kompetencje. Obrady będą zachowywane w tajemnicy, do publicznej wiadomości będzie podawany jedynie krótki komunikat, nie mówiący o zróżnicowaniu stanowisk. Odrzuca się zasadę reprezentatywności uczestników. Władza zdecydowała o granicach pluralizmu postaw i poglądów członków rady; z góry wyklucza udział w zdecydowanych przeciwników politycznych, zaś tym umiarkowanym, którzy w skład rady wejdą, przeciwstawi odpowiednią liczbę swoich stronników.

Również po raz pierwszy można było wówczas wypowiedzieć publicznie opinie w sprawie uczestnictwa w projektowanej radzie. Po siedmiogodzinnej dyskusji walne zgromadzenie przyjęło trzy uchwały: KIK nie deleguje swoich przedstawicieli do udziału w radzie; walne zgromadzenie przyjmuje do wiadomości oświadczenie przewodniczącego KIK-u że wchodzi do rady na zasadzie osobistej a nie jako reprezentant Klubu; członek władz Klubu na czas uczestniczenia w radzie powinien zrezygnować z funkcji Klubowej.

Przebieg dyskusji w warszawskim KIK był jedyną okazją zaprezentowania publicznie opinii o radzie konsultacyjnej przez środowiska opozycyjne, wydaje się jednak, że zaprezentowane tam stanowiska są porównywalne z szerszą opinią publiczną. Ogólnie rzecz można, że państwo duży sceptycyzm co do niezinstytucjonalizowanego gremium, zaplanowanego w swym wkładzie przez władze, dobierające uczestników nie spośród reprezentantów poszczególnych środowisk społecznych, lecz spośród osób prywatnych. Krytycznie ocenia się także radę nie jako wynik pluralizacji organizacyjnej i politycznej społeczeństwa, lecz jako instytucję mającą pluralizm zastąpić.

6 grudnia przewodniczący Rady Państwa powołał Radę Konsultacyjną. Jaka będzie - okaże w działaniu. Po inauguracyjnym spotkaniu można o niej powiedzieć tylko tyle, że dokładnie odpowiada projektowi sformułowanemu przez władze i że nie uwzględniła nic z postulatów zgłoszonych podczas pertraktacji poprzedzających utworzenie rady. Osoby społecznie zaufania, które znalazły się w jej składzie, podjęły wielkie osobiste ryzyko; o ile jednak za niewczesne należy uważać wypowiedziane pod ich adresem słowa potępienia, to oczekiwanie, że nie sprzeniewierzą posiadanego kapitału zaufania, nie pozostaje

sprzeczności z brakiem społecznej delegacji.

Pluralizm w zawieszeniu

28 listopada 1986 r. siedmioro wybitnych prawników: prof. Jan Rosner, adw. Andrzej Rozmarynowicz, adw. Władysław Siła-Nowicki, prof. Krzysztof Skubiszewski, prof. Andrzej Stelmachowski, em. sędzia Sądu Najwyższego Zofia Wasilkowska i prof. Tadeusz Zieliński wystosowało wniosek do prezesa Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie sprzeczności zachodzącej między artykułem ustawy o związkach zawodowych, znoszącym pluralizm związkowy /"w zakładzie pracy działa jedna organizacja związkowa"/ i gwarantowanymi przez konstytucję i traktaty międzynarodowe zasadą wolności związkowej i prawem do wolnego zrzeszania się.

Z krytyką ograniczeń stawianych przez władze państwowe prawu do zawiązywania zrzeszeń i stowarzyszeń wystąpił kolejny raz Episkopat Polski.

W środowiskach twórczych, i to nie tylko w tej części, która nie przystąpiła do organizowanych w stanie wojennym stowarzyszeń, ale także wśród zrzeszonych, dają się słyszeć coraz częstsze głosy przeciwstawiające się ingerencji władz w sprawy stowarzyszeń twórczych.

Kilkuset pracowników Uniwersytetu Gdańskiego podpisało w październiku ub. roku zbiorowy list otwarty domagający się przywrócenia prawa do legalnej działalności NSZZ "Solidarność" i Niezależnemu Zrzeszeniu Studentów.

940 pracowników Huty Stalowa Wola zwróciło się do Sejmu z petycją o przywrócenie pluralizmu związkowego zawieszono czasowo przez ustawę o związkach zawodowych z 1982 roku.

Niezwłoczna i bezpośrednia odpowiedź na swe wystąpienie otrzymali jedynie pracownicy ze Stalowej Woli, którym funkcjonariusze SB wespół z dyrektorem zakładu zagrozili zwolnieniami z pracy.

Opracował: L.B.

Dotychczas nakładem Oficyny Wydawniczej
ukazały się następujące pozycje:



xxx

Grzegorz Przemysk
Aleksander Zinowiew
Paweł Reszke
Jerzy Kozakiewicz
Jerzy Wileńczyk

Paweł Pożarski
Władimir Bukowski
Warłam Szalamow
Milton Friedman
Milotn Friedman

Krystyna Kersten

Krystyna Kersten

Janusz Anderman
Paweł Pożarski

Paweł Pożarski

Bohdan Cywiński
xxx

xxx

Józef Lewalrd
Jerzy Holzer
Stefan Bratkowski
Miłosz Kowalski
xxx
Leonard Schapiro

- IV rozbiór Polski
- Syn a może sen
- Postępy sowietyzacji
- Chleb a socjalizm
- Po wojnie...
- Pierwsza nowoczesna organizacja
niepodległościowa /SOS nr 2/
- Afganistan
- Pacyfiści kontra pokój
- Opowiadania kołymskie
- Wolni wobec wyboru
- Wolność ekonomiczna
wolność polityczna
- Historia polityczna Polski
1944-1956 /zeszyt I/
- Historia polityczna Polski
1944-1956 /zeszyt II/
- Brak tchu
- Bajka "o złym królu Wojcieszku
i dzielnym rybaku Leszku"
- Bajka "O królownie Snieżce
i 10 milionach krasnoludków"
- Doświadczenie Polski
- Konferencja jałtańska w
polskiej perspektywie /ZEN/
- Wybory - Kto na tym zarabia?
- Armia Krajowa /SOS nr 3/
- Solidarność
- List do I sekretarza KPZR
- Mikołajek w szkole PRL
- kwartalnik "21" nr 2
- Totalitaryzm

ponadto nakładem Oficyny Wydawniczej

- specjalne emisje znaczków, - prasa zakładowa, - ulotki, - plakaty,



CENA 480

**OFICyna
WYDAWNICZA**

